

NA STRAŻY-

BIULETYN WEWNĘTRZNY
ZWIĄZKU PRACY DLA PAŃSTWA
Na prawach rękopisu!

28-29-30

CENA 100 MLS. PAL.

PAŹDZIERNIK—GRUDZIEŃ
1946

JEROZOLIMA

Adres: Jerusalem,
"Casa Nova" nr 80

NASZ PROGRAM

W związku z mającą się odbyć w bliskiej przyszłości ewakuacją naszego wojska i większości polskiej ludności cywilnej ze Środkowego Wschodu, zeszyt niniejszy NA STRAŻY będzie, być może, ostatnim lub jednym z ostatnich naszego wydawnictwa.

Tym samym zawiesilibyśmy na razie dotychczasową działalność wydawniczą, aby ją podjąć w nowych warunkach i na nowym terenie.

Zbliżając się w ten sposób do końca jednego etapu naszej politycznej pracy, pragniemy rzucić okiem wstecz na czasy minione, aby raz jeszcze w lapidarnym skrócie ująć te wytyczne, którymi powodowaliśmy się przez szereg lat ubiegłych i które w dalszym ciągu będą nas obowiązywały. Związane z istotą polskiej racji stanu są one niezależne od doraźnych rozgrywek politycznych zarówno w ustawicznie zmiennych i niestabilizowanych stosunkach międzynarodowych, jak i w naszych sporach i kłótniach wewnętrznych, świadczących żałośnie o poziomie myśli politycznej tych, których złe losy na czoło naszej oficjalnej reprezentacji wyniosły. Jednocześnie pragniemy skierować wzrok ku przyszłości, której tajemnic w chwili obecnej nikt oczywiście odgadnąć nie potrafi, ale której linie rozwojowe zarysowują się już dziś o tyle wyraźniej, że można się kusić o skonfron-

owanie naszego polskiego stanowiska z narastającą rzeczywistością polityczną i przekontrolowanie słuszności tych założeń, na których cała nasza działalność się opiera.

Jeśli w pierwszych latach wojny założenia te były przede wszystkim wyrazem wiary w słuszność naszej sprawy, w zwartość i dojrzałość państwową Narodu Polskiego oraz w rolę, jaka nam sprawiedliwie w rodzinie wolnych narodów przypaść winna, to dzisiaj, po tragicznych wydarzeniach wojennych, elementy wiary zyskały tak niewątpliwe podstawy, tak straciły charakter subiektywnych tylko rozważań czy pożytków, że chłodna i bezstronna analiza może je zaliczyć do obiektywnych, sprawdzonych i t w i e r d z e ń, na których nasza myśl polityczna może się oprzeć z całą ufnością.

I nie może zmienić tego to, że przejściowo będziemy przeżywali zapewne bardzo ciężkie rzeczy, zarówno tu na uchodźstwie, jak i przede wszystkim w Kraju, gdzie brutalna przemoc wroga przez czas jakiś może gnębić naród politycznie i gospodarczo. Nasza walka trwa w dalszym ciągu i musi powodować bolesne ofiary, na co na razie nie mamy żadnej rady. Elementy własnej siły orężnej częściowo się wykruszyły — nie bez naszej własnej winy, częściowo przez złą wolę wroga i zdradę sojuszników zostały rozbro-

jone, a choć gotowości bojowej w Narodzie Polskim nie brakuje, to organizacyjnie niezależna od obcych czynników armia przestaje istnieć i w chwili obecnej na wydarzenia wpływu wywierać nie może.

Trzy są perspektywy, z których można i trzeba oceniać rzeczywistość, w której żyjemy, tak jak trzy są podstawy, na których można i trzeba budować programy działania. Są to zagadnienia związane ściśle z sprawami politycznymi, społecznymi i gospodarczymi.

Doceniając całkowicie wagę tych dwu ostatnich, których prymat w polityce państw angielskich jest niewątpliwy z oczywistą zresztą szkodą dla ich interesów państwowych, stwierdzić trzeba, że dla narodu, który znajduje się w obliczu utraty swej niezawisłości, na czoło wysuwa się sprawa niepodległego państwowego bytu. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że naród politycznie nie wolny nie może swobodnie decydować o swej polityce społecznej i gospodarczej. Sprawa zaś niepodległego bytu państwa o tak znacznej ludności, przestrzeni i tak geograficznie położonego, jakim jest Polska, jest z natury rzeczy najważniejszym w Europie zagadnieniem międzynarodowym.

Fakty świadczą o tym jak najwyraźniej. Wojna zaczęła się od Polski i o Polskę. Nasza przegrana w 1939 roku oddała całe olbrzymie Międzymorze od Finlandii do Buł-

garii i Jugostawii z ludnością około 140 milionów w ręce Stalina. Ten fakt zniweczył równowagę polityczną już nie tylko w Europie, ale w całym świecie, a to tym bardziej, że olbrzymie zdobycze terytorialne, ludnościowe i gospodarcze znalazły się w dyspozycji żądnego nieograniczonej ekspansji imperializmu sowieckiego, który z logiki swoich politycznych założeń i celów zatrzymać się na tych zdobyczach nie może i musi je uważać za pierwszy etap w swym pochodzie na podbój całego świata.

W tym pochodzie stanął oko w oko z osłabioną przez wojnę, ale wciąż jeszcze znaczną potęgą Wielkiej Brytanii od zachodu, od wschodu zaś zagraża bardzo żywotnym interesom największej dziś potęgi militarnej, jaką stanowią Stany Zjednoczone.

O ile oba te anglosaskie państwa nie utraciły elementarnego instynktu samozachowawczego i woli życia — a trzeba sądzić, że tak nie jest — to stan obecny stosunków międzynarodowych między Związkiem Sowieckim z jednej a Anglią i Ameryką z drugiej strony — nie może być uważany za nic innego, jak tylko przejściowy okres, po którym prędzej czy później musi dojść do ostrego i wyraźnego konfliktu, a ten dopiero rozstrzygnie o dalszym losie nie tylko państw i narodów, ale wręcz o całej cywilizacji europejskiej.

Zagadnienie niezawisłości, bytu i roli Polski mieści się zatem w olbrzymim kompleksie całości stosunków międzynarodowych, w chwili obecnej w najwyższym stopniu niestabilizowanych. Ten brak stabilizacji nie może trwać nadmiernie długo. Mechanizm życia zbiorowego niejako automatycznie dąży do wyrównania tego, co równowagę sił może zakłócać, i gdyby czołowi mężowie Zachodu byli mniej skrępowani niedojrzałością opinii publicznej swych społeczeństw oraz potra-

fili głębiej wniknąć w wytyczne polityki sowieckiej, której grozy dla ludzkości dotychczas należycie nie rozumieją — to siłą rzeczy procesy dziejowy w nieunikniony sposób ciągnący nad światem uległyby znacznemu przyśpieszeniu.

Pierwszym zatem wnioskiem, mającym z naszego punktu widzenia niezmierną doniosłość, jest teza, że podział świata na sfery wpływów nie da się utrzymać, że w ślad za tym Związek Sowiecki musi się zetrzeć z mocarstwami Zachodu i że w tym starciu wszystkie pozytywne siły świata muszą się opowiedzieć przeciw Rosji, która jest w tej chwili naszym głównym wrogiem i ciemiężycielem.

I chociaż Anglosasi zdradzili nas w ciągu tej wojny w sposób dotychczas w historii nie notowany, choć nawet w chwili obecnej w narastającej obawie przed Rosją kokietując Niemcy z wyraźną szkodą dla naszych interesów, to musi przyjść czas, w którym, w myśl zasady, że wrogowie naszych wrogów są naszymi sprzymierzeńcami — ich polityka zacznie działać i na naszą korzyść.

Wówczas — a nie jest to sprawa sentymentów, tak silnie, niestety, grających u Polaków w początkach wojny, bo od wszelkich sentymentów politycznych świat anglosaski oduczył nas gruntownie — będzie miejsce na ponowne nawiązanie z nimi współpracy, nie z naszej winy przerwanej, zawsze pod warunkiem, że polityczni nasi przywódcy potrafią dokonać rachunku strat i zysków tej współpracy, na co nasze rządy zdobyć się nie potrafiły.

Rachunek ten, jak dotychczas, wykazał jedynie straty, i to straty straszliwe.

Byłoby błędem oskarżanie o te

straty jedynie strony anglosaskiej, która działała tak, jak jej słusznie czy niesłusznie rozumiany interes państwowy tego wymagał, nie troszcząc się, zgodnie z tradycjami wielkiej polityki, o stronę moralną swego postępowania. Niewątpliwą współwinę za obecny stan sprawy polskiej ponoszą rządy nasze w Londynie, które przez cały czas wojny nie umiały i nie chciały prowadzić polityki samodzielnej, natomiast stale i systematycznie podporządkowały polską rację stanu żądaniom angielskim. W ten sposób same zrezygnowały z roli partnera gry politycznej, zniżając się do roli posłusznego wykonawcy obcej racji stanu. Świadczy o tym choćby pakt Majski-Sikorski, świadczy o tym sprawa dymisji gen. Sosnkowskiego, całość polityki Mikołajczyka w okresie jego premierowania i wszystkie jej tragiczne dla nas konsekwencje.

Nie stać było nigdy naszych rządów na odwagę przeciwstawienia się Anglikom i Amerykanom. Zapominać się zdawały, że to nie Rooseveltowie, Churchill, Eden czy Attlee'owie byli ich mocodawcami, ale Naród Polski.

Naród miał prawo oczekiwać od swego legalnego rządu głębszej myśli politycznej, więcej godności, woli i charakteru, niż wykazali panowie, którzy w wyniku partyjnych targów objęli teki ministerialne. W ten sposób olbrzymi kapitał moralny i wojskowy Polski został doszczętnie zmarnowany — i to bez żadnego sprzeciwu z naszej strony. I tego Polska nigdy sprawcom takiego stanu rzeczy nie wybaczy.

Oskarżać o to w pierwszym rzędzie trzeba tzw. stronnictwa polityczne, które wbrew obowiązującej konstytucji delegowały swych członków na stanowiska ministerialne i — jak to niejednokrotnie same stwierdzały — „ponosiły za rząd odpowiedzialność”, również wbrew wyrażonemu brzmieniu konstytucji.

Stronnictwa te w warunkach uchodźczych stanowiąc grupki kilku lub kilkunastoosobowe, wzajemnie skłócone, zazdrosne o swe wpływy i znaczenie, a niedorośle do trudnych wymagań chwili dziejowej, arogowały sobie i arogują dotychczas prawo monopolu kierowania naszą polityką. Ta polityka rządów partyjnych zbankrutowała całkowicie, i tylko ślepi mogą tego nie widzieć po siedmiu latach gorzkich doświadczeń.

I tu dochodzimy do drugiej wytycznej o równie zasadniczym, jak pierwsza, znaczeniu.

W konflikcie, w obliczu którego świat stoi, przyjdą w nieunikniony sposób sytuacje, w których od naszego stanowiska losy Polski zależeć będą mogły. Dziś tych sytuacji przewidzieć nie można. Jedyne, co na pewno stwierdzić można, jest to, że zarówno w opinii publicznej świata, jak i w organizacji sił, które w wyniku konfliktu będą decydowały, znajdzie się miejsce na głos Polski, jak również że żywe siły Polski będą potrzebne tym, którzy w tym starciu będą odgrywali główne role. Ten głos będzie musiał być przemyślany i ważki, a siły — użyte celowo i pod należytymi gwarancjami: nie tak, jak dotychczas, gdyśmy za nic, za darmo najdroższą krew naszej młodzieży przelewali.

Rząd, który wówczas stać będzie na czele walczącej Polski, musi być rządem nie zbankrutowanych gruppek partyjnych, ale rządem twardej, mocnych ludzi, a takich te grupki nie potrafiły znaleźć. Musi być rządem indywidualności, uporów, nieustępliwości, charakteru — a tego stronnictwa polityczne w ciągu 7 lat wojny nie wykazały. Spod stempla partyjnego wychodziły dotychczas miernoty, demagodzy lub zdrajcy. Klucz partyjny zawiódł na całej linii.

Nie mogliśmy mieć zaufania do takiej metody powoływa-

nia rządów. Stwierdzaliśmy to my, piłsudczycy, od dawna, stwierdzamy to w dalszym ciągu przewidując, że w dalszym rozwoju wydarzeń od naszego kierownictwa politycznego losy Polski zależeć będą. Odmawiamy kategorycznie stronnictwom monopolu na przewodnictwo polityczne i twierdzimy, że nie stempel partyjny, ale indywidualne wartości o przydatności ludzi na kierowników nawy państwowej decydować winny.

Druga zatem zasadnicza nasza teza brzmi w sposób następujący: Rządy delegatów partyjnych nie zdały swego egzaminu dziejowego. Jest rzeczą niezbędną, aby raz wreszcie zerwać z fikcją odpowiedzialności zespołów i gruppek partyjnych. Rząd musi stać ponad wszystkimi partiami i rozkazów od nich otrzymywać nie może. Tylko w ten sposób da się uzyskać szybkość działania, jednolitość decyzji i niezależność od czynników nieodpowiedzialnych. Kluczem do powołaniu rządu może być tylko rozum i charakter. Zgodnie z konstytucją głos w tej materii może mieć jedynie Prezydent R. P. oraz desygnowany przez niego premier. I nikt więcej.

Teza powyższa w żadnym razie nie może spowodować zerwania przez rząd najwyższego kontaktu zarówno ze społeczeństwem, jak i nurtującymi w nim prądami politycznymi. Oderwanie rządu od stronnictw musi iść w parze z nawiązaniem ścisłej łączności z tym wszystkim, co jest w społeczeństwie naprawdę żywe, odpowiedzialne i uczciwe.

Dlatego też żądaliśmy i żądamy nadal powołania na prawdę godnej tego miana Rady Narodowej, która w braku sejmu i senatu winna stanowić dla rządu ciało doradcze i opiniodawcze, wobec którego rząd winien składać sprawozdania ze swych czynności i które w swobodnej i nieskrępowanej dyskusji będzie mogło ustosunkowywać się do pracy rządowej, dając mu w ten sposób swe poparcie względnie poddając krytyce jego postępowanie.

Zagadnienie takiej Rady Narodowej omawialiśmy obszernie na łamach naszego pisma — i to jest nasza trzecia teza, domagająca się jak najszybszej realizacji.

Czytelnik, orientujący się w pracy historycznej Józefa Piłsudskiego, stwierdzi łatwo, że wszystkie trzy powyższe tezy łączą się jak najściślej z tym, co można by nazwać ideologią państwową Piłsudskiego. Teza pierwsza nasuwa daleko idące analogie do czasów sprzed pierwszej wojny światowej, gdy późniejszy twórca Legionów przewidywał szybkie narastanie konfliktu międzynarodowego, w którym Polska będzie miała szansę odzyskania utraconej niepodległości, o ile potrafi wykorzystać sprzyjające sytuacje i stworzyć potrzebne w tym celu siły.

Druga teza wywodzi się również z wyraźnych wskazań Wielkiego Marszałka. Widział i rozumiał, jak nikt inny, wszystkie trudności i kłęski, jakie dały Polsce walki partyjne i partyjne rządy nieodpowiedzialnych a chciwych władzy i łupów partyjników. Żądał zawsze odpowiedzialności jednostkowej. Pragnął rządu jednolitego, zwartego, zdolnego do szybkich i skutecznych dzia-

łań, nie szantazowanego ustawicznymi targami ze stronnictwami politycznymi, które tak często wysuwały na plan pierwszy interes klik i zespołów na niekorzyść interesu państwowego. Szukał nie firm i sztyldów partyjnych, lecz — ludzi.

Teza trzecia związana jest najściślej z naszym demokratycznym stanowiskiem i nawiązuje również do głębokiego demokratyzmu Piłsudskiego, który występował zawsze przeciw złym obyczajom demokracji naszej, nigdy przeciw demokracji jako takiej. Żadna rada stronnictw politycznych nie jest w stanie dać bodaj namiastki reprezentacji politycznej Polski. Musi to być ciało na szerszej płaszczyźnie zbudowane, w prawdziwszy sposób reprezentujące istotne oblicze opinii publicznej niż mogą to zrobić nieliczne, wiszące w próżni, zdekompletowane, porozbijane a często zdemoralizowane zarządy partyjne.

Czwarta nasza teza związana jest z szeroką koncepcją współżycia wolnych ludów w przyszłej wolnej Europie, jednocześnie jednak daje metodę organizowania sił zbiorowych, które w celowo wybranym momencie podejmą dzieło wywalczenia wolności tych wszystkich narodów, które w wyniku naszej klęski utraciły swą niepodległość. Mówimy tu o wielkim programie federacyjnym ludów Międzymorza, zapoczątkowanym swego czasu przez Marszałka Piłsudskiego. Próba historyczna nie mogła być wówczas zrealizowana. Więcej — nie była nawet należycie zrozumiana i spotkała się z zdecydowanym przeciwdziałaniem szeregu naszych zaściankowych stronnictw politycznych. Dziś zyskała szerokie grono gorliwych wyznawców zarówno w polskiej opinii publicznej, jak i wśród czołowych przedstawicieli narodów Międzymorza. Zrealizowanie tego fede-

racyjnego programu umożliwi swobodny rozwój narodowy i państwowy 120 milionom ludzi zaludniającym ziemię, leżącą między Bałtykiem a morzami Czarnym i Adriatykiem, i zapewni im bezpieczeństwo zarówno od zachodniego, jak i wschodniego totalizmu niewoli. Byliśmy od początku tej wojny głęboko przekonani, że nadchodzą czasy, w których myśl Piłsudskiego musi przybrać konkretne kształty. Rozwój wydarzeń stwierdził niezawodnie, że federacja Międzymorza stała się koniecznością dziejową, o ile w ogóle wolność ma być udziałem Europy.

Wreszcie — zagadnienie ostatnie. Dużo się mówi o programie społecznym Polski przyszłości. Łatwo operuje się pojęciami postępu i reakcji zarzucając reakcyjność Polsce przedwrześniowej. Zapomina się przy tym lub chce się zapomnieć o wielkich wysiłkach, jakich dokonano w kierunku rozbudowy gospodarczych i społecznych stosunków u nas, a tym bardziej nie chce się pamiętać o olbrzymich trudnościach, wynikających zarówno z faktu wiekowej niewoli politycznej, jak i z niezmiernie niskiego standardu naszego życia. I dlatego większość zarzutów, jakie ignorancja lub zła wola przypisuje Polsce, jest na pewno niesłuszna i krzywdząca.

Obecna wojna, jak zawsze wszystkie wojny, wywołała głęboki wstrząs w naszym życiu gospodarczym i społecznym. Wszystkie warstwy społeczne, wszystkie zawody zostały zrównane w dół, do poziomu skrajnej nędzy. Majątek narodowy poniósł wielomilionowe straty. Przemysł w znacznej części zniszczony, rolnictwo zdeorganizowane bez inwentarza żywego i martwego, miasta zniszczone. Masy ludności — deportowane przymusowo zza linii Curzona, oderwane od swego dotychczasowego warsztatu pracy — rzucane są na zachód w warunkach

skrajnego prymitywu, a nad tym wszystkim, nad tą nędzą materialną i nieszczęściem ludzi, pozbawionych własnego ogniska domowego, panoszą się obca, narzucona, wroga administracja komunistyczna, przeprowadzająca „reformy”, dążące do upodobnienia życia polskiego do życia sowieckiego, aż nadto nam dobrze znanego.

Wątpliwości nie ulega, że zachodzą tu wydarzenia nieodwracalne i że nie ma powrotu do stanu sprzed wojny. Nikt rozsądny nie będzie próbował przywrócić nielicznym posiadaczom ich przedwojennych latyfundiów lub uniezależnić kluczowe co najmniej działy przemysłu od dyspozycji czynników państwowych. Zagadnienie sprawiedliwości społecznej stać będzie przed nami w jeszcze ostrzejszej formie niż to było dawniej, a my, piłsudscy, reprezentujący w olbrzymiej naszej większości nie co innego, jak świat pracy, będziemy w pierwszym rzędzie zainteresowani, aby w tej dziedzinie przyrodzone prawo człowieka do dobrobytu i kultury było w pełni respektowane, a to tym bardziej, że obecny stan rzeczy na terenach okupowanej przez bolszewików Polski jest jak najbardziej odległy od wszystkiego, co ma związek z dobrobytem, kulturą i sprawiedliwością społeczną.

Stąd piąta i ostatnia nasza teza. Tylko prawdziwie niepodległe państwo polskie może zorganizować swoje życie społeczne i gospodarcze — zgodnie z wymogami czasu — na podstawie sprawiedliwego udziału w dochodzie społecznym najszerzych mas pracowniczych, zagwarantowania im należytego wpływu na stosunki społeczne i gospodarcze i udostępnienia

PREZYDENT IGNACY MOŚCICKI

„ Na czele Państwa stoi Prezydent Rzeczypospolitej. Na Nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historii za losy Państwa”.

Prezydent prof. I. Mościcki zmarł i zdaje swój rachunek przed Bogiem. Historia osądzi Go...

Byli tacy, co nie czekając na sąd historii już w pierwszych tygodniach i miesiącach tej wojny próbowali Go osądzić i już ferowali wyroki!

Milcząc, nie broniony przez nikogo, opuszczony, przyjmował prof. Mościcki cios za ciosem. Nie oszczędzono Mu żadnej goryczy, żadnej podłości i upokorzenia. Oskarżano Go publicznie o nadużycia, porównywano Go z lokajami cesarskimi — Jego, uczonego o sławie światowej, najwyższego dostojnika Rzpltej, znanego uczniom, kolegom i szerokim

warstwom społeczeństwa ze swej niezwyklej skromności, czystości moralnej i ujmującej prostoty. Zapomniano i chciano zapomnieć o Jego nieprzerwanej pracy ideowej, o Jego wybitnym udziale w Polskiej Partii Socjalistycznej, o Jego wygnaniu i pracy w „Przedświcie” z Piłsudskim, Jodko Narkiewiczem i innymi, którzy budzili i kształtowali myśl niepodległościową w masach proletariackich. Zapomniano o Jego pracy wieloletniej na uniwersytecie we Fryburgu, a potem we Lwowie i jego dobroczynnym wpływie na młodzież studencką. Zapomniano o Jego pracy w Chorzowie i Mościcach, gdy już był Prezydentem. Zapomniano, że wszystkie swoje liczne wynalazki oddał bezinteresownie na rzecz Państwa Polskiego.

Nikt Go nie bronił. Nie robili tego ci, którzy powinni to byli uczynić z

urzędu — osobiste interesy bowiem i zaciętrzewienie partyjne przesłoniły im względy na DOBRO PANSTWA, a strach przed „sanacją” podszepitywał najbardziej zbrodnicze pomysły. Nie mogli go bronić piłsudczycy i przyjaciele, bo Rząd RP pozabawił ich wolności słowa...

Historia Go osądzi i weźmie w obronę.

Zmarł sterany i biedny, pozbawiony skromnych środków do egzystencji, których czynniki urzędowe nie potrafiły — lub nie chciały — zapewnić byłemu Prezydentowi Rzeczypospolitej.

Historia ich osądzi i wyda swój surowy wyrok.

My, piłsudczycy, oddajemy hołd jednemu z najstarszych piłsudczyków, człowiekowi Idei i Myśli. Prezydentowi, którego wskazał Narodowi Józef Piłsudski.

dobrodziejstw kultury w równej mierze dla wszystkich. To trudne zadanie rozwiązać należy w drodze przemysłowego ustawodawstwa, opartego na jak najbardziej demokratycznych podstawach, i zapewniając twórczą swobodę ludzkiej jednostki — dążąc do zharmonizowania wysiłków we współdziałaniu wszystkich warstw i zawodów na rzecz najwyższego wspólnego dobra, jakim jest własne państwo.

Taki program planowej przebudowy obecnego chaosu bliski polityce społecznej Anglii lub Szwecji, a pozbawiony wszelkiej wschodniej doktrynalności jest wykładnikiem słusznych uprawnień świadomych swych obowiązków narodowych i państwowych mas ludowych, robot-

niczych i inteligencji pracującej. W oparciu o wartości ludzkiej jednostki, a więc i jej pracę, w przeciwstawieniu do bolszewickiego równania w dół, pragnie w drodze równania w górę dać obywatelowi Rzpltej to wszystko, co jest dorobkiem zachodnio-europejskiej kultury zarówno materialnej, jak i duchowej.

Formułując tę piątą tezę podkreślić należy, że i ona wywodzi się z pracy Piłsudskiego, który od wczesnej młodości walczył o lepsze jutro pod znakiem sprawiedliwości społecznej, a całym swym życiem wykazał, jak wielką wagę przywiązywał do pracy rąk i mózgu, budującej gmach polskiej państwowości. Nigdy nie przeciwstawiał się wysiłkom życia szerokich mas i w ramach ówczesnych naszych możliwości właśnie w epoce Józefa Piłsudskiego Polska rozbudowała lepiej, niż szereg znacznie od niej bogatszych narodów, opiekę nad pracą w postaci szeroko rozbudowanego ustawo-

dawstwa robotniczego.

* * *

Takie są wytyczne, których rzeźnikami jesteśmy. Pod ich znakiem idziemy w trudną przyszłość i twardą walkę, która nas oczekuje. Walkę tę wygrać możemy. Zwycięstwo w dużym stopniu od nas samych zależeć będzie.

Mamy niezachwiane przekonanie, że tylko twarde i nieustępliwe trzymanie się tych niewątpliwych dla nas tez, tylko upór i niezłomność zarówno w stosunku do wrogów, jak do tzw. sprzymierzeńców, jak wreszcie do wszystkiego, co jest polską słabością, niewiarą, prywatą lub zdradą — pozwoli nam przezwyciężyć wszystkie trudności i niebezpieczeństwa, odzyskać utraconą chwilowo niepodległość i przystąpić do odbudowy i przebudowy naszego państwa w wielkim związku wolnych narodów i w oparciu o mocne fundamenty sprawiedliwości.

J.J.

Z KUT DO BICAZ

(WSPOMNIENIE O PREZYDENCIE MOŚCICKIM)

Ostatnie godziny na wolnej ziemi polskiej spędził Prezydent w Kutach Starych, w willi zajmowanej przez min. J. Becka.

Przy posiłku wieczornym było kilka osób. Panował nastrój powagi i oczekiwaniam... Rozmowa toczyła się leniwo na jakieś tematy oderwane. Prezydent był spokojny i opanowany. Spokój jego udzielał się otoczeniu. Nagle ktoś wezwał min. Becka do telefonu. Powrócił po chwili, stanął przed Panem Prezydentem na baczność i suchym, jak zwykle, głosem zameldował:

— Panie Prezydencie, pan marszałek Śmigły wraz z premierem meldują, że oddziały bolszewickie są odległe od Kut o kilkadziesiąt kilometrów. Wobec zagrożenia proszą Pana Prezydenta o udanie się do Rumunii.

Wszyscy zamilkli.

— Jestem sługą Narodu. Skoro Rząd uważa, że należy tak uczynić, to proszę zrobić stosowne przygotowania — odpowiedział Prezydent.

Min. Beck ustalił porządek opuszczenia granic Rzeczypospolitej. Na czele samochód Prezydenta ze świtą, po czym Rząd i ścisły sztab Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Do stałem polecenie poprowadzenia tego smutnego orszaku. Granicę, na czele pod Wyżnicą, przekroczyliśmy 17 września około godziny 23.

Czekając w Wyżnicy, aż ostatni wóz ministerialny opuści Polskę, zobaczyłem — zdumiony — wóz marszałka Śmigłego, któremu towarzyszył płk Wenda. Była pierwsza lub druga w nocy.

Nie wiedziałem wtedy, co skłonić mogło marsz. Śmigłego do zmiany decyzji, którą powzięto na wspólnej konferencji z Prezydentem i min. Beckiem po południu 17 września... Byłem mimowolnym świadkiem po-

żegnania się marsz. Śmigłego z Panem Prezydentem i pamiętam ostatnie jego słowa: „A więc tak, jak umówiliśmy się, Panie Prezydencie, ja pozostaję z wojskami”.

Miało to oznaczać, jak mi to zaraz wytłumaczył min. Beck, że na konferencji postanowiono, by w wypadku zagrożenia przez wojska rosyjskie, Pan Prezydent i Rząd opuścili Polskę i tranzytem przez Rumunię udali się do Francji. Marsz. Śmigły miał pozostać z wojskiem. Była jeszcze dyskutowana koncepcja pozostawienia części Rządu przy Naczelnym Wodzu, ale upadła. Z konferencji marsz. Śmigły miał udać się do swego m.p. w Kołomyi, a stamtąd przebijając się do Stanisławowa, gdzie z sukcesem walczył gen. Sosnkowski.

. . .

Pan Prezydent zatrzymał się przejściowo w Czerniowcach, w pałacu metropolity, po czym — jak nas zapewniano — do czasu załatwienia formalności Pan Prezydent miał być gościem króla w jego pałacu w Bicaş. Rząd i sztab MSZ został skierowany do miejscowości letniskowej w Slaniku, gdzie mieliśmy być również kilka dni, by następnie udać się do Francji. Jak wiadomo, rząd rumuński w imieniu króla sam zaproponował Panu Prezydentowi i Rządowi R.P. „hospitalité ou droit de passage”, co zostało zakomunikowane oficjalnie min. Beckowi przez ambasadora Rumunii. Zapewnienie to okazało się wiarygodne.

Prezydent R.P., marsz. Śmigły oraz Rząd zostali internowani.

Niezależnie od konsekwencji internowania przez Rumunów, min. Beck od chwili przekroczenia granicy został na skutek wypowiedzenia posuszeństwa przez amb. R. Raczyńskiego, urzędującego w Bukareszcie, pozbawiony jakiegokolwiek łączności

z naszymi placówkami zagranicznymi. Jego noty do rządów obcych informujące o konieczności opuszczenia terytorium Rzpltej, jak również o napadzie Rosji i naszej decyzji prowadzenia nadal wojny — nie zostały wysłane! Ambasador Raczyński nie zdobył się na tyle cywilnej odwagi, co attaché wojskowy ppłk Zakrzewski, by to wyraźnie oświadczyć.

Pamiętam jak dzisiaj ten tragiczny moment, gdy Szef Sztabu Głównego gen. Stachewicz, uzyskawszy z Konsulatu RP w Czerniowcach rozmowę z attaché wojskowym w Bukareszcie, domagał się interwencji ppłk Zakrzewskiego u władz rumuńskich w sprawie wojska, zmiany pieniędzy na żołąd oraz odbierania materiału i sprzętu wojennego przez Rumunów za pokwitowaniem, lecz spotkał się z odmową wykonania rozkazów i... wymówieniem mu posuszeństwa, co później ppłk Zakrzewski potwierdził na piśmie.

Z dniem 18 września bowiem porzuciły działać już inne ośrodki dyspozycji, te same, które zawczasu przygotowały pułapkę w Rumunii dla Prezydenta i Rządu.

Dzień ten stał się nie tylko dniem zdrady i załamania się słabych charakterów, lecz dniem rozpoczęcia wojny domowej, która przesłoniła względy na dobro Rzeczypospolitej.

. . .

Wobec jasnej już sytuacji, że Rząd RP jest internowany i nie może wykonywać swoich funkcji, wobec wrogiej postawy naszych placówek zarówno dyplomatycznych, jak i wojskowych, z inicjatywy min. Becka, który zatroszczył się o zapewnienie ciągłości najwyższych władz RP — otrzymałem instrukcje od premiera gen. Sławoja-Składkowskiego: dotrzeć do Pana Prezydenta, poin-

formować go o sytuacji Rządu i sytuacji ogólnej oraz dowiedzieć się, jakie są Jego decyzje co do ujawnienia dekretu o następcy na stanowisku Prezydenta. Dalej, miałem podsunąć Panu Prezydentowi sugestię min. Becka, aby nowy Prezydent i nowy Rząd starali się dostać na terytorium brytyjskie, a nie francuskie, albowiem—jak przewidywał min. Beck — Wielka Brytania miała mieć przodujące znaczenie w prowadzeniu tej wojny.

• • •

Wyjazd ze Słanika był trudny. Drogi strzeżone, auta kontrolowane, kolej odległa. Zaopatrzwszy się w najlepsze na terenie Rumunii dokumenty — leje, udałem się wraz z żoną w tę nieznaną, z powodu braku map, drogę prowadzącą po rozmiękłych, podgórskich wertepach rumuńskich.

Drogę przerywaliśmy kilkakrotnie dla wysyłania z napotykanymi miasteczek depeš informacyjnych do amb. Łukasiewicza w Paryżu, aby go zorientować w prawdziwej sytuacji. Jak się dowiedziałem później, nie wszystkie depeše doszły, ale te, które dotarły, były jego jedynym źródłem wiadomości.

Pod wieczór dobrnęliśmy do zapadłego w górach Bicz, gdzie miało się znajdować „chateau” królewskie. Pałac okazał się zwykłą murańką, piętrową leśniczówką, która posłużyła za miejsce internowania Prezydenta RP. Prezydent zajmował 2 pokoje na górze, dół kilkupokojowy zajmowało otoczenie.

W odróżnieniu od nerwowego Słanika, atmosfera domu Prezydenta tchnęła powagą, ciszą i spokojem. Na nikim nie widać było załamania się ani nierozumnego przynębieńia i paniki. Cisza, czystość intencji, narzucona postawą Prezydenta, dominowała w tym domu. A przecież zarówno Prezydent, jak i Jego otoczenie zdawali sobie sprawę równie

dobrze, jak i my w Słaniku, z tragedii, jaka się stała.

Tę atmosferę godności i dostojęstwa wspominam i dzisiaj z uczuciem najgłębszego szacunku...

Pan Prezydent powitał mnie z radością i zdziwieniem. Te kilka dni od opuszczenia Polski odstąpiły przed Nim tak wiele małości i słabości...

Meldowałem długo Panu Prezydentowi sytuację po sytuacji, często pytany o opinię lub ocenę poszczególnych osób, które powinny być dalej kontynuować wojnę. Prezydent szczegółowo i dokładnie wtajemniczył mnie w przyczyny, które powstrzymały go od ujawnienia dekretu o następcy i swojej rezygnacji. Podaję tylko strzępy rozmów i planów Zmarłego. Nie czas jeszcze na ujawnianie ich w całej rozciągłości.

Prezydent polecił powiadomić Rząd, że amb. Raczyński odwiedził go i wywierał nacisk o natychmiastową rezygnację na rzecz Sikorskiego, Paderewskiego lub A. Zaleskiego i że właśnie znów zapowiedział swoją nową wizytę „z nowymi kandydatami”, jak powiedział ze smutnym uśmiechem, „którzy mają nas oddać w niewolę polityczną Francji”. Prezydent nie ujawnił Raczyńskiemu przyczyn swojej odmowy, ani nie podał mu terminu, kiedy opublikuje swoją rezygnację i ujawni dekret o następcy, nie miał bowiem już do niego, tego ongiś swego kandydata na ambasadora w Rumunii, zaufania i wiary.

W dalszym ciągu rozmowy, toczącej się dookoła ludzi i charakterów, padało niejednokrotnie nazwisko gen. Sosnkowskiego, gen. Wieniawy-Długoszewskiego, podówczas amb. przy Kwirynale, b. marsz. senatu Raczkiewicza i inne. Jedne z rzeczową sympatią, inne z szacunkiem do wiedzy i powagi, inne z uczuciem przyjaznego stosunku.

Prezydent wyrażał żal głęboki, że działania wojenne w Polsce nie pozwoliły mu na kontakt z gen. Sosnkowskim, którego właściwie najchętniej widziałby jako prezydenta po sobie. Mówił mi o negatywnej próbie nawiązania kontaktu z królem rumuńskim, którego tak niedawno gościł w Polsce. Mówił o swoich przewidywaniach, że wojna potrwa długo i że musimy jak najgodniej podkreślać nasz wkład do tej wojny, a niewywiązanie się z zobowiązań naszych sojuszników.

Prezydent dzielił się troską o zachowanie samodzielności i ciągłości naszych władz naczelnych i naszej polityki. Obawiał się intryg francuskich i tych polityków polskich, którzy nas pchają w objęcia chwiejnej, słabej Francji. Byłem zbudowany wiarą i aktywnością Prezydenta. Usłyszałem od Niego szereg nazwisk, z którymi nawiązał i w Rumunii, i poza jej granicami kontakty, wysyłając kurierów bądź też utrzymując łączność telefoniczną i telegraficzną. Podał mi szereg znaków umownych i kodów, którymi nadal mieliśmy się porozumiewać. Nie widziałem na Nim ani zmęczenia, ani zniechęcenia. Przeciwnie — był pełen inicjatywy. Przeszłe wydarzenia oceniał spokojnie, beznamiętnie i z wyrozumiałością, rozgrzeszając słabych charakterem. Znajdował przy tym czas na odwiedzanie stojącego niedaleko polskiego pociągu sanitarnego, który przywiózł rannych aż spod Kielc. Połowę swoich nader skromnych funduszków oddał do dyspozycji komendanta pociągu. Reszta pieniędzy, jak mi się zwierzył adiutant mjr Hartman, rozeszła się na opłacenie depeš i telefonów. Kasa była pusta. Odwiedzający Prezydenta RP ambasador i dawny znajomy osobisty Prezydenta nie zainteresował się, z czego i jak egzystuje Prezydent i jego otoczenie...

Pożegnani po ojcowsku — powróciliśmy z żoną do Bicz pod silnym urokiem tego Człowieka.

W kilka dni potem, dnia 30 września, Prezydent Mościcki podał do wiadomości swoją rezygnację i ujawnił dekret o następcy. Rząd gen. Sławoja-Składkowskiego podał się do dymisji. Nowi ministrowie nie nawiązali żadnego kontaktu, ani nawet nie podziękowali za nadesłane im kurtuazyjne depesze przez członków rządu ustępującego. Rozpoczęła się era „nowej” Polski i „nowej” armii polskiej.

Min. Beck — chcąc dać wyraz swemu dążeniu do zachowania ciągłości władz i polityki — wysłał do nowego Prezydenta RP panią H.D. z następującym listem:

„Korzystając z jednej z rzadkich dzisiaj okazji, jako obywatel RP pozwalam sobie przedstawić Panu Prezydentowi kilka uwag związanych z naszą sytuacją, tj. sytuacją Polski.

1. Klęska militarna powoduje zawsze szereg zjawisk ujemnych, nieuniknionych, ale w wojnie koalicyjnej zostawia możliwość odbudowy pozycji politycznej naszego Państwa, gdyż w tym charakterze wojny nie można operacji wojennych w Polsce traktować indywidualnie.

2. Rozgrywka polityczna zależy od postawy aliantów, a przede wszystkim od własnej postawy polskiej.

3. Odnoszę wrażenie, że pozycja Anglii, która jest zresztą kierowniczym czynnikiem wojny, jest prawie bez zarzutu. Natomiast aliant francuski i Polacy sami okazują przygnębienie zbyt łatwe i stosują metody polityczne, które Państwo nasze prowadzą niżej, niżli ofiary poniesione przez nasz naród w tej wspólnej wojnie uzasadnić mogły.

4. Pozwalam sobie przypomnieć, że pierwsza myśl o ko-

nieczności przeniesienia najwyższych władz RP, na podstawie przykładu Belgii z roku 1914, była wysunięta wobec naszego Rządu przez Francuzów (démarche amb. Noela w Krzemieńcu). Ambasador w dramatycznej formie domagał się ode mnie przesunięcia mego urzędu i korpusu dyplomatycznego za granicę rumuńską, uważając to za jedyną drogę dla realizacji planów.

5. Wobec powyższego stworzenie „siège'u” naszego rządu we Francji jest wynikiem układu, a nie decyzji w ostatnim momencie i nakłada na Francję obowiązki. Rząd angielski był o wszystkich szczegółach sprawy informowany. Rząd rumuński w imieniu króla sam zaproponował „hospitalité ou droit de passage”.

6. Jest jasne, że wpływowe koła francuskie oraz związane z nimi czynniki polskie, postawiły z góry na wykorzystanie sytuacji dla „przewrotu reżimowego”. Uważam osobiście, że w tak groźnym momencie naszej historii tzw. sprawy reżimowe mają znaczenie podrzędne — chodzi tylko o to, ażeby tej okazji nie wykorzystano dla umniejszenia naszego Państwa w zespole aliantów.

7. W tym duchu, w porozumieniu z b. Prezydentem prof. Mościckim, spowodowałem bez trudu natychmiastową jednomyślną decyzję moich byłych kolegów gabinetowych — w kierunku dymisji, usuwającej z sumienia każdego obywatela RP jakąkolwiek wątpliwość co do legalności przekazania władzy. Miałem również na myśli to, ażeby Francja i Anglia nie mogły się uważać za zwolnione z zobowiązań powziętych wobec poprzedniego Rządu RP.

8. Muszę z ubolewaniem stwierdzić, że smutne widowisko, stworzone w Rumunii przez słabość naszych placówek dyplomatycznych, gadaniny różnych polskich osobistości oraz bezceremonialna taktyka ambasady francuskiej, pośrednio obniża z konieczności pozycję Rządu w Paryżu. Te błędy, związane z atmosferą niepowodzeń, dałyby się częściowo naprawić przez zdecydowaną postawę aktualnego Rządu, między innymi w sprawie wyjazdu Prezydenta Mościckiego oraz zniesienia internowania byłych członków gabinetu — przy czym nie chodzi tu o osoby, ale o symbolikę. Jest zbyt wiele czynników na świecie, którym zależy na przerwaniu lub osłabieniu ciągłości legalnych władz RP, celem zrobienia z Polski obiektu w życiu międzynarodowym.

9. Rozumiem doskonale, że załamanie się naszej siły materialnej zmusza nas do wielu kompromisów i nie pozwala na szukanie rozwiązań zbyt trudnych w stosunku do aliantów. Chodzi mi tylko o to, ażebyśmy sami nie zeszli niżej, niż na to obiektywnie zasługujemy.

10. Jeśli okoliczności i koncentracja wielu wysiłków, utrudniająca mi możliwość poinformowania Pana Prezydenta w wszystkich sprawach międzynarodowych z czasu, gdy byłem ministrem RP, w sprawach mogących być atutem w ręku Rządu Polskiego, pozwolą mi dać wyjaśnienia konkretniejsze — postaram się to uczynić.”

• • •

Jak mi wiadomo, min. J. Beck nigdy nie był pytany o zdanie czy opinię co do jego polityki przez jakikolwiek polski czynnik oficjalny.

W. T. Drymmer

Piłsudczycy w Palestynie

W Palestynie skupiła się poważna ilość nas, piłsudczyków, zmuszonych opuścić Węgry i Rumunię. Rozejrzawszy się po naszych szeregach i stwierdziwszy, że wielu naszych dawnych towarzyszy załamało się i odpadło pod brzemieniem wydarzeń i skłonności do wygodnego życia, zorganizowaliśmy się w szczypty, ale za to zdecydowany do walki zespół. Znaleźliśmy się w tłumie biednych, obolałych psychicznie ludzi, podszuczanych do szukania winowajców kłęski, targanych wyrzutami i podejrzeniami, których im pod dostatkiem dostarczała liczna hałastra sprzedajnych agentów Kota. Tłumowi ukazywano codziennie w prasie i w radiu Polskę przedwrześniową jako twór sprostytuowany, sprzedajny, zdradziecki, rządzony przez agentów niemieckich. Panowie Sikorski i Mikołajczyk, Kot i Strassburger, Banaczyk i Stańczyk, i cała plejada mniejszych dostojników „nowej” Polski uczyli naród w Polsce i na emigracji nowego patriotyzmu, wbijali cudzoziemcom w głowę, z jak nieuczciwym i niktzemnym partnerem mieli do czynienia przed wojną.

Toteż staliśmy się obiektem szczególnie zacieklej akcji ze strony czynników urzędowych. Nie dziwiliśmy się temu znając ludzi, którzy drogą przypadku uchwycili ster władzy. Z tymi ludźmi byliśmy w walce ideowej we wczesnym okresie niepodległości. Widzieliśmy, jak uprawiali politykę austrofilską i proniemiecką w czasie pierwszej wojny, znaleźliśmy ich z okresu pierwszych lat niepodległości, gdy przenieśli swe sympatie z mocarstw centralnych na Francję. Wiedzieliśmy, że ich lojalizm wobec obcych mocarstw idzie w parze z nieprzejednaną walką, którą wypowiedzieli obozowi niepodległościowemu dawnemu i obecnemu.

Cóż sami ludzie dzisiaj mówią do nas przez radio i prasę i w dalszym ciągu szkalują Polskę, jej niedawną przeszłość i jej bohaterstwo z czasów okupacji niemieckiej, po raz trzeci służąc obcej racji stanu.

Cofnijmy się myślą o siedem, sześć lat. Przypomnijmy czasy, kiedy cały wysiłek propagandy rządowej szedł tylko w kierunku wymazania z dziejów Polski epoki Józefa Piłsudskiego. Niszczono i usuwano zewnętrzne oznaki Jego obecności, wy-

mazywano starannie wszelki ślad o Nim z podręczników szkolnych, historii, geografii, czytanek, kalendarzy. Pomijano Go w prasie i radiu. Zamknięto usta nawet Prezydentowi RP. Ukazywały się natomiast kłamliwe publikacje przeznaczone dla cudzoziemców, jak „Pologne”, wydana w Paryżu — opatrzona wstępem samego Naczelnego Wodza, w której były dwa zdania o Piłsudskim. Jedno: że razem z gen. Sikorskim zorganizował Legiony polskie (!), drugie — że brał udział w wojnie 1920 roku, podczas której walną i decydującą bitwę wygrał... gen. Sikorski! Przypomnijmy sobie i innym, że tak wojsku, jak i uchodźcom zabraniano nabożeństw żałobnych za Komentanta. Przypomnijmy, że piłsudczyków usuwano z urzędów i wojska, zabraniając im pełnić obowiązki wojskowe. Mszczono się nie tylko na rodzicach, lecz i na dzieciach. Przypomnijmy haniebne obozy koncentracyjne w Algierze, we Francji, w Wielkiej Brytanii, w których trzymało lata całe najwybitniejszych przedstawicieli obozu niepodległościowego. Nie wolno nam o tym zapominać i nie wolno nam milczeć! Wielu z tych, co to robili — odeszło na służbę sowiecką, ale wielu jeszcze pozostało, by pełnić nadal swoje podłe rzemiosło zdrajców.

Przypomnijmy sobie denuncjacje w Kraju, denuncjacje w Rumunii i na Węgrzech czy nawet tu, w Palestynie. Dla wielu spośród nas miało to tragiczne konsekwencje.

Najwybitniejsi piłsudczycy umierali wśród wrogów, bo nie tylko odmawiano im pomocy, ale denuncjonowano ich próby ucieczki. Tak było z Beckiem i Prystorem, których Sikorski i Kot uważali za zdrajców narodu. Inni znów posądzani o dezercję, jak Matuszewski, płacili za to zdrowiem i życiem lub jak oskarżony o nepotyzm i korzyści materialne — prezydent Mościcki, umierali w wielkim niedostatku. Wybitni generałowie, aresztowywani lub sądzeni za rzekomą zdradę, usuwani byli z szeregów armii, jak Rayski i Stachiewicz, lub pułkownik Zieleniewski — za rzekome tchórzostwo.

Rozkazy Naczelnego Wodza zabraniały utrzymywania jakichkolwiek kontaktów z dawnymi przedstawicielami rządu lub tzw. sanacji.

Na nic zdały się te wszystkie plugastwa. Na nic wysiłki rządów Sikorski-Mikołajczyk. W miarę nasilania walki z Piłsudskim, Jego wielkość, Jego znaczenie, Jego wskazania i nauki — nabierały na sile i powszechności. Jego słowa z za grobu nabierały innej, żywszej, bardziej zrozumiałej barwy i — sądzę — były lepiej rozumiane i szanowane niżli wtedy, gdy czuwał nad nami.

Renesans idei Piłsudskiego jest niewątpliwy. Dziwić się może tylko cudzoziemiec, jak ów korespondent angielski, który oglądając urzędy i kwatery wojska we Włoszech zdumiał się kultem dla Zmarłego.

Jego myśl polityczna została tak w pełni zrozumiana i stała się powszechną tak dalece, że znalazła swój wyraz w na nowo pisanych programach partyjnych jego przeciwników, myślicy Jego myślami, często wbrew własnej woli... „I moje będzie z za grobu zwycięstwo” — mógłby powiedzieć Józef Piłsudski za swoim ulubionym poetą.

• • •

Oto w najgrubszych zarysach tło i triumf myśli politycznej Józefa Piłsudskiego w społeczeństwie uchodźczym na Środkowym Wschodzie w okresie 7 lat, w którym prowadziliśmy pracę.

Początek naszych prób policzenia się i zorganizowania przypada na początek 1941 roku, kiedy to zbierało się nas po kilkadziesiąt niekiedy osób w mieszkaniu prywatnym, aby w drodze dyskusji i wymiany zapamiętanych ustalić pogląd na niedawną przeszłość i wyciągnąć wnioski co do przyszłości i zagadnień bieżących. Zebrania te, pod obstrzałem wszelkiego rodzaju szpicłów i denuncjantów, zakłócały spokój naszym polskim władzom, które usiłowały zastraszyć nas i zmusić do zaprzestania pracy grożąc odbieraniem zasiłków i cofnięciem opieki konsularnej. W kilku wypadkach groźbę wprowadzono w czyn.

Nie zastraszone nas.

Pierwsza nasza publiczna demonstracja — msza żałobna za Komentanta w Jafie w marcu 1941 roku — skupiła zaledwie... garstkę najwierniejszych i... najodważniejszych. Dowódcy zabraniali odprawienia mszy żałobnej w obozie wojskowym.

Następne obchody skupiały coraz więcej ludzi, a ostatnie przypominały już uroczystości doroczne w Polsce: władze, delegacje, wojsko i tłumy.

Jakże nam droga była pierwsza fotografia Komendanta otrzymana ze Szkocji z datą 6 sierpnia 1941, którą powieliśmy w setkach egzemplarzy tu, na Ziemi Świętej, i z jakim uczuciem i sercem była rozchwyтана w Palestynie. Gdy pojawiły się w Persji pierwsze oddziały wojska i więźniów z Rosji — wydaliśmy dla nich „Pamiętkę z Ziemi Świętej” z wizerunkiem Komendanta i kilku wybranymi myślami. Pamiętka ta była nabywana z taką wdzięcznością i z takim pietyzmem przechowywana przez żołnierzy i b. więźniów, że to napięcie uczuć można porównać jedynie do sentymentu, jakim darzyliśmy Dziadka w czasach legionowych.

Po przypomnieniu społeczeństwu Piłsudskiego — przystąpiliśmy do ożywionej akcji ulotkowej, której celem była walka z kłamstwem oficjalnej propagandy polskiej, narzucającej Polakom z prasy i głośników radiowych. Musieliśmy informować o tym, co się dzieje w Polsce pod okupacją sowiecką, a co tak starannie Londyn przed nami przemilczał, musieliśmy pisać o łagrach sowieckich, w których ginęli nasi rodacy. Musieliśmy zadawać kłam naszej oficjalnej propagandzie, wybielającej Rosję. Musieliśmy domagać się interwencji polskiej i alianckiej na rzecz ginących z głodu i chorób Polaków w Rosji i na wschodzie Polski. Ta akcja doprowadzała czynniki urzędowe do najostrzejszych ataków przeciwko nam.

Po katastrofalnym pakcie Sikorski-Majski wydaliśmy broszurkę na powielaczu pt. „Pokłosie”, gdzie zestawiając głosy prasy światowej i niezależnej polskiej wskazaliśmy, jakie zgubne konsekwencje w stosunku do interesów Rzpltej sprawiła ta umowa. Widzimy dzisiaj, że jedynie my, piłsudczycy, oceniliśmy ten pakt tak, jak na to zasługiwał. Przypomnieliśmy społeczeństwu, publikując list otwarty amb. Łukasiewicza do Prezydenta, o machinacjach gen. Sikorskiego, który — porzuciwszy ewakuujące się chaotycznie wojsko we Francji — udał się do Londynu i tam bez zgody i wiedzy Prezydenta i rządu złożył znany memoriał o konieczności formowania polskiej armii

IGNACY MATUSZEWSKI

Z listów do przyjaciół

17 września 1945 roku

Wiem na pewno tylko jedno: że z tych grobów, w których jest grób i mego jedyne dziecko — powraca ten szept, który słyszałem zawsze, ale który teraz jest jeszcze inny, jeszcze wyraźniejszy i jeszcze bardziej nieodparty: że nie wolno się poddać nigdy, nigdy. Bo wtedy dopiero umrą oni naprawdę i na zawsze. I chyba się nie poddam. Choć bardzo ciężko będzie żyć...

* * *

Jaki straszliwy krąg zatoczyło życie od tamtej szczęśliwej wojny, od Kijowa, Dniepru i Lwowa, mijanego w Dzień Zaduszny 18 roku —

w Rosji, z którą przecie byliśmy w wojnie!

Zwalczaliśmy w ulotkach akcję Sikorskiego w Ameryce — na korzyść Rosji, czemu niedawno dał wyraz red. Januszewski w swej mowie do gen. Bora-Komorowskiego.

Uznawszy, że akcja ulotkowa jest nie dość wystarczająca, uruchomiliśmy periodyk pn. „Biuletyn Niezależnych”. Jakim nakładem pracy i zapobiegliwości udało się nam wydawać to pismo bez pieniędzy, papieru, powielacza, pod stałą obserwacją agentur Kota i licznych dwójek, jest to tajemnicą dwóch ludzi, którzy prowadzili całą pracę redakcyjną i techniczną. „Biuletynów” ukazało się dwadzieścia. Były to dla uchodźstwa jedyne źródła prawdziwej i rzetelnej informacji. „Biuletyn” docierał wszędzie, szedł z rąk do rąk i spełniał swoją pożyteczną rolę, budząc czujność na niebezpieczeństwo sowieckie i jego agentury, równie groźne, jak niemieckie.

W październiku 1944 w zmienionych warunkach wewnątrzno-politycznych przystąpiliśmy do wydawania naszego organu oficjalnego — „Na straży”.

Niezależnie od akcji ulotkowej i prasy periodycznej postanowiliśmy dać społeczeństwu nieco materiału źródłowego o najbardziej aktual-

do tej wojny, którą świat kończy w fałszu, kłamstwie, obłąkaniu i tchórzostwie. I może ci tylko, którzy polegli na niepotrzebnych z rachunku i chyba Bogu tylko dla odkupienia ludzkiej godności potrzebnych warszawskich Termopilach — chyba ci jedni tylko, Polacy właśnie, ocalał świat, który był naszym światem, jeśli można go jeszcze ocalić.

Jeśli przecież chce ginąć — niech ginie przeciw nam. A jeśli nawet Bóg stworzył ten świat bez sensu, to przecież Ewa (córka — przyp. Red.), która została sama na straconej placówce w straconym mieście straconego kraju, aby nie opuścić rannych

nach zagadnieniach politycznych, jak również wypełnić dotkliwą lukę braku pism Komendanta. Wydaliśmy ogółem 13 broszur.* Praca nasza była niezmiernie utrudniona z powodu braku pieniędzy i niezmiernie kosztownego papieru na tzw. wolnym rynku. Chcąc wydać następną broszurę musieliśmy czekać na sprzedaż poprzedniej. Na wydanie Matuszewskiego — „O co walczyliśmy” dostaliśmy samorzutnie zaofiarowaną pożyczkę od chorążego A.W. z 7 PAL. To pozwoliło nam wydać i rozpowszechnić w Iraku tę cenną i aktualną wtedy pracę.

Nie poprzestawiliśmy jedynie na akcji publicystycznej. Każda akademia była wykorzystana dla nawiązania do aktualnej sytuacji politycznej. Pamiętam taki odczyt p. J. Jędrzejewicza w dniu 18 marca 1943 roku. Przepiętna sala zamarta ze strachu i zdziwienia, gdy padły — w owym czasie terroru — słowa potępiające działalność rządu gen. Sikorskiego, który przekreślając przeszłość usiłował budować „nową” Polskę, opartą rzekomo o nowych ludzi, nową konstytucję, nowy ustrój społeczny, a którego, zarówno jak i jego przyjaciół, cała przeszłość była żywym zaprzeczeniem czegoś nowe-

* Wykaz tych wydawnictw znajduje się na innym miejscu.

— nadała światu swój niezłomny i wspinały ludzki sens.

* * *

29 listopada 1945 roku

Błąd... leży u podstaw decyzji powstania. Jest bowiem prosta prawda, której nie wolno nikomu zapominać: nie wolno przelewać krwi nadaremnie. Ktokolwiek z jakiegokolwiek powodu odchyła się od tego przykazania — ten nie do zwycięstwa prowadzi, ale do klęski. Krew polska jest dla Polski, nie dla nikogo innego i ktokolwiek żąda za nią od innych czegoś mniej, niż ich krwi, niż ich t a k i e j s a m e j ofiary — ten nie reprezentuje narodu... To, co nazywaliśmy od września 1939, od Sikorskiego do

go. Padają twarde słowa stwierdzające, że ci „nowi” ludzie, to znani od dawna intryganci polityczni, niejednokrotnie związani z obcym kapitałem i obcymi agenturami. Jakże prorocze były te słowa! Gdzież są pp. Kot, Mikołajczyk, Kiernik, Kaczyński, Strassburger, Stańczyk i Banaczyk?

Prasa, publikacje nasze, odczyty — były wyrazami walki. Walki z kłamstwem, kompromisem, agenturami obcymi, nikczemnością i tchórzostwem. Były wołaniem o prawdę, o polską myśl polityczną.

Praca organizacyjna biegła nurtem równoległym. Początkowy zespół piłsudczyków przekształcił się w lipcu 1944 roku w Związek Pracy dla Państwa. Zasady programowe zostały opublikowane drukiem. Nawiązaliśmy kontakty organizacyjne z Londynem, New Yorkiem i Teheranem. Kontakty zamorskie były niestety trudnione przez tych, którzy na prośbę pp. kotów i mikołajczyków, uważając nas za podejrzanych, nie doręczali nam listów, lecz czasami puste koperty. Mimo te przeszkody, zachowaliśmy pełną jedność ideową w sprawach zasadniczych, świadcząc, że piłsudczycy jednakowo myślą, choćby długi czas nie mieli ze sobą łączności.

To zwycięstwo idei, zwycięstwo zasad będzie towarzyszyło nam i nadal — pod warunkiem, że nie odejdziemy od nakazu Komendanta: „Służyć Polsce i tylko Polsce”.

W.T.D.

listopada 1944, do ustąpienia Mikołajczyka, „Rządem Polskim” — to była właśnie nieustanna zdrada, częściej niestety świadoma, niż nieświadoma.

A jednak wydaje mi się n a p r a w d ę, że dzięki takim, jak Ewa, powstanie warszawskie stało się czymś i n n y m niż t y l k o klęską. Klęską stało się na pewno: w r. 1944 przegraliśmy po raz drugi wojnę, zużywając niepotrzebnie ostatecznie i najlepsze nasze siły. Ale w tym wybuchu, w hekatombie, w tej klęsce było tyle straszliwej wzniosłości, że j e s t w niej siła, jaka jest w męczeństwie. A zarazem, dzięki tej sile uniesienia, jaka mimo wszystko buchnęła stamtąd, z Warszawy, ku światu — prawda podłości, tchórzostwa i zdrady Moskwy, Londynu, Waszyngtonu została oświetlona. I to jest też prawda. Dlatego może — Ewa nie umarła daremnie.

* * *

2 stycznia 1946 roku

Głosu Warszawy nie było słychać na świecie. Książka o powstaniu, napisana krwią, należy się wszystkim, którzy tam polegli, żeby nie pozostali niemi, niemi na zawsze.

* * *

...Serce wyszło z ataku nieuszkodzone i regeneruje się szybko. Zobaczymy. Mam ochotę doczekać wygranej — i zemsty.

* * *

26 stycznia 1946 roku

Ucieszyłem się bardzo tym, co piszesz o moich artykułach. Cały czas piszę je w poczuciu, że to nie jest ani praca zarobkowa, ani praca publicystyczna, tylko jest to wysiłek, aby myśl polska ostała się w katastrofie i rozpadzie, aby wiedziała: co, dlaczego i jak się staje i co stawiać się musi. Czasami wydawało mi się, że ten upór jasnego widzenia jest tak właśnie niepotrzebny, jak niepotrzebnym być może ostry wzrok komuś, kto poprzez ściany walącego

się nań — roztrzaskanego wybuchem domu — ogarnia ostatnim spojrzeniem daleki horyzont i widzi wyraźnie, poprzez otworzone rozpadem mury, dalekie lasy i wie, że rosną i nie przestaną, choć za chwilę jego już nie będzie. Może to spojrzenie jest niepotrzebne. Nie umiem przecie się go wyrzec.

* * *

Wydaje mi się, że potrafimy tu uchronić — pomimo wielkich nacisków — kolonię amerykańską od zatamiania, ale pewnych wylamań nie da się prawdopodobnie uniknąć. Ponieważ zaś wiem, że nie jestem giętki, jeśli chodzi o zasadniczą linię — więc nie żdziwisz się na pewno, jak będę zrywał z tymi, co chcą, jak mówi Brzozowski, żeby słońce też „cokolwiek” obracało się koło ziemi, pomimo że zgodzili się „w zasadzie” z Kopernikiem.

* * *

27 stycznia 1946 roku

Z kraju, z którym kontakt udało się nawiązać, przychodzą nie tylko tragiczne wiadomości o śmierci — przychodzą także nieoczekiwane krzepiące wiadomości o życiu. Wedle tego, co wiem, Obóz nasz nie tylko nie zginął, ale żyje, trwa, rozwija się i walczy.

* * *

Różnymiśmy wędrowali drogami i tym więcej jest to cenne, że te drogi szły do tego samego celu i — co więcej — że ci, co po nich szli, myśleli i myślą to samo. Jeśli kiedy ulegała wypróbowaniu przyjaźń duchowa — to właśnie w ciągu tych 6 lat. Tym mocniej ściskam Pańską rękę. Spodziewam się, jak Pan, że konflikt przyjdzie z nieuchronną koniecznością i że dlatego musimy być aktywni i bezkompromisowi. Ale gdyby nawet konflikt miał nie przyjść — także musimy być aktywni i bezkompromisowi, bo jeśli Rzym ma zginąć pod najazdem barbarzyńców, to ci tylko będą go

godni, co potrafią zginąć jak Rzymianie, nie jak tchórze. Czuję to coraz mocniej, że nam właśnie, Polakom, przysługuje dziś prawo mówienia: „Civis Romanus sum”. Im bardziej jesteśmy bezkompromisowi zatem w swoim stanowisku — tym bardziej uniwersalnych bronimy rzeczy.

* * *

14 lutego 1946 roku

(O Ameryce)

Nie mogę znaleźć wspólnego języka z pyszałkowatymi głupcami, protekcyjnymi nieukami, naiwnymi szachrajami, pseudopurytanami, z tą tutejszą pozą „bezstronności”, która gotowa jest rozsądzić zawsze między zbrodniarzem a ofiarą w ten sposób, że „wprawdzie” wepchnięcie całego noża pod zebro jest nieślusne, ale za to, oczywiście, wepchnięcie połowy ostrza jest całkowicie „fair play”, na które ofiara nie ma prawa się skarżyć. A taki jest schemat tutejszego myślenia, a raczej tutejszej bezmyślności. Trudność oddychania wśród tych ludzi jest tym większa jeszcze, że nie tylko wiem, ale widzę przez okno (mieszkam nad rzeką i portem i całe konwoje stąd odchodzą i tu przychodzą), że ci zarozumiali i przez to beznadziejni analfabeci trzymają w swoich rękach losy świata i sterują nimi ku własnej i wszystkich zgubie.

* * *

Trzeba pisać, żeby raz jeszcze ożyli ci, co zginęli, i Ta, co nie zginęła... W tym, co piszesz, to jest najcenniejsze, że pokazujesz, jak w zwyczajnych ludziach i w jaki zwyczajny sposób stawiała się ta nadzwyczajna rzecz, jaką jest nieubłagana polska duma, której nie można złamać nawet w najskromniejszym, najcichszym sercu, jak serce biednej Hali (siostra — przyp. Red.), która też nie poddała się do końca życia. Jaki to jest wpamiętały naród! I nie

można go nie kochać. I nie można przez to przestać być żywym, choć tak bardzo łatwiej było by żyć — będąc martwym.

* * *

1 kwietnia 1946 roku

Jestem już bardzo zmęczony tutejszym tempem, które zawsze okazuje się za powolne i co dzień wieczorem zaległości są większe, niż były rano.

* * *

5 kwietnia 1946 roku

Musi Pan sobie zdać sprawę, że kiedy nas kilku przybyło na tutejszy teren — Polonia amerykańska jako czynnik polityczny nie istniała w ogóle. Nie istniała organizacyjnie, nie istniała myślowo, istniały tylko pewne sentymenty — wartościowe, cenne, ale ślepe. Organizacyjnie rzeczy wyglądały w ten sposób, że istniejące na tutejszym terenie zrzeszenia przede wszystkim o charakterze ubezpieczeniowym (Związek Narodowy Polski, Zjednoczenie Rzymsko-Katolickie, Związek Polek, Sokół i dziesięć innych stowarzyszeń — wszystko to są ubezpieczalnie!), sportowym, śpiewaczym itp. wytworzyły nadbudówkę, nazwaną Radą Polonii Amerykańskiej. W nadbudówce tej prezydował i prezyduje po dziś dzień cenzor największej polskiej ubezpieczalni p. Świattlik. Główną pracą Rady Polonii była idiotyczna zbiórka pieniędzy na pomoc charytatywną dla Polski. Idiotyczna dlatego, że była to zbiórka z kieszeni Polonii. Inne narody — Grecy, Jugosłowianie, Moskale — sięgali przede wszystkim do kieszeni amerykańskich, tworzyli stowarzyszenia reliefowe mieszane. Wskutek tego wyciągali dużo więcej — i zostawiali w kieszeniach swoich rodaków pieniądze na pracę polityczną. Natomiast — Rada Polonii wyciągała pieniądze tylko od Polonii, a przez to zbierała

mało, natomiast — ograniczała, oczywiście, możliwości zebrania funduszków na cele polityczne. Stanowiskiem Świattlika było i jest, że ważniejsze są stare portki, aniżeli całość Państwa Polskiego, i że Polonia ma tymi starymi portkami pocieszyć ludzi, którzy przecież oddali wszystko dlatego, że chcieli, aby Polska była niepodległa.

Rada Polonii, ograniczając się świadomie do pracy nieumiejętnej charytatywnej — uzurpowała sobie jednak prawo do pełnej reprezentacji Polonii. Oznaczało to, że nie reprezentując politycznego stanowiska Polonii — Rada jednocześnie wzbraniała, aby kłokolwiek inny je reprezentował. Zresztą, p. Świattlik miał swoje stanowisko polityczne. Polegało ono na twierdzeniu, że nie jest rzeczą Polonii zajmować się sprawami, które i tak świetnie i cudownie załatwi bohaterowski generał Sikorski, prawdziwy demokrat, który nareszcie zniszczy resztki faszystowskiej Polski Piłsudskiego.

* * *

2 czerwca 1946 roku

Polityka angielska i amerykańska zmierza konsekwentnie do tego, aby z Europy wschodniej na północ od Karpat uczynić ten placek, za który ma się kupić „współpracę” z Sowietami, tj. powstrzymanie ich ekspansji na inne tereny. Dlatego cały wysiłek propagandowy w sprawie polskiej ze strony angielskiej i amerykańskiej zmierza do tego, aby zająć Polaków wyborami, żeby zapomnieli w wyborczym zaciętrzewieniu o granicach i niepodległości, żeby zapomnieli, że mają „do wyboru” tylko między uznaniem panowania rosyjskiego i ...uznaniem panowania rosyjskiego. Wygląda na to, że sporo ludzi w Londynie (myślę o tzw. „kołach rządowych”) dało się wciągnąć w tę mało skomplikowaną pułapkę.

ORGANIZACJA EMIGRACJI

Sprawa organizacji emigracji stała się od pewnego czasu jednym z najbardziej palących zagadnień naszego uchodźczego życia. Coraz więcej uwagi zaczyna mu poświęcać nasza publicystyka emigracyjna. Kto by jednak na tej tylko podstawie chciał oceniać stopień zainteresowania, jaki budzi ona w społeczności polskiej poza Krajem, byłby w błędzie: zainteresowanie to jest znacznie większe, niżby to wynikało z ilości poświęconych temu problemowi szpalt naszej prasy.

Przez dłuższy czas jak gdyby wstydzono się ujawniać drukiem istnienie tego problemu. Był on raczej tematem dyskusji w różnych zamkniętych zespołach i sporej liczby będących ich wynikiem poufnych memoriałów, składanych Rządowi oraz różnym władzom lub instytucjom.

W świadomości szerszych rzesz uchodźstwa problem ten powstał mniej lub więcej na przełomie roku 1944/45, a więc w czasie, gdy po raz pierwszy zaczęliśmy nie tylko obawiać się, ale wprost przewidywać, że nie będziemy mogli wrócić do Kraju bezpośrednio po zakończeniu wojny.

Jak długo istniała nadzieja na pozytywne, a przynajmniej nie katastrofalne załatwienie sprawy polskiej bezpośrednio po wojnie, problem organizacji uchodźstwa był zagadnieniem, jeśli nie trzecio, to w każdym razie — drugorzędnym. Jeśli tworzyliśmy już wówczas takie czy inne organizacje: zawodowe, kulturalne i wychowawcze, charytatywne, gospodarcze itp., traktowaliśmy je jako twory obliczone na krótką metę, które miały automatycznie zniknąć z chwilą naszego powrotu do Kraju. Spodziewaliśmy się, że wracając do Kraju wrócimy i do tych form organizacyjnych, które wypełnialiśmy przed opuszczeniem Ojczyzny, względnie że wspólnie ze społeczeństwem w Kraju stworzymy formy nowe.

Zresztą — poza organizacjami, mającymi cele konkretne, ale ograniczone — jakaś ogólna organizacja emigracji nie była właściwie potrzebna, a w każdym razie nie była niezbędna.

Ogromna większość emigracji, pozostająca w zasięgu „Londynu”,

znajdowała się w wojsku. Cywile zatrudnieni byli przeważnie w różnych państwowych i półpaństwowych urzędach lub instytucjach. Poza wojskiem i poza aparaturą państwową znajdowały się z jednej strony rodziny żołnierzy lub funkcjonariuszów państwowych, z drugiej uchodźcy nie zatrudnieni zarobkowo, lecz utrzymywani przez aparat opieki społecznej.

Fakt ten odbił się na stosunku Rządu i zbliżonych do Rządu ogólnych sfer politycznych do społeczności emigracyjnej. Przyzwyczajono się widzieć w niej nie tyle pełnoprawnych obywateli, ile element zależny od Rządu i obowiązany do posłuszeństwa wobec niego i jego organów. Obowiązek ten ciążył na żołnierzach z racji dyscypliny wojskowej, na urzędnikach — z tytułu dyscypliny urzędniczej, wymuszanej nie tyle w drodze postępowania i — w razie potrzeby — kar dyscyplinarnych, ile przy pomocy znacznie skuteczniejszej w warunkach emigracyjnych groźby redukcji; wreszcie uchodźcy „tout court” traktowani byli jako tzw. podopieczni. I wobec nich miano w rękę w razie potrzeby broń niezwykle skuteczną: groźbę cofnięcia czy choćby wstrzymania zasiłku „do czasu przeprowadzenia dochodzeń”.

Ten stan rzeczy zaciążył wyraźnie na stosunku władz państwowych do całej emigracji, a wszelkie próby wyłonienia w drodze takiej czy innej procedury wyborczej reprezentacji uchodźstwa, próby, lansowane zresztą dość nieśmiało w różnych memoriałach, a nie poruszane niemal zupełnie w drodze publicznej dyskusji i w publicystyce, spotykały się z kategorycznym sprzeciwem tzw. czynników miarodajnych.

Jeśli rządy nasze czuły się przed kim odpowiedzialne, a przynajmniej twierdziły, że czują się odpowiedzialne, to przed „Krajem”. Kraj i tylko Kraj miał wedle tej teorii prawo domagania się od Rządu rachunku. Celowo przeciwstawiano poświęcenia i ofiary Kraju względnie dosyćowi i bezpieczeństwu emigracji, by odmówić jej wszelkiego udziału w zadaniu kontrolowania działalności Rządu.

To skoncentrowanie kontroli politycznej Rządu w rękach Kraju było

zresztą dla wszystkich gabinetów emigracyjnych bardzo wygodne. Kraj — w warunkach okupacyjnych — to była reprezentacja polityczna stronnictw, to była najpierw tzw. Krajowa Reprezentacja Polityczna, przekształcona później na Radę Jedności Narodowej. To były zatem cztery stronnictwa, a raczej władze naczelne tych stronnictw. Niepisane prawo praktyki i precedensu sprawiło, że obok, a może i ponad władze naczelne czterech stronnictw w Kraju wyrosły zagraniczne reprezentacje tychże stronnictw, upoważnione, a częściowo usurpujące sobie prawo przemawiania imieniem krajowych władz stronnictw.

Wszystkie inne czynniki, a więc zarówno ugrupowania polityczne, nie wchodzące w skład czwórporozumienia, jak i nie zorganizowana politycznie masa emigracji — po prostu nie liczyły się. „Kraj”, to znaczy góry partyjne — nie życzyły sobie dopuszczania ich do głosu, rząd zatem, który ich do głosu nie dopuszczał, miał za sobą wszystko pokrywające zyro „Kraju”. Jak ustosunkowałyby się do tego zagadnienia opinia szerokich mas społeczeństwa w Kraju, gdyby postawiono je przed nią w sposób wyraźny, nie można było skontrolować w warunkach okupacyjnych.

Ten niezmiernie dla czynników kierowniczych wygodny stan rzeczy zaczął się psuć z chwilą, gdy w łonie samego czwórporozumienia zarysowały się rozdzwieki, zwłaszcza zaś kiedy doszło do otwartego rozłamu, którego wynikiem było powstanie rządu premiera Arciszewskiego. Lekceważona dotychczas opinia emigracji stała się pewnym atutem w rozgrywce między byłymi partnerami czwórporozumienia: powstające samorzutnie nadbudówki organizacyjne, w rodzaju np. Rady Stowarzyszeń Uchodźczych w Palestynie czy Rady Stowarzyszeń Społecznych w Edynburgu, zaczynają przedstawiać pewną wartość. Ich uchwały, popierające stanowisko Rządu, stają się dla niego argumentem w walce z opozycją Mikołajczyka. Były to jednak objawy raczej izolowane.

Role pierwszoplanową zdobyło sobie zagadnienie organizacji emigracji w opinii uchodźczej dopiero wów-

czas gdy zaszły dwa zbiegające się w czasie fakty: wyjaśnienie, że czujące niepodległościowo uchodźstwo nie będzie mogło na razie wrócić do Kraju oraz cofnięcie legalnemu Rządowi uznania.

Fakt pierwszy postawił przed emigracją zagadnienie przetrwania poza granicami Kraju: sprawa zatrudnienia, zarobku oraz czasowego osiedlenia się stała się dla rzesz uchodźczych zagadnieniem palącym. Istniejąca jeszcze, choć kurcząca się niemal z każdym miesiącem, opieka ze strony władz brytyjskich czy UNRRA łagodzi poniekąd i odsuwa w czasie to zagadnienie. Nikt jednak nie łudzi się już dziś, by stan ten mógł trwać bez końca.

Nie można powiedzieć, by uchodźstwo kwapiło się do ujęcia tych zagadnień w swoje własne ręce; początkowo oczekiwało ono powszechnie, że pokieruje nim Rząd względnie — jeśli chodzi o żołnierzy — władze wojskowe. Można powiedzieć, że i dziś jeszcze emigracja widziałaby chętnie, by właściwe władze ujęły w swe ręce i rozwiązały te zagadnienia — pod jednym wszakże warunkiem: emigracja chciałaby mieć kontrolę nad sposobem, w jaki władze to zagadnienie będą rozwiązywały.

Domaganie się kontroli czynników społecznych nad działalnością władz nie ogranicza się jednak do względnie wąskiego zakresu zagadnień życiowych samej emigracji. Opinia publiczna emigracji domaga się jej coraz głośniejsze także w odniesieniu do działalności politycznej Rządu względnie wskutek braku tej działalności.

Na tle inercji, w jaką popadły sfery kierownicze obozu niepodległościowego, powstało zjawisko, któremu trudno nadać inną nazwę, jak powszechnego kryzysu zaufania. Rząd, by rządzić — a w warunkach braku egzekutywy i braku środków finansowych rządzenie sprowadza się wyłącznie do posiadania tzw. rządu dusz — musi cieszyć się u rządzonych autorytetem. Sam fakt, że jest rządem legalnym, nie wystarcza.

Nie mamy dziś, niestety, w naszym zespole emigracyjnym ani jednostki, ani zespołu ludzkiego, który by posiadał bezsporny autorytet u całego społeczeństwa z mocy walorów czysto osobistych. Rok,

dzielący nas od chwili cofnięcia Rządowi uznania, rok aktywności więcej niż anemicznej i stopniowego kurczenia się wszelkich zewnętrznych przejawów istnienia i działalności Rządu osłabił autorytety, oparte na najbardziej konstytucyjnych i legalnych dokumentach. Gra wprawdzie sentyment do posiadania własnych legalnych władz, gra bezwzględna negacja narzuconej i nienawistnej bierutowej administracji. Oba te uczucia nie zastąpią jednak wiary w zdolności przywódcze tych, na których padł obowiązek kierowania sprawą polską w trudnej chwili dziejowej.

Jaka jest na to rada? Jedyne możliwe drogą dla przywrócenia kontaktu i zaufania między rządzącymi i rządzonymi jest w naszych dzisiejszych warunkach zorganizowanie emigracji i wyłonienie jej reprezentacji w drodze takiej czy innej procedury wyborczej. Czy procedura ta wyniesie na czoło społeczności emigracyjnej jakieś dotąd ukryte przed naszymi oczami talenty, jakieś postacie, obdarzone wyjątkowymi zdolnościami przywódczymi? Należy w to raczej wątpić. Natomiast — da jedną rzecz bezsporną. Da — wyłonionej na tej drodze reprezentacji: wyraźny mandat do przemawiania i działania w imieniu nie tylko pewnych grup czy grupek uchodźczych, choćby najbardziej doświadczonych i zasłużonych w pracy społecznej i działalności politycznej, lecz w imieniu całego uchodźstwa.

Stworzy ona ponadto wyraźną odpowiedzialność wybranych wobec tych, którzy ich wybrali. Stworzy konieczność liczenia się przez nich z tym, że nie są nieusuwalni, że na zachowanie przez czas dłuższy uzyskanych mandatów będą musieli sobie rzetelnie zapracować. Stworzy wreszcie u ogółu uchodźczego poczucie, że ma on wpływ na swój własny uchodźczy los, a tym samym zwiększy jego zainteresowanie sprawami publicznymi.

Apatia, która zaczyna zagrażać naszemu życiu emigracyjnemu, poddyktowana jest w dużym stopniu przeświadczeniem, że jednostka nie może niczego zdziałać, że jest ona rządzona, a co najmniej reprezentowana przez ludzi, na których powołanie i odwołanie nie ma żadnego wpływu, którzy są — praktycznie biorąc — nieusuwalni.

Czy naczelna reprezentacja emigracji, wyłoniona w drodze procedury wyborczej, ma zająć miejsce rządu? Oczywiście, że nie. Moment legalności i konstytucyjności polskich władz państwowych, moment, którego walorów skłonni jesteśmy nie doceniać na tle nieumiejętności Rządu wygrania tego argumentu na forum międzynarodowym, ten moment ma swoją poważną wartość i byłoby posunięciem niemal samobójczym, gdyby obóz niepodległościowy się swych legalnych władz lekkomyślnie wyrzekł.

Nie pretendując jednak do roli Rządu, reprezentacja emigracji musi siłą faktu uzyskać wpływ zarówno na jego działalność, jak i na jego skład. Spełnić może tę rolę, jaką w warunkach normalnych spełniają ciała parlamentarne. Autorytet jej może się stać znacznie większy, niżby to z jej formalnych mandatów wynikało. Może, jeżeli będzie umiała wczuć się w nastroje i wolę Kraju, jeśli nade wszystko zdobędzie się na energię i sprawność w działaniu, zdobyć dla siebie i dla rządu ten skarb bezcenny, który rządy emigracyjne mimo wszystkich ich braków posiadały w okresie okupacji niemieckiej — autorytet w stosunku do Kraju.

Warunkiem podstawowym dla zdobycia przez reprezentację uchodźstwa tego rodzaju autorytetu jest, by uchroniła się od wszelkiego rodzaju jednostronności i ułamkowości zarówno co do swego składu, jak swych zadań.

W jej powołaniu do życia powinno wziąć udział całe społeczeństwo uchodźcze. Nie wolno tu wprowadzać żadnych dyskryminacji, nie wolno nikogo z góry od udziału w jej wyłonieniu wykluczać.

Podobnie błędem byłoby zacieśnianie jej zakresu działania do pewnych tylko zagadnień. Dla tych zagadnień specjalnych i ułamkowych istnieją już przeważnie organizacje specjalne. Jeśli któraś z nich nie ma jeszcze organu społecznego właściwego dla jego rozwiązania, należy organ taki stworzyć. Czego jednak brak największy, to opartej na zaufaniu uchodźstwa reprezentacji, która dałaby wyraz wszystkim jej żywotnym aspiracjom i potrzebom, nie tylko jej życiowym i codziennym troskom, ale i celowi zasadniczemu i podstawowemu: odzyskaniu przez

IGNACY MATUSZEWSKI

1. POKÓJ CZY ODWRÓT?

Poniższe dwa artykuły śp. Ignacego Matuszewskiego zostały złożone jeszcze wówczas, kiedy były całkowicie aktualne. Nie mogliśmy jednak umieścić ich — wskutek nawału materiału.

R e d a k c j a

Mowy sekretarza Byrnesa są doskonale napisane. Mają w sobie przekonującą szczerość. Logiczne zdania narzucają przekonanie, że logiczna jest i polityka. Po wysłuchaniu p. Byrnesa odnosi się wrażenie, że sekretarz stanu zrobił, co mógł, i że istotnie nie można było więcej zrobić.

Z żalem trzeba stwierdzić, że oratorskiemu poziomowi sprawozdania p. Byrnesa o konferencji ministrów spraw zagranicznych w Paryżu — nie odpowiada poziom polityki p. Byrnesa na tej konferencji. Mowa jest doskonała. Polityka jest błędna. Doskonałe przedstawienie złej polityki nie czyni z niej dobrej polityki. **Krasomówstwo** Churchilla w obronie Jałty nie uczyniło ze zbrodni jałtańskiej dobrodziejstwa ludzkości. Dziś Churchill używa — zapóźno — swego talentu, by walczyć ze skutkami Jałty, której tak wymownie bronił. Obawiamy się, że kiedyś i p. Byrnes będzie musiał przemawiać

sam przeciw sobie. Albowiem p. Byrnes w tej chwili przekonywuje, mylnie, opinię — a może i samego siebie — że **pokój** oznacza **odwrót** i że **odwrót** oznacza **pokój**. Pokój w Europie — ma się równać wycofaniu Ameryki z Europy.

Naszym zdaniem istotną treścią mowy p. Byrnesa z 15 lipca 1946 jest usiłowanie „sprzedania” narodowi St. Zjednoczonych nowej fazy i nowego fragmentu polityki **izolacjonistycznej** pod etykietą polityki **zawarcia** pokoju.

W swoim czasie, po konferencji moskiewskiej z października 1943, byłem całkowicie osamotniony, kiedy twierdziłem, że jedynym ważnym wynikiem tej konferencji jest oddanie większości Europy pod niekontrolowaną okupację rosyjską, ze wszystkimi stąd wynikającymi skutkami. Utrzymywałem wówczas, że z całej frazeologii owej konferencji pozostanie i zrealizuje się na zgubę świata jedynie artykuł 6 deklaracji

Polskę niepodległości i możliwości powrotu do wolnej ojczyzny.

Trudności stworzenia takiej reprezentacji są poważne. Odpada co prawda, względnie odpadnie w najbliższym czasie jeden z momentów, które hamowały jej powstanie dotychczas: trudności w objęciu procedurą wyborczą jednego z najliczniejszych i najważniejszych części składowych uchodźstwa — żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. Wobec dokonującej się ich demobilizacji żołnierze Polskich Sił Zbrojnych przechodzą — z punktu widzenia polskiego — na statut cywilny i mogą wyłonić swoją reprezentację w drodze wyborów na równi z ludnością cywilną.

Mimo usunięcia tej przeszkody

trudności będą nadal duże. Nie chcemy ich tu wszystkich wymieniać, choć zdajemy sobie z nich sprawę. Trudności jednak na drodze do słusznego celu są po to, by je pokonywać, a nie — by się przed nimi cofać.

A cel jest niezmiernie ważny: jest nim zachowanie spójności emigracji, jest nim przywrócenie jej wiary we własne możliwości, jest nim pobudzenie jej energii, jest uratowanie emigracji przed perspektywą przemienienia się w grono zdeorganizowanych i nie uznających nad sobą żadnego autorytetu jednostek.

Można to w chwili obecnej zrobić tylko poprzez zorganizowanie emigracji.

„Listy z Londynu” — nr 5/91

trzech mocarstw. Artykuł ten stanowił, iż umawiające się strony nie będą — po zakończeniu działań wojennych — utrzymywać wojsk własnych na terytoriach innych państw, chyba wyjątkowo dla celów zgodnych z kartą atlantycką i tylko po wzajemnym porozumieniu. Większość publicystów otrąbiła wtedy to postanowienie, jako triumf Ameryki. Twierdziłem, że jest wprost odwrotne: że mianowicie art. 6 oznacza naprawdę **upoważnienie** Rosji do wprowadzenia czerwonej armii na terytoria innych, nawet sojusznicy, państw dla celów **sprzecznych** z kartą atlantycką i **bez** porozumienia z Anglią i Ameryką pod pozorem „niezakończenia” działań wojennych. Tak właśnie się stało. I tak jest po dzień dzisiejszy.

Jak z frazeologii konferencji moskiewskiej 1943 r. ten **jeden** punkt wydał mi się ważny — tak samo z ostatniej mowy p. Byrnesa **jeden** ustęp wydaje mi się decydujący. Brzmi on jak następuje:

„Przyznaję, że przed naszym (ministrów spraw zagranicznych „wielkiej trójki”) spotkaniem kwietniowym miałem nikłe nadzieje, że uda nam się kiedykolwiek osiągnąć porozumienie. Po kwietniowej konferencji nadzieje moje jeszcze zmalały. Obecnie perspektywy podpisania traktatów pokojowych z pięcioma państwami (Włochy, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Finlandia) wydają mi się jasne. W dziewięćdziesiąt dni po ratyfikacji tych traktatów wojska okupacyjne będą musiały być wycofane, z wyjątkiem tych, które chronią linie komunikacyjne. Zatem narody okupowanych państw będą mogły żyć i oddychać swobodnie. Jesteśmy doprawdy na gościńcu wiodącym z powrotem ku pokojowi”.

Co przytoczona cytata naprawdę oznacza: **pokój** czy **odwrót**?

Nie oznacza to pokoju. Oznacza to, natomiast, odwrót. I to odwrót **wyłącznie** demokracji zachodnich. Od-

wrót zaś demokracji zachodnich oznacza tym samym marsz **naprzód** Rosji.

Działania wojenne zostały dawno zakończone. Na zasadzie deklaracji moskiewskiej 1943 r. wojska sowieckie powinny były dawno być wycofane np. z Polski. Tymczasem wojska te są i rządzą nadal nie tylko w krajach wrogich, ale i w krajach sojuszniczych, jak Polska właśnie. I wojska te są używane **na pewno** dla celów **sprzecznych** z kartą atlantycką.

P. Byrnes powiada, że narody „odetchną swobodnie”, kiedy traktaty pokojowe z Włochami, Węgrami, Rumunią, Bułgarią i Finlandią zostaną podpisane i ratyfikowane, gdyż wówczas „wojska okupacyjne” zostaną wycofane.

Czy to prawda?

Prawdą jest niewątpliwie, że w rezultacie „pomyślnego przebiegu” zwolanej na 29 lipca r. „konferencji pokojowej” będą wycofane wojska **angielskie** i **amerykańskie** z Włoch.

Oto jest realna **cena**, za jaką p. Mołotow zgodził się na fikcyjne kompromisy w sprawie procedury konferencji pokojowej. Poważna to cena. Albowiem bezbronne Włochy — to otwarta dla Rosji droga do dalszej politycznej, piętokolumnowej, a ewentualnie i militarnej penetracji na Morze Śródziemne.

Natomiast **nieprawdą** jest, że w wyniku spodziewanego podpisania traktatów pokojowych z satelitami Niemiec — **Moskale wycofają się z Europy**.

P. Mołotow zabezpieczył się przed tym dwoma sposobami.

Pierwszym sposobem jest klauzula prawna, zastrzegająca okupację „linii komunikacyjnych”. Ponieważ w sprawie Niemiec i Austrii do żadnego porozumienia Sowiety nie dopuściły — tedy okupacja Niemiec i Austrii ma przed sobą czas nieograniczony. Innymi słowy sowiecka

wojskowa ochrona „linii komunikacyjnych” poprzez Polskę do Niemiec, poprzez Rumunię zaś, Węgry i Czechy do Austrii — oznacza wojskową okupację tych krajów przez Sowiety tak długo, jak długo się to będzie Stalinowi podobało.

Drugim sposobem ufortyfikowania się Rosji w ogarniętej przez sowiecką okupację Europie — jest dobiegające końca utrwalenie reżimów prosowieckich w zajętych przez Rosję krajach. Jugosławia jest wzorem tego, jak będą „oddychać swobodnie” „wolne państwa”, rządzone przez agentów sowieckich.

Proces absolutnego podporządkowania państw, okupowanych przez Sowiety, moskiewskiej władzy jest w różnych stadiach, ale wszędzie już w stadiach końcowych. Agentura policyjna rządzi krwawo w całej okupowanej przez Rosję Europie. Oparte na tej agenturze „rządy” sowieckich pachołków mogą już niemal wszędzie przeprowadzić skuteczne „wybory” ze z góry przewidzianym rezultatem. „Wybory” te Anglia i Ameryka uznały w Jugosławii i na Węgrzech — uznają więc i gdzie indziej. Wpływy zachodnie przez kolejne akty kapitulacji zostały osłabione, wiara w siłę i rozum rządów Anglii i Ameryki — skutecznie podkopana.

2. IGRANIE Z OGNIEM

Ze wszystkich niebezpiecznych rokowań międzynarodowych, prowadzonych przez rząd Stanów Zjednoczonych, najniebezpieczniejszymi są rokowania w sprawie energii atomowej. Wszędzie indziej reprezentanci Stanów Zjednoczonych mogą na szwank narazić interesy Ameryki w sposób pośredni — w rozmowach prowadzonych w Komisji Atomowej Narodów Zjednoczonych mogą bezpośrednio narazić swój kraj na katastrofę.

Cóż więc zmieni się po „pomyślnym przebiegu” konferencji pokojowej z satelitami Niemiec? Czy cofną się choć o cal wpływy sowieckie w Europie? Nie. Nie zmieni się nic, jeśli na miejscu oprawcy z NKWD w rosyjskim mundurze stanie oprawca sowiecki w mundurze polskim, węgierskim, czy rumuńskim. Za „unarodowionymi” agenturami NKWD będą stały w węzłach „komunikacyjnych” rezerwy moskiewskie, Odwrót **Rosji** nie będzie.

Natomiast **będzie** odwrót Anglii i Ameryki.

Skutkiem tego **odwrótu** narody Europy nie zaczną „oddychać swobodniej”. Przeciwnie — rozpacz i przerażenie skazanych na niewolę — zdławi im piersi.

Polityka p. Byrnesa realnie jest dalszym ciągiem polityki jałtańskiej. Jest to polityka **wycofywania się** z Europy za pozory „pokoju”.

Frazeologia Roosevelta była frazeologią apologii Sowietów. Frazeologia p. Byrnesa jest frazeologią krytycyzmu Sowietów. Zmieniły się opłatki, w których podają ludzkości truciznę: opłatek p. Byrnesa jest czarny. Nie zmieniła się przecież wartość. Treścią amerykańskiej polityki zagranicznej od 1943 r. aż do dziś był i jest, w wojnie i w pokoju, odwrót, odwrót, odwrót...

Oczywiście, polityka appeasementu Rosji w Europie i Azji prowadzi do konfliktu w złych dla Stanów Zjednoczonych warunkach. Płacić jednak za to będą — albo już płacą — przede wszystkim inni: Polacy, czy Chińczycy, Węgrzy czy Koreańczycy. Za błąd popełniony przez Bernarda Barucha lub jego pomocników wypadłoby płacić bezpośrednio (a może i zaraz) narodowi amerykańskiemu. Dlatego wolno uważać przebieg rokowań w Komisji Ato-

mowej za ostateczny sprawdzian, czy w polityce międzynarodowej rządu amerykańskiego jest jeszcze krzyna zdrowego rozsądku, czy też jej nie ma. Istnieją widać poślejzenia, że może jej zabraknąć, skoro senator Alexander Wiley wniósł rezolucję, aby żadne zobowiązanie międzynarodowe w sprawie energii atomowej nie było wiążące, dopóki nie zostanie zatwierdzone dwoma trzecimi głosów Senatu. Po doświadczeniach Jałty taka nieufność jest zrozumiała.

Natomiast **niezrozumiałe** są same rokowania. Chyba że jedynym ich celem jest wykazanie dobrej woli Ameryki i **niemożności** porozumienia z Rosją. Jeśli przeciw którykolwiek z mężów stanu Ameryki reżyseruje rokowania w Komisji Atomowej UNO w nadziei, że mogą one doprowadzić do pomyślnego wyniku — ten naiwnie i karygodnie igra z ogniem.

Do czego bowiem sprowadza się istota sprawy? Do **rozbrojenia** Ameryki i **uzbrojenia** Rosji. Wszelki „pozytywny” rezultat prac Komisji Atomowej UNO może oznaczać tylko jedno i drugie.

Jakikolwiek układ międzynarodowy w sprawie energii atomowej mógłby mieć wartość wówczas, gdyby możliwa była prawdziwa kontrola wykonywania klauzul tego układu przez wszystkich podpisanych. Ponieważ kontrola tego, co dzieje się w Rosji, jest i będzie — jak długo trwa tam system sowiecki — absolutnie i stanowczo **niemożliwa**, tedy wszelki układ międzynarodowy sprowadzałby się do pozbawienia Stanów Zjednoczonych wyłączności ich broni i do efektywnej kontroli amerykańskiego rozbrojenia. Innymi słowy — jeśli dojdzie do jakiegokolwiek układu w Komisji Atomowej, będzie to zawsze umowa skierowana ostrzem **przeciw** Ameryce. Tylko niepowodzenie rokowań w sprawie energii atomowej — będzie jedy-

nym ich powodzeniem.

Jest rzeczą wykazującą rozpaczliwie niski stan kultury politycznej w Stanach, że **trzeba** dowodzić faktów tak oczywistych, jak niemożliwość pogodzenia ustroju sowieckiego z kontrolą międzynarodową. Niestety jednak trzeba tego dowodzić, kiedy publicyści równie popularni jak niemądrzy — Lippmann na przykład — pompują w społeczeństwo amerykańskie przekonanie o możliwości wynalezienia cudownego sposobu pogodzenia dyktatury z kontrolą i totalizmu z wiernością dla zacięgniętych zobowiązań.

Nie może być kontroli międzynarodowej w ustroju, w którym społeczeństwo nie kontroluje własnego rządu. Gdyby w Ameryce po podpisaniu układu o zakazie fabrykacji bomb atomowych ktokolwiek próbował bomby takie robić — zasypano by go oskarżeniami w prasie i Kongresie, nawet gdyby był sekretarzem Departamentu Wojny albo Marynarki. Ale kto byłby w stanie ujawnić w Rosji fabrykację bomb atomowych przez rząd sowiecki? Kto byłby w stanie przeciw temu w Rosji samej zaprotestować? Krawczenko pisze, że wśród wszystkich kas ogniotrwałych, jakie posiadają najwyżsi dostojnicy sowieccy — tylko jedna, osobista kasa pancerna Stalina nie posiada podwójnego klucza. Do wszystkich innych oprócz klucza, posiadanego przez właściciela tej kasy — drugi klucz jest w ręku NKWD. W kraju, w którym nie społeczeństwo kontroluje działalność rządu, lecz dyktatura kontroluje nie tylko działalność, ale nawet myśli społeczeństwa — istnienie i działanie kontroli międzynarodowej jest w ogóle niemożliwe.

Lippmann powiada, że wystarczy międzynarodowy kodeks karny, określający fabrykację broni atomowej jako przestępstwo — aby funkcjonariusze sowieccy lękali się wykonywania rozkazów Stalina w o-

bawie, że staną przed trybunałem UNO i poniosą zasłużoną karę. Czyż może być większa naiwność, jak wiara, że ktoś będzie się więcej lękał trybunału, przed którym nie ma go kto postawić, niż śmierci w uniformie NKWD, co go żelazną ręką trzyma za gardło dniem i nocą? W ustroju, w którym giną bez śladu miliony ludzi na rozkaz władcy — każda międzynarodowa kontrola będzie tylko fikcją i oszustwem.

Ta sytuacja **nie może** ulec zmianie. Ustrój sowiecki **nie może** ewolucjonizować ku wolności. Albowiem ustrój ten jest oparty na zbrodni.

Nie można dopuścić wolności tam, gdzie razem z nią przyszłoby straszliwe oskarżenie. Ustrój stalinowski popełnił tysiące, setki tysięcy, miliony morderstw niewinnych ludzi. Katyń jest tylko przykładem. To samo działo się i dzieje. W kraju, w którym od 15 do 20 milionów ludzi skazanych jest na obozy koncentracyjne, w ustroju, w którym zmienia się co parę lat historia całej przeszłości, gdzie pali się całe biblioteki, gdzie reżyseruje się procesy, gdzie rząd świadomie doprowadza do klęski głodu, aby przez **miliony** śmierci głodowych złamać opór włościactwa, w kraju, gdzie wszystko oparte zostało na kłamstwie — dopuszczenie do wolności, a **tym bardziej** dopuszczenie do międzynarodowej kontroli jest absolutnie wykluczone.

Kiedy zawarty został układ w Jałcie i Roosevelt oraz jego pomocnicy wmawiali Ameryce, że możliwa jest wolność Polski i innych krajów Europy wschodniej pod opieką przyjaznej Rosji — wskazywaliśmy, **dla czego** jest to wykluczone. Nie ma w Polsce wioski, nie ma rodziny, nie ma domu, gdzieby nie było ofiar z łagrów na Syberii i w Kazachstanie albo gdzieby ktoś bliski i drogi nie leżał w katyńskiej mogile. Wolność w Polsce oznaczałaby **ujawnienie** tych zbrodni i **oskarżenie** o te zbro-

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU

W dniu 4 ub. m. odbyło się w lokalu redakcji „Na straży” posiedzenie sądu konkursowego na tematy, podane w numerach 24, 25 i 26 naszego pisma.

Wszystkie nadesłane prace zostały przeczytane przez wszystkich członków sądu i oznaczone umówionymi uprzednio stopniami oceny (od 1 do 10). Suma tych stopni decydowała o kolejności wyróżnienia. Wyróżniono ogółem 19 prac z obu konkursów. Pozostałe uzyskały zbyt małą ilość punktów.

Po ustaleniu kolejności i otwarciu kopert z godłami — przyznano następujące nagrody.

Konkurs nr 1 (wspomnienia z Armii Krajowej): nagroda pierwsza — ochotn. plut. Wanda Traczyk za pracę pt. „Czy prawda, że „chcieć — to móc?”; nagroda druga — Stanisław Heydel za pracę pt. „Tragiczne zrządzenie losu”; nagroda trzecia — kadet Witold Sąchocki za pracę pt. „Śmiertelny bój”.

Konkurs nr 2 (wspomnienia z o-dnie. Dlatego w Polsce nie mogło być wolności. Dlatego w Polsce nie ma wolności. Dlatego jej nie będzie — póki wojska rosyjskie będą stały na ziemiach Polski.

Jest w tym jak gdyby sprawiedliwość Boża, że wykrycie energii atomowej zmusza do ujawnienia, iż zbrodnia i przestępstwo panują nad jedną piątą globu. Syty świat anglosaski pragnąłby zamknąć na nie oczy, nie widzieć morderstw i nie słyszeć jęku mordowanych. Gdyby nie wykrycie tajemnicy energii atomowej — byłoby to zapewne możliwe. Dziś zabawa we „współpracę” między demokracjami a Sowietami staje się zbyt groźna. Kto igra z pobłażliwością dla zbrodni, popełnionej na wolnych narodach i na samym narodzie rosyjskim — ten igra z „atomowym” ogniem.

Kto zamknie oczy na zbrodnię, popełnioną na jego wolnych braciach — ten, otworzywszy je, **ujrzy swój własny dom w płomieniach.**

kresu niewoli w Rosji): nagroda pierwsza — Corvine (pseudonim — autor prosi o nieujawnianie jego nazwiska) za pracę pt. „Końcowa stacja”; nagroda druga — Felicja Wilczewska za pracę pt. „Z topieli”; nagroda trzecia — Imcz (pseudonim — autor prosi o nieujawnianie jego nazwiska) za pracę pt. „Na czerwonej wolności”.

Ponadto sąd konkursowy wyróżnił następujące prace przyznając ich autorom nagrody książkowe: „Wspomnienie” — Ireny Radwańskiej, „Wspomnienie” — Jadwigi Bazińskiej, „Via Dolorosa” — Adama Lipińskiego, „Ostatnie imieniny”

Andrzej Corvine

KOŃCOWA STACJA

(Pierwsza nagroda)

Było to na pewnej małej rosyjskiej stacji, zagubionej wśród przesypanych śniegiem stepów Średniej Azji, gdzie przez dwa dni i jedną noc oczekiwałem na pociąg. Ciasną, duszną poczekalnię wypełniali po brzegi podróżni: ranni żołnierze, wracający z frontu, kazachscy i uzbekscy wieśniacy w kożuchach, ewakuowani z zachodu, kobiety z dziećmi na rękach i dzieci same, obdarte, wygłodzone, zawszone, żebrzące o kawałek chleba, lub — częściej — starające się go ukraść. Ludzie leżeli pokotem na zaplutej, pokrytej czarnym błotem, kamiennej podłodze. Niektórzy biwakowali tutaj już od dziesięciu dni.

W poprzek sali stały dwie długie kolejki. Jedna przed kasą biletową, druga — przed stołówką. Ilekroć otwierano drzwi tej ostatniej, celem wpuszczenia partii trzydziestu osób, kolejka załamywała się i oczekujący parli przemocą do wnętrza. Rozgrywała się wówczas krótka walka i grupa najsilniejszych wdzierała się do stołówki.

U sufitu poczekalni, pod nieostygniętymi, rażącymi lampami,

— Barbary Niedźwiedzkiej, „Księżę i pułkownik” — Stanisława Mikosza, „Jeden z wielu” — Stanisława Mikosza, „Talizman” — Stanisława Mikosza, „Karna brygada” — Teresy Dąbrowskiej, „Wspomnienie jedno z wielu” — Janiny Kuklińskiej, „W Czelabińsku” — dra Fr. Machalskiego, „Noc syberyjska” — Kidugalczyka, „Ucieczka” — Ireny Świątkowskiej.

Nagrody pieniężne i książkowe wysłano wszystkim, z wyjątkiem p. Kidugalczyka, którego prosimy o podanie swego adresu.

Poniżej zamieszczamy sześć prac nagrodzonych autorów.

rospościerały się chmury dymu i gęstego pyłu węglowego. Na ścianach wisiały brudne, oblepione omdlatymi lub martwymi muchami portrety Stalina i Woroszyłowa. Niżej melancholijnie plątały się poszarpane szczątki afisza, głoszącego: „Śmierć faszystowskiemu łotroml”, którego zniszczenie ukazywało inny, umieszczony przed kilku laty plakat, zapowiadający „haniebny rozgrom imperia-listyczno-burżuazyjnej Anglii”.

Głośnik radiowy chrząkał bez przerwy muzyką i pieśniami, od czasu do czasu przeplatany przez komunikaty.

Powiodło mi się zająć całą ławkę, której prawo używania odkupiłem od jej pierwotnego posiadacza za paczkę machorki. Późne popołudnie zagęszczało coraz bardziej senną szarość zmierzchu. Od żelaznego pieca, huczącego przepelniającym go żarem, rozchodziło się rozdrżane, suche ciepło. Jakiś kobiecy głos nucił tuż koło mnie słowa gardłowej pieśni mongolskiej. Pod sąsiednią ławką ktoś głośno chrząkał, przy każdym wdechu świszcząc oślinionymi, grubymi wargami.

Uciążliwa nuda monotonnego i szarpającego nerwy wyczekiwania działała jak alkohol podniecając i usypiając jednocześnie.

Umieściłem swą walizkę pod głową, otoczyłem ją mocno rzemieniem i przywiązałem do przegubu ręki. Miałem nadzieję, iż w ten sposób uchronię się przed wszędo-bylskimi bandytami kolejowymi, którzy siejąc postrach zarówno wśród podróżnych, jak milicji, śmiało grasowali po dworcach, grabiąc z nadzwyczajną zręcznością lub napadając grupami na ciemnych peronach i rabując siłą. Otuliłem się szczerze kocem i zaczęła mnie zwolna ogarniać czujna, płytka drzemka, mieszająca mglistą świadomość rzeczywistości ze snem w jeden nierozróżnialny, nierozpoznawalny i dręczący przywidzeniami aliaż. Przebudziła mnie para gorączkowych, siwych oczu, skierowanych w moją stronę z przejmującym i udzielającym się niepokojem. Przedemną rysowała się czyjaś szczupła sylwetka.

— Przepraszam — odezwał się po rosyjsku nieznajomy, w sposób i z akcentem, które zdradzały cudzoziemca — czy może mnie pan poinformować, kiedy przyjdzie pociąg?

Niedorzeczność pytania była oczywista.

— Czekam tu drugą dobę — odpowiedziałem wysuwając się spod koca.

— A jaka będzie końcowa stacja? — szybko dodał tamten, chcąc się zapewne dowiedzieć o następną stację węzłową, na której trzeba się przesiadać i przestemplowywać bilety — straszliwa formalność, mogąca zwykłemu śmiertelnikowi zabrać nawet dwa tygodnie, gdyż wojskowi i partyjni mają pierwszeństwo.

— To zależy, dokąd pan jedzie — wyjaśniłem.

— Dokąd jadę? — powtórzył, z zakłopotaniem opuszczając głowę. Stał bez ruchu w niepewnej i pokornej pozycji. Okrywały go łachmany,

szczętki jego butów uzupełniały szmaty przytwierdzone sznurkami do nóg, w rękę trzymał blaszany kocotek i obwisły worek. Rozchodziła się od niego mysia, odurzająca woń stęchlizny, woń człowieka, który niedawno opuścił więzienie — sowieckie więzienie.

Upłynęło już kilka miesięcy od czasu, gdy znajdowałem się w podobnym stanie. Obecnie nosiłem angielski battle-dress, miałem pełny tornister i walizkę, czystą bieliznę, żywność, tytoń. Toteż mój rozmówca zwracał się do mnie z onieśmieniem, jakie mógłby odczuwać nędzarz wobec milionera. Nie ma bowiem większej różnicy zamożności, niż między sytym a głodnym.

— Niech pan siądze i zje coś — powiedziałem widząc, że leniwie przygotowuje się do odejścia. Zawahał się, na pół odwrócił w kierunku swego legowiska pod przeciwległą ścianą sali w zwale splątanych na podłodze ciał, potem zaś podszedł do ławki i posłusznie usiadł na brzegu.

Gdy otwierałem tornister, nagle nachylił się ku mnie: „Ja, proszę pana, jestem człowiekiem, który żyje przez pomyłkę” powiedział bardzo poufnie.

— Co to znaczy?

— Nazywam się Szandor. Jestem Węgrem. Węgierskim szlachcicem — zaznaczył. — W okresie sowieckiego napadu na wschodnią Polskę znajdowałem się we Lwowie. Zostałem aresztowany i zesłany do obozu koncentracyjnego na Kołymę. Zgodnie z logiczną spekulacją, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, musiałbym umrzeć w ciągu ubiegłej zimy. Ale wskutek przeoczenia władz amnestionowano mnie z grupą obywateli czeskich, odstawiono do więzienia we Władywostoku i po czterech miesiącach zwolniono. Tak, proszę pana, ja żyję przez pomyłkę.

— Na Boga, niechże pan o tym nie mówi — przerwałem.

— Dlaczego: nie? — powiedział naiwnie. — Ja mam do pana zaufanie. Odczuwałem nerwową obawę przed zwróceniem się z swoim pytaniem do kogokolwiek innego. Wybrałem właśnie pana. To nie był przypadek. Istnieje jakaś istotna i ważna więź między ludźmi z równej klasy społecznej i z podobnego środowiska...

— ...i więzi tej nigdzie nie odczuwa się tak mocno, jak w państwie socjalistycznym — dokończyłem.

Zapach jedzenia obudził jedno z leżących w pobliżu dzieci. Podniosło się na czworaki i niezgrabnie usiadło plącząc się w owijającej je chustce. „Chleb” — powiedziało beznamiętnie i jakby ze zdziwieniem, odwracając w naszą stronę małą, krótką twarz, jeszcze blado-siną od niedawno obeschtłych łez. Jego matka zerwała się mrużąc: „Chleb, chleb” — i instynktownie kierując spojrzenie w głąb sąsiedniej sali, gdzie stała kolejka ludzi wyczekujących przed zamkniętym magazynem z chlebem. „Milcz ty, mała suko” — kobieta wybuchnęła niespodziewanym potokiem wyzwisk. „Wiesz przecież, że nie mamy kartek”. Pospiesznie zasłoniła głowę płaszczem i znów legła na podłodze.

— W ten sposób — kontynuował Szandor — ja właściwie należę do śmierci. Oszukałem ją. Od pół roku powinienem leżeć w ziemi. Ale ja... ja czuję się dobrze.

— Trudno mi w to uwierzyć — powiedziałem, dając mu otwartą puszkę comed-beefu.

Bo pan rozumuje zapewne innymi kategoriami, posługuje się pan innym słownikiem myślowym niż ja. Człowiek jest szczęśliwy, gdy niczego sobie nie życzy, gdy wyzbył się wszelkich pragnień, a trujący, głupi narkotyk nadziei stał się dla niego bezużyteczny i zbędny. Ma to miejsce w razie największego wyobraźnego powodzenia lub absolutnej niedoli. W obu wypadkach wyz-

bywamy się wszelkich pragnień i wyrzekamy wszelkiej nadziei — mówił powoli, z trudem dobierając wyrazów w obcym języku, ale jednocześnie beładnie i niecierpliwie, niepotrzebnie śpiesząc się ze swymi niepotrzebnymi zwierzeniami.

— Wynikałoby stąd, że szczęście i nieszczęście są tym samym? — sprzeciwiłem się.

— W dużej mierze — tak. Lub raczej, że oba te doznania są równie złudne i fikcyjne — zapewnił.

— Dopóki trwa życie, towarzyszy mu nadzieja — powiedziałem. — Jest ona odporna zarówno na bodźce dodatnie, jak i ujemne; stanowi motor życia, jego główną — może jedyną — sprężynę. Nie wierzę, aby motor ten mógł ustać w pracy dopóki nie zatrzyma się mechanizm ludzkiego serca i krew nie zetnie się w żyłach. Jest on tym czynnikiem, który każe nam walczyć, nawet ponad i poza realną celowość walki.

— Ludzie walczą przeważnie dlatego, że nie umieją myśleć — odparł. — Walka nie jest niczym innym, jak tylko najgłębszą i ukrytą formą lenistwa, oznaką braku odwagi do stawienia czoła Nieuniknionemu, które człowiek odczuwa, ale które boi się uznać. Co zaś do nadziei, to przyjmuję konieczność tylko jednej odmiany tego uczucia — nadziei śmierci. Nie może nas ona nigdy zawieść, chociażby zawiodło wszystko i wszyscy. Jest to nadzieja silna, dobra i bardzo wierna. Można by powiedzieć, że aby mieć siłę żyć, trzeba dużo myśleć o śmierci.

— Memento mori — poddałem.

— Tak, memento mori — zgodził się. — Pewien wielki człowiek, Petrarca, jeśli mnie pamięć nie myli, powiedział, że „myśl o śmierci nie opuszczała go ani na chwilę.” Był on nie tylko poetą, ale i filozofem. W potrzebie zaś każdy staje się do pewnego stopnia filozofem i fatalistą (co zazwyczaj wychodzi na to samo), albowiem ścista i szukająca

dowodów filozofia ścista, w przeciwieństwie do opierającej się na objawieniach filozofii religijnej, nie jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak tylko usystematyzowanym fatalizmem.

— Ale fatalizm równa się słabości — zaprotestowałem. — Człowiek, który uważa swoje siły za niewystarczające dla pokonania przeciwności losu, jest gotów uwierzyć, iż zapasy z nimi byłyby i tak bezużyteczne.

— A czyż siły są wystarczające? — zaśmiał się Szandor.

Jadł przez chwilę w milczeniu, automatycznie, z nienaturalnym brakiem apetytu.

Wtem: „Jaka będzie końcowa stacja?” — rzucił gwałtownie, niby w obawie, że mógłby się spóźnić ze swym pytaniem.

Odezwał się dzwon i tłum, pchnięty nagłym impulsem, zaatakował wąskie drzwi. Pośpiesznie zapakowałem swe rzeczy i wyszliśmy na peron. W mroku wczesnego wieczoru gromadzili się podróżni z tobołami i walizami. Było stosunkowo ciepło, padał drobny, wilgotny śnieg, obejmując gazowe lampy cienkimi, iskrzącymi się welonami. Brodziliśmy w twardym, mroźnym błocie, po łamliwych tafelkach lodu, które pękały pod ciężarem naszych stóp. Poza obficie zroszonymi, mieniącymi się w świetle rzędami szyn, rozpościerała się falista i tajemniczo szara równina. Z wnętrza nocy nadpływał porywisty, mokry wiatr i wypełniał nasze płuca orzeźwiający, chłodnym balsamem.

— Czy nie odczuwa pan teraz wszechobecności tej nadziei, którą chciał pan wyeleminować z naszej egzystencji? — zapytałem. — Proszę głęboko odetchnąć. Nie rozpozna pan żadnej specjalnej woni w oparach jeszcze nie przebudzonej słońcem ziemi. Ale poczuje pan zapach wiosny, zapach życia i obietnicy życia, obietnicy pulsującej upojeniem chuci, wytężonego oczekiwania

ekstazy, w której z równą rozkoszą zadajemy i znosimy ból. Proszę jeszcze raz głęboko wciągnąć powietrze. Na próżno szukałby pan w jego falach trupiego odoru śmierci. Jest ono przepojone zapowiedzią miłości, miłości zwycięskiej, która ma ostre zęby, mocne ramiona i jedwabistą skórę. Miłości wiecznie nienasyconej, tęsknej i bezwstydnie dumnej sobą oraz istnieniem, które jest, być może, złe i przekłete, ale którym musimy się radować, chociażby wbrew logice i wbrew naszej woli. Jeśli bowiem jedyną prawdą jest nawet zniszczenie, to my nie jesteśmy zdolni ani jej zrozumieć, ani w nią uwierzyć.

— Po co pan to powiedział? — rozpaczliwie przerwał Szandor. — Śmierć jest tak trudno ukochać i tak łatwo się temu uczuciu sprzeniewierzyć. Po co, po co pan to powiedział?

Twarz jego była skrzywiona rozżaleniem, usta zniekształcone cierpkim grymasem. Manewrująca lokomotywa ciężarowego pociągu przesapała koło nas, rdzawo zgrzytając żelazem kół. Obłok pary na chwilę zawisł między nami zasłaniając mi jego oblicze. Ujrzałem je sekundę później, gdy Szandor wychynął z białego tumanu i kurczowym uściskiem uczeplił się mego ramienia.

— Niech pan mi powie — zawołał wprost do mego ucha — jaka będzie końcowa stacja?

Oczy jego paliły się rozumnym obłędem człowieka, który zachował zdolność ścisłego myślenia, ale pozwolił jednej myśli zapanować nad swoim umysłem i stracił nad nią kontrolę.

— Ja nie wiem, dokąd pan jedzie — powiedziałem uspokajająco, podczas gdy szliśmy wzdłuż peronu.

— To jest taka trudna decyzja — mruknął wskazując ręką na prostą linię szyn. — Przecież tym torem można pojechać gdziekolwiek się zechce, w cały świat. Przede mną leżą nieograniczone możliwości.

— Pojadę chyba do Budapesztu.

Tam ktoś na mnie czeka. Jedna mała pani z długimi włosami i czarnymi, matowymi oczyma, w których blasku można zabaczyć wszystko, czego się pragnie. Zarzuci mi ręce na szyję i czerwonymi, dziecinnymi ustami opowie, jak bardzo za mną tęskniła. Potem zaś siądzie bardzo blisko mnie, przytuli swój policzek do mojej twarzy i rozpuszczonymi włosami otuli mi głowę. Czasem któreś z nas rzuci słowo lub dwa, przeważnie jednak będziemy milczeć. Miłość będąc uczuciem najpierwotniejszym nie potrzebuje obfitości słów. Wreszcie nadejdzie noc, wielce bezsenna i pełna wielkich snów. W ciemności będziemy szeptać nasze niemądre i słodkie tajemnice, miękkie, blahe słowa, pieśczętliwsze od samej pieśczęoty, odwiecznie stare i zawsze nowe.

Szandor przerwał, zatrzymał się i niepewnie, błędnie spojrzął na kotłyszany tłum, walczący wśród przekleństw i grubiaństw o gorącą wodę, która tryskała ze specjalnego kranu. Spodziewałem się lada chwila usłyszeć pytanie o „końcową stację”, miast tego jednak rozległ się tylko oschły, samodrwiący śmiech Szandora.

— Ja oczywiście nie pojedę do Budapesztu — powiedział, ruszając dalej i pociągając mnie za sobą. — Moja dziewczyna ma już z pewnością innego przyjaciela. Popatrzyłaby na mnie jak na upiora, gdybym się dziś przed nią zjawił. Zapewne dawno zapomniała o moim istnieniu i co więcej — ja sam zapomniałem o sobie takim, jakim byłem przed laty. Tak, w Budapeszcie już nikt mnie nie czeka.

— Ale prosta linia szyn wciąż rozciąga się przede mną i kusi, i mami, i obiecuje. Muszę wybrać jakąś marszrutę. Przecież gdzieś jechać trzeba, chociażby się nie chciało i nie pojmoowało: dokąd?

— Mam myśl: udam się do Anglii. Zawsze pragnąłem poznać tę piękną

zieloną wyspę, gdzie ludzie kochają storczyki, pielęgnują parosetletnie trawniki i zakładają cementarze dla psów. Będę mówił prawdę o krajach, gdzie prawdy nie ma, gdzie obawiają się jej i tępią. Będę opowiadał o ludziach wegetujących wśród stepów i tajg, którzy mogą być wolni tylko wtedy, jeśli mają dość siły, aby marzyć o wolności. Będę ostrzegał przed religią zła i nienawiści, która naucza jedynie dwóch rzeczy: jak budzić strach i jak go odczuwać. I będę głośno wołał, że na widnokręgu gromadzą się czarne chmury, które pewnego dnia nadpłyną nad zieloną wyspę, zasypią ją piorunami, zatopią w potokach krwawego deszczu i przystąpią ponad nią słońce może na zawsze.

Szandor uczynił krótką pauzę, po czym ciągnął dalej.

— Ale oczywiście nikt nie uwierzyłby mi i nikt nie zechciałby mnie słuchać. Kazano by mi milczeć i nie dowodzić, że glob nasz stanowi całość i że nigdy nie uda się zapewnić pokoju tej starej wyspie, dopóki w innej połowie świata lub chociażby w jego jednej szóstej będzie się panoszył terror i gorsze od bezprawia prawo zorganizowanego, zaborczego szaleństwa.

— Lecz gładka, prowadząca wszędzie droga wabi i muszę wreszcie powziąć decyzję, obrać kierunek.

— Pojadę do Ameryki. Nie, nie będę tam nikomu mówił o rzeczach przykrych, nie będę się zachowywał nietaktownie. Po prostu pogrążę się we wciąż śpieszącym, rozgorączkowanym tłumie i popłynę z nim tam, gdzie on płynie. Będę robił to, co robią wszyscy. Będę walczył o te rzeczy, które są uznane za wartościowe i podziwiał te, które są uważane za dobre. Nade wszystko zaś nie będę myślał. Ograniczę się do powtarzania tego, co mówią inni, i poprzysięgnę nigdy nie wątpić w ogólnie przyjęte, uświęcone fetysze. Bę-

dę się śmiać razem z gromadą i płakać, gdy oni płaczą. Zdobędę majątek, poważanie, przyjaciół, piękny dom i czcigodny, rodzinny grobowiec. Będę miał wierną żonę, zdolne dzieci i zarezerwowaną ławkę w kościele.

Szandor na chwilę umilkł, podczas gdy megafon głośno zapowiadał spodziewane przybycie wkrótce pociągu.

— Nie, ja jednak nie pojedę do Ameryki — zaczął znów. — Jestem za mało rozumny, aby umieć nie myśleć. Nie potrafiłbym płynąć z tłumem i robić to, co wszyscy. Nie byłbym szczęśliwy standartowym szczęściem mrówek, nie zdobyłbym nigdy majątku, ani domu, ani nawet rodzinnego grobowca. I nie miałbym przyjaciół, ani wiernej żony, ani zdolnych dzieci. Byłbym jeszcze bardziej samotny w stadzie, aniżeli jestem teraz tutaj, przemierzając od godziny peron i zastanawiając się nad wyborem celu podróży.

Z łoskotem i szczękiem przelaciano opodal kilka pustych wagonów, potężnie pchniętych przez lokomotywę.

Szandor zabiegł mi drogę, zatarasował sobą przejście i zatrzymał się pod gazową lampą.

— Jaka będzie końcowa stacja? krzyknął płaczliwie, bezradnie, z niecierpliwą rozpaczą.

Nim zdążyłem odpowiedzieć odwrócił się i ruszył naprzód bardzo prędko, roztrącając tłum. Rzucił mi jeszcze przez ramię: „Do widzenia” i za parę sekund zniknął w burej gęstwie zimowych, watowanych ubrań i mundurów. Przez mgnienie oka ujrzałem jego sylwetkę, gdy przeskakiwał wielkimi susami przez tory, tryumfalnie wymachując w powietrzu swym niemal pustym workiem. Chwilę później zabrzmiał krzyk i manewrująca lokomotywa gwałtownie zatrzymała się z przeraźliwym chrzęstem hamulców.

Spod kół wydobyto jakiś kształt i

ciśnięto w błoto między tory. Mała grupka gapiów szybko zebrata się dokoła tego miejsca. Ponad ich głowami utworzył się natychmiast biały opar oddechów. Rozległy się przekleństwa, czyjś impulsywny śmiech, lepkie człapanie butów. Zjawił się milicjant, dwóch kolejarzy z latarniami, jakieś okutane w chustki dziewczęta, które biegnęły przewracając się na lodzie, byleby nie utracić interesującego widowiska. Potem ktoś głośno wzywał tragarzy i mały wózek na drewnianych, blachą obi-

tych kołach, hałaśliwie potoczył się we wskazanym kierunku.

Nie przyłączyłem się do grupy ciekawych. Zdarzało mi się już przedtem widywać ludzi zmiążdżonych kołami pociągu i nie chciałem ponownie tego widoku.

Niebawem nadjechał kurier transyberyjski i zajęłem miejsce w przedziale. Nie pamiętam dzisiaj, dokąd odbywałem podróż. Ale to nie ma znaczenia. Wiem bowiem, że na końcowej stacji będzie mnie oczekiwał Szandor.

na stercie papierów i sprawdzałam przy świetle latarki broń. Każdy z kolegów czynił to samo. Byliśmy oddziałem wyjątkowo dobrze uzbrojonym i umundurowanym. Pistolety maszynowe — „błyskawice”, niemieckie „Handgranaty”, „gamony” (granaty przeciwpancerne z plastyku) i broń krótka (czasem któryś z chłopaków miał całe uzbrojenie niemieckie zdobyczne) — tworzyły pierwszorzędne uzbrojenie. Niemieckie mundury i hełmy dopełniały całości. Białoczerwone opaski zdradzały nieprzyjacielowi, że to my, powstańcy, a nie jego ludzie. Idąc więc do akcji zwykle zwijaliśmy je wąsko.

Czekamy na rozkaz do natarcia rozmawiając wesoło.

— Ale „zamieszamy”, chłopaki, co?

— Żeby tak „zaszabrowali” z jeden cekaem!

— Uważaj, żeby cię razem z twoją „błyskawicą” nie „zaszabrowali”!

— Halo, Pączek! Kapral Pączek! — słyszę wreszcie głos dowódcy i przeciskam się do niego wśród odpoczywających na ziemi kolegów.

— Pójdziecie na Skórczaną o trzy bramy od tej, przy której jesteście, zameldujecie się dowódcy odcinka — on was odstawi do prowadzącego natarcie na Graniczną nr 7. Dalsze instrukcje otrzymacie na miejscu.

— Tak jest! — mówię, ale jakoś mi smętnie.

— No, chłopaki, idę!

— Co? Gdzie? Samo szczenię? — leczę wykrzykniki i dowódca objaśnia wreszcie, że jesteśmy w „odwodzie” i dlatego mam pójść z oddziałem nacierającym, żeby po zdobyciu punktu wrócić i iść na obsadzenie, czyli idę poznać teren.

— Nol „Trzym się!” i smaruj! — nagli dowódca.

Wybiegłam przez bramę. Dokoła ciemno jak „u murzyna w brzuchu”. Stoję bezradnie — trzy bramy... na lewo czy na prawo? (Dowódca nie

Wanda Traczyk

„CHCIEĆ — TO MÓC!”

(Pierwsza nagroda)

— Ciszej tam! Uważaj, na co stawiasz kopyta — sykał co chwilę dowódca któregoś z drużyn i posuwaliśmy się dalej długim szeregiem ciemnych postaci.

Noc była ciepła, bezgwiezdna. Gruzy zwalonych domów, oświetlone dogasającymi pożarami, sterczały ciche i ponure w swej martwocie. Brzęk potrąconej przez któregoś z kolegów blachy i ciche przekleństwa przerywały na chwilę milczenie i odwracały uwagę skupioną na własnych „kopytach” omijających leje od bomb, człapiących po gruzach, które zaległy to, co kiedyś zwano ulicą.

— Uwaga! Przechodzimy pod linią nieprzyjaciela! Skokami! Pojedynczo!

Gdzie jesteście? — pytam po chwili dowódcę.

— Minęliśmy plac Grzybowski, gruzami dojdziemy do ul. Skórczanej — objaśnia uśmiechając się serdecznie poprzez zmęczenie.

— Udało się, co? Nawet nas nie zauważyli...

— Oj, wiecie, co? Nie poznałem placu Grzybowskiego! Wstyd mi, jakbym własnej babci nie poznał...

— Nie martw się, rodzona ciocia nie poznałaby w tej chwili cię — kpią wesołe, młode głosy i mimo zmęczenia śmiejemy się „od ucha do ucha”.

Rozlokowali nas w starej drukarni koło ul. Skórczanej, kazali odpocząć i przygotować się do akcji.

Zadaniem naszym było uderzyć od strony gruzów przy Skórczanej na ul. Graniczną (gdzie nieprzyjaciel trzymał się mocno), zdobyć całą ulicę wraz z placem Żelaznej Bramy i utrzymać teren, wiążąc ogniem nieprzyjaciela, skoncentrowanego w ogromnej sile w Ogrodzie Saskim.

W tym czasie oddziały ze „Starówki” (Stare Miasto) miały się przebijać od placu Teatralnego i od ul. Senatorskiej na naszą stronę. Stare Miasto było wtedy zniszczone kompletnie i mimo zawzięte walki trzeba je było oddać. Oddziały wycofywały się do środmieścia kanałami, a część górą, tzn. — przebijały się poprzez linie nieprzyjaciela brawurowymi atakami. Straty były ogromne, niejednokrotnie przebijający się oddział ginął całkowicie, natknąwszy się na nie dającą się przełamać linię nieprzyjacielską.

Siedziałam w kącie pod oknem

powiedział — widocznie zapominał.).

Czuję się teraz naprawdę jak szczenię, ślepe i na deszczu.

— O, psia krew! — mruczę pod nosem dla dodania sobie odwagi i myślę o „kumplach” z drużyny. Z nimi być razem — to grunt!

— Niech to nagła krew z buraczkami — mówię prawie głośno i skręcam na chybił trafił na prawo.

Dotykając muru ręką, walę naprzód — i nagle seria świetlna z cekaemu rozjaśniła mi przed oczyma i w głowie.

Daję szczupaka i zjeżdżam po gruzach do jakiegoś leja po bombie. Serie idą teraz wysoko nad moją głową, a ja siedzę, liczę członki i granaty rozmyślając równocześnie.

— Aha! Czołg stoi na rogu Skórzanej i Grzybowskiej, minęłam jakąś barykadę, trzecia brama — to będzie ta. Ale jak ja się stąd wygramolę?!

Przerywa mi rozmyślanie fakt, że ktoś unikając bliższego zetknięcia się z serią zjechał prosto na mnie.

— Kto tu? — pyta wystraszony.

— Ja!...

— O, bardzo przepraszam, nie chciałem lądować na koledze.

— Szkodzi nic! — odpowiadam lakonicznie. — Ale jak my się stąd wydostaniemy?

— Co: jak? — dziwi się „desant”.

— Po prostu... — Nowa seria rozjaśnia ciemności i słyszę śmiech.

— No, jak ktoś ledwie od ziemi odrósł, a już się pcha do wojaczki — to faktycznie kłopot! — drwi dryblas z mego wzrostu. Ale pomaga mi wygramolić się z leja pytając przy tej czynności, dokąd walę.

— Do tej bramy na raziel!

— No, to „trzym się!”

„Trzym się!” — i w kilku skokach jestem przy bramie.

Trafiłam dobrze. Dowódca odcinka odesłał mnie do kpt. Broga, prowadzącego natarcie. Kpt. Bróg wysłuchał mego meldunku.

— Hm! Tak, dobrze — mruknął. — To szoruj, mały, do moich chłopaków. Siedzą na następnych gruzach z cekaemem, dotocz i trzymaj się z nami.

— Tak jest!

Znalazłam gruzy i chłopaków w kilka minut.

— Hallo! Koledzy, jesteście od Broga?

— Tak!

— Mam do was „dobić”!...

— To włącz i siadaj!

Włączę, ale siadam bardzo ostrożnie — coś mi bardzo pachnie pod tym murkiem.

Siedzę i czekam. Wpada kilku chłopaków.

— Te, posuń się trochę — trąca mnie jakiś „teb” w okularach.

— Nie mogę — mówię zmieszana.

— Dlaczego?

— Bo tu jest brudno... śmiedzi!

Drab zaczyna się śmieć jak wariat. — Dobry kawał! Niech mnie kaczki skopią! Nie może się posunąć, bo tu... brudno!

— Gdzie ciebie chowali, małpo? Panowie podchorążowie, wstańcie, bo tu... brudno, porteczki się zabrudzą!

Śmieję się już teraz wszyscy, a ja siedzę skulona i wściekła.

— U-w-a-g-a! Skokami pojedynczo do spalonego budynku! Dalej: czołgać się! Uważać na rakiety, na rogu czołg! — Głos kpt. Broga przerywa śmiech.

Czekam, aż skoczą inni, postanawiam nie „wyrwać”, iść na końcu. Głupio mi jakoś, zawsze w drużynie „wyrwałam” za Jędrkiem, a za mną i przede mną czułam, że są moi kumple serdeczni.

Skoczyli! Teraz kolej na mnie. Przebiegłam kilka kroków, kiedy z sykiem wzbija się nad naszymi głowami czerwona rakietka i powoli opadając wyraźnie oświetliła całe gruzy i nas leżących bez ruchu.

Opadła. Szybko naprzód, teraz będą kropić.

— Mam już przecież doświadczenie — myślę i daję susa w bok.

Istotnie rozpętało się piekło. Czołg słał pocisk za pociskiem. Cekaemy nieprzyjacielskie kładły ogień zaporowy świetlną amunicją, odezwały się moździerze, gdzieś sunęły czołgi, co chwila wzbijała się ku niebu rakietka i zwolna opadając oświetlała teren.

Posuwaliśmy się jednak stale naprzód. Miniery wywalali dziurę w spalonym budynku Granicznej nr 7. Wśród huku pękających pocisków „Tygrysa” i moździerzy nie było słychać minierskiej roboty.

Cicho, ostrożnie posuwaliśmy się do wnętrza budynku, gorący popiół parzył nogi poprzez podeszwy butów, czad dusił. Byliśmy w spalonym mieszkaniu, którego ściana frontowa od podwórka zawaliła się częściowo. („Nasz” budynek był oficyną. Frontowy od ulicy nie był spalony i dlatego Niemcy w nim właśnie urządzili sobie stanowiska cekaemów, ostrzeliwujących Skórzaną i gruzy).

Przywarliśmy do gorącego muru czekając na rozkaz do skoku.

— Wszyscy są? — cichy szept dowódcy.

— Tak! Dziewiętnastu!

Cisza, w której nasze napięte nerwy liczą każdą sekundę oczekiwania...

Na podwórku widzimy dokładnie sylwetki Niemców, biegnących i rozmawiających między sobą.

Dowódca wciąż się zastanawia. Jeżeli natrzemy, zginie co najmniej piętnastu ludzi. Czy czterech zdoła utrzymać budynek, skoro na lewym i na prawym skrzydle jest nieprzyjaciel?

I te dwa cekaemy wysieką jak nic zanim je ktoś zdobędzie.

Co robić?

Któryś z chłopaków poruszył się nieostrożnie. Ostry, przeraźliwy

brzęk potrąconej blachy przerwał ciszę.

Przygotowaliśmy się z miejsca do skoku, ale Niemcy uprzedzili nas, mając cekaemy ustawione na naszą stronę. Teraz tylko zniżali ogień.

— Nie mogą nas osiągnąć na razie, ale szukają.

— Obrzucić granatami! — głośny rozkaz wydany przez jakiegoś szko-pa i kroki zbliżające się w naszą stronę.

— Wycofywać się natychmiast!
Uf! Zdążyliśmy...

Wybuch granatów nastąpił w momencie, kiedy ostatni z chłopców był na zewnątrz budynku.

Wściekli, zmęczeni, pokładaliśmy się na gruzach, żeby czekać na dalsze rozkazy. Obok nas przechodziły inne oddziały, szturmujące budynki przy Granicznej, leżące bliżej pl. Żelaznej Bramy. Leżałam skulona, ścis-kając w garści „błyskawicę”. Hełm zaczynał mi ciążyć, oparłam sobie głowę o gruzy.

Byłam tak piekielnie zmęczona...

— Te, mały! Przesuń się tu bliżej i schowaj lufę „peema” pod celkę (kurtka niemiecka impregnowana). Zakurzy ci się i zatnie — mruknął spozstrzegając mnie dryblas w okularach, ten sam, który nabijał się ze mnie przed godziną.

— Z którego oddziału jesteś?

— Z W.Z.W. osłonowego, pluton szturmowy.

— Aha! Ale macie uzbrojenie i mundury „pierwszoklasne”.

— Pewnie, że tak — lekceważę, ale z dumą w głosie, objaśniam „draba”.

— Ty, pochorząży?

— Nie.

Hm! No, tak... takie... szczenię rózowe. No, ułóż się tu wygodnie i odpocznij.

— Wi się! — szepnęłam, szukając oparcia dla głowy — diabelnie ciężki ten hełm...

Odgłosy walki o Hale Mirowskie wzmagaly się, potężniały.

Felicja Wilczewska

Copyright by Felicja Wilczewska

Z TOPIELI

(Druga nagroda)

Prosisz o jakiś fragment z pobytu w Rosji. Niemiłe żądanie, siostrzyczko moja. Ciężko jest cofnąć się myślą do zmory dni...

Czego nie dotknę pamięcią — wszystko jest przynębiająco ciężkie ostatnim pragnieniem życia człowieka, którego wciąga straszliwa topiel...

Są to historie trudne do uwierzenia i niełatwe do opisania.

Najcięższe jest, że trzeba je przeżywać w opowiadaniu po raz drugi, a gdy się już zacznie opowiadać, to wspomnienie jednego zdarzenia pociągga za sobą drugie i trzecie w nieskończony metraż ponurego filmu.

Czołgi huczały, kręcąc się koło gruzów i szukając nas ogniem cekaemów. Nad naszymi głowami przelatywał rój świetlnych pocisków brzęcząc bez przerwy.

— Zdobywają hale — myślałam — może teraz przebije się tu mój ojciec? Co będzie, jeśli nie zdobędziemy Granicznej? Pomóc im, ale jak? Mój tatuś tu się przebija, a ja? O, rany! Ja chcę do natarcia — mruknęłam prawie głośno.

— Nie śpiesz się! Jeszcze zdązysz zginąć! „Dryblas” usłyszał moje mruczenie i dogaduje mi.

— Wypchaj się! — rzuciłam mu pogardliwie i myśli znów zaczęły mi się tłuc pod hełmem.

Przypominałam sobie, jak to kiedyś dzieckiem marzyłam, żeby zginąć z bronią w ręku. „Na polu chwasty” i brat nabijał się ze mnie, że to nigdy się nie ziści, „bo jesteś... dziewczyną”. Co innego on — chłopak! Brat, Tadek smarkaty... gdzie on teraz walczy? Na Czerniakowie, pewnie... Może poległ? A „małe” co robią? Może Niemcy nasz dom zdobyli? Kazio i Władzio takie bezbronne

Obrazy ostre i napięte treścią cisną i zalewają umysł... Tło ich jednakowo ziemiste, a w perspektywie unosi się widmo głodowej śmierci...

Widzę w nich siebie i swoje dzieci obdarte i zagłodzone... Koszmar życia na „wolnym wysiedleniu”... w pracy nad siłą... w ciągłej groźbie więzienia... w gonitwie po porcję wodzianki... w marzeniach o zastawionym stole... w tragedii przemian psychicznych... byle żyć... byle doczekać...

Jaśniejszymi plamami na szarym tle powikłanych i zdeptanych wartości duszy ludzkiej były rzadkie chwile wrzuseń lub zadumy. Wówczas

i malutkie. Ojciec musi żyć dla nich. — Oo, nie myśleć, psiakrew! Nie myśleć — złoszczę się na siebie, ale cóż? Człowiek — takie to już bydlę, że musi myśleć...

— Pączek! Hallo, Pączek! — ktoś woła mnie i poznaje głos Kukułki.

— Tu jestem! Hej, Kukułko!

— Uf! — gramoli się ogromny i tłusty Kukułka do naszego dołka.

— Toż szukają cię z twojej drużyny chłopaki, prawie chlipią, że in szczeniaka utukli, a ty tu? Dziewczyno bez serca i wątroby!

— Kukułka, zatkaj się! — mruczę groźnie, ale ściskam mu łapę z radości.

— Co??! ..Dziewczyna?! Hal Hal Hal Hal Hul Hul Hu — ryczą ze śmiechu ci, co słyszeli, jak „drab” w okularach kazał mi się posunąć, mimo że było „brudno”.

— Ja bardzo przepraszam, koleżanko, jakim podchorząży, nie wiedziałem — tłumaczy się zmieszany „drab” w okularach.

— Ależ, drobnostka. Śmieję się razem z innymi.

— Co się stało? Zdziwienie „Ku-

człowiek z przerażeniem konstato-
wał różnicę między sobą wczoraj, w
swym domu rodzinnym, i sobą w
niewoli — i tym gorliwiej łaknął cu-
du wyzwolenia, i tym goręcej ufał
Boskiemu sercu, im wyraźniej zda-
wał sobie sprawę z beznadziejności
wysiłku utrzymania się przy życiu
na oparzelisku sowieckich intencyj
unicestwienia.

Te łagodne, chwilowe ukojenia
spływały nieprzywoływane i nie-
zależnie od stanu nasycenia żołądka,
a wynikały z różnych prawie nie-
uchwytnych przyczyn... Czasem
sprowadzał je promień słońca,
drgający na mokrych liściach
srebrzystą smużką... Czasem głoś-
niejsze ćwierkanie świerszcza, gdy
zasypiało się w połowie pacierza...
Czasem uśmiech lub niewinne słowa
dziecka... Kiedy indziej widok bied-
ronki na gałązce jagód, przypomina-
kułki" nie ma granic.

— Nic! Później ci opowiem, idę
zameldować się Brogowi, że wracam
do swoich!

Bróg nie robił żadnych trudności.
Kiedy wróciłam, Kukułka ryczał ra-
zem z innymi z mojej przygody.

Dołączyłam do swojej drużyny i
nad ranem razem z innymi oddzia-
łami wycofaliśmy się z gruzów.
Graniczna nie została zdobyta. Za
dużo broniło jej cekaemów i czot-
gów, a my za mało mieliśmy amu-
nicji i ludzi. Po naszej stronie straty
były niewielkie.

.....

Mimo wszystko — mały liczebnie,
ale niezwykle dzielny oddział chłop-
ców ze „Starówki” przebił się do nas
i choć straty poniósł dotkliwie, to jed-
nak udowodnił swoim brawurowym
przebiciem się, że „chcieć — to
móc!”

Choć nie w każdym wypadku, jak
sami się później przyznawali widząc
nasze strapione twarze. Hm. Sądzę,
że chcieli nas tylko tak pocieszyć.

jący dziecinne powiedzenie: „Bied-
roneczko, leć do nieba! Przynieś mi
skóreczkę chleba!”...

Wtedy rozstępowała się szara,
lepka mgła rzeczywistości, rozpacz
spływała ze łzami, a w serce ude-
rzał promień łaski.

Obozy, w których nas osiedlono,
miały stać się obozami śmierci wy-
siedlonych Polaków. Byliśmy już
bliscy kresu sił i wytrzymałości i
wiele krzyży wyrosło na skraju lasu,
gdy dotarła do nas wieść o ataku na
Rosję dotychczasowego sprzymie-
rzeńca Sowieców — Niemiec hitle-
rowskich. Sprzymierzeńca, dla które-
go władze sowieckie wyciskały z nas
ostatnie siły, by przez 16 miesięcy
zaopatrywać go w materiał drzew-
ny.

Komendant jeszcze bardziej
wzmógł przymus pracy, jeszcze
wrzeszczał, że Polski nigdy nie bę-
dzie!... A gdy pokonają niemieckich
barbarzyńców, to: „Możet być Res-
publika Polskaja budiet. No, kak
gosudarstwo — nikagda!!!”...

— Tu będziecie żyć aż przywyk-
niecie! — powiedział twardo.

Wtedy nadeszła nowa a tak u-
pragniona wiadomość: układ polsko-
sowiecki. Serca zadrgały przeczuci-
em rychłej wolności...

Wiadomość tę rzucił mimochodem
przechodzący przez „posiołek”
Ukrainiec. Przeleciała lotem ptaka, z
ust do ust, przez baraki, „birżę”, do-
tarła do lasu. Momentalnie wiedzie-
liśmy wszyscy.

Polska nie zginęła na zawszel
Wrócimy do Niej!

Rozpierała nas radość nie ujaw-
niająca się zewnętrznie. Niektórzy
obawiali się prowokacji. I nie mogło
być inaczej.

Byliśmy przecież odcięci od świa-
ta zewnętrznego zakazem wycho-
dzenia poza „posiołek”... Byliśmy oto-
czeni bagnami i lasem, w którym
istniały tylko łagry, wieże observa-
cyjne, straż ludzka i psia do tropie-
nia zbiegów.

Z gazet dotychczas odczytywano
nam tylko o zwycięstwach niemiec-
kich!...

Dwa tygodnie żyliśmy w gorącz-
kowym oczekiwaniu na potwierdze-
nie tej wiadomości. Wreszcie kome-
ndant rozkazał zebrać się wszystkim
wysiedleńcom na placu i oznajmił
nam, iż dzięki „amnestii”(!!!) jeste-
my wolni i możemy wstępować do
tworzącej się armii polskiej, by ramię
przy ramieniu z „dzielną, krasną ar-
mią” walczyć z niemieckim najeźdź-
cą.

W czasie odczytywania doku-
mentu głos jego brzmiał nienatural-
nie.

O! Rozumieliśmy doskonale, jak
się w tym momencie czuł. Odwałał
po prostu normę!

Gdy skończył, przez wynędzniały
tłum wysiedleńców spłynęło fale
westchnienia ulgi, by rozgorzeć jak
płomień słowami pieśni...

— Nie rzucim ziemi, skąd nasz
ród!...

Niespodzianie jakiś głos zaintono-
wał Międzynarodówkę.

— Panu Bogu świeczka! Diab-
łu ogarek! — zaczęto mruczeć,
ale w obecności komendanta kilku
głosami dobrnęło do końca zwrotki.

„Niech żyje Polska! Niech żyje
gen. Sikorski!”

Strona przeciwna odpowiedziała:
„Da zdrastwujet Sowieskiej Sojuz!” —
i rozeszliśmy się do baraków.

Byliśmy wolni!!! Rozumiesz?... Na-
reszcie wolni!

Mogliśmy iść swobodnie do lasu,
by pożywić się jagodami. Mogliśmy
chodzić na stację, by mieniać odzież
na chleb. Mogliśmy byli wyjechać
zaraz, gdyby nie brak dokumentów
i wagonów. Każdy z wysiedlonych
miał dzieci, a nie dość pieniędzy, by
myśleć o samodzielnej podróży.

Od tego dnia pamiętnego jeszcze
pół roku siedzieliśmy na „posiołku”,
a potem dopiero przyszła owa
straszna droga na południe. Na ra-
zie rozpoczął się okres przejściowy,

tym cięższy że brzeg ocalenia здаwał się tak blisko...

Wyobraź sobie, że w okolicy nie było kolchozów. Najbliższy znajdował się w odległości 60 kilometrów. Docierali tam tylko niektórzy, dość jeszcze silni mężczyźni, błędząc przez śnieżne rozdroża i ciągnąc na małych saneczkach zdobyte pożywienie. Żywność na „posiołek” do stołówki była dowożona z odległych stron kolejną i końmi.

Wskutek wojny i — jak to nam tłumaczono — zajęcia przez wojsko linii, dowóz był nieregularny, a racje, które zawsze były głodowe, stały się nie do przeżycia. Otrzymywaliśmy raz na tydzień 300 gramów chleba i zupę, gotowaną w proporcji: 2 kilogramy mąki żytniej na 60 litrów wody.

Żywicielem w ciągu krótkiego, północnego lata stał się las, a zimą, niestety — psia matka... Suki dotychczas oszczędzano. Poginęły przed samym wyjazdem. Niel! Absolutnie nie koloryzuję. Tak było istotnie.

Naturalnie, i ja miałam szczęście nakarmić dzieci psim mięsem. Ostatecznie takie, czy inne mięso zawsze ma swą wartość odżywczą... Dzięki temu „szczęściu” one żyły. Ile razy płakałam, gdy nie udały mi się łowy... I zawsze było mi żal tego nic nie przewidującego stworzenia. Jednego nie mogłam w sobie przezwyciężyć — nie mogłam zabić.

A jednak, to nie były najcięższe dni, bo każdy w ukryciu, w czterech ścianach izby przeżywał swą nędzę...

Jedliśmy psinę wszyscy, lecz nikt o tym nie mówił. Jedynie zapach rozkładający się po korytarzach baraków zdradzał tę tajemnicę pełnego garczka i ... żałosne spojrzenie, gdy się prowadziło tę zdobycz.

Wreszcie w styczniu 1942 roku wręczono nam dokumenty i dostarczono koni i wagonów.

Rozpoczęła się długa, osiem ty-

godni trwająca podróż spod Archangielska do Buchary. 56 okropnych dni w wagonach.

Najgorsza była trasa od stacji załadowania do Czkałowa. Placówki polskie nie wiele mogły nam pomóc. Jechaliśmy późno i brakowało zapasów.

Podróż ta była stokroć gorsza niż wywiezienie, bo i ludzie stali się inni po dwu latach pobytu w Rosji.

Jechaliśmy, w dalszym ciągu żywiąc się psami, łowionymi na stacjach, żebrząc i kradnąc. Na dłuższych postojach mienialiśmy resztki odzieży na chleb lub kartofle. Mniej więcej raz na tydzień otrzymywaliśmy przydział chleba po pół kilograma na osobę.

Byłe nieostrożność, lada jaki pozor i milicja wkraczała do wagonu.

Następowała rewizja i aresztowania winnych i niewinnych. Zabierano matkom nieletnich synów, wydzierano ojców z rąk czepiających się dzieci...

Czasem niektórych zwalniano i — dopędzali swój pociąg. Większość zaginęła...

Żarło nas robactwo, ciało mieliśmy pokryte ranami z głodu, brudu i odmrożeń. Zapasy wody, pośpiesznie robione na postojach, rozlewały się podczas jazdy, tworząc razem z miałem węgla warstwę błota dookoła piecyka.

Ktoś wypadł z wagonu, ktoś z rodziny został na stacji, kogoś rozjechały koła pociągu... Robiło się nieco luźniej i jechaliśmy dalej i dalej od miejsca, gdzie został ktoś bliski...

Dnie mijały wśród kłótni i płaczu, a na śniegu wzdłuż toru zostawały za nami trupy. Ci byli na zawsze zwolnieni...

Ten okres był największym napięciem dramatu wysiedleńców polskich.

Niedola nasza doszła do szczytu, a nerwy do najwyższego napięcia.

Teraz dopiero człowiek ukazywał

się takim, jakim istotnie był bez ostonek kultury, bez strojenia się w cnoty ewangeliczne i bez krępującego fałszu ogłady człowieka cywilizowanego, jakim do niedawna jeszcze był.

Przycichło sumienie i współczucie. Rozpanoszył się wszechwładny instynkt i egoizm człowieka pierwotnego, kierowany żądzą przetrwania.

Boże! Jakież te dni były okropne...

Gorąca modlitwa i zwątpienie w dobroć i rację istnienia Boga...

Ży i przekleństwa... Wiara w szczęśliwe zakończenie drogi i rezygnacja śmierci krzyżowały się i splatały razem, wytwarzając niesamowitą atmosferę wśród stłoczonych w jednym wagonie, umęczonych stworzeń ludzkich, skazanych na 8 tygodni siedzenia obok siebie na „narach”.

Była to tortura największej nędzy, upokorzenia i bezsilności człowieczeństwa, sponiewieranego do ostatka...

Ludzie stali się dzicy, szaleni, żli, samolubni.

Budzę się w nocy i widzę, jak G., ojciec 6-ga dzieci, podkrada im chleb. Wyciąga po kolei spod szmat, którymi są przykryte dzieci, kawałki niedojedzonego chleba, ugryzie kęs i kładzie na miejsce... Sięga ręką pod głowę swej matki. Bez zastanowienia pożarł cały kawałek, który zostawiła sobie na jutro. A przecież sam ten chleb za dnia podzielił wśród rodziny...

Rano przekleństwu nie ma końca...

Córka L. życzy choremu na rozstrój żołądka ojcu, by już prędzej skonał i nie zatrwał powietrza. Żona nie tylko nie broni biedaka, lecz razem z córką wypchnęły go z wagonu i zostawiły na stacji, na schodach stacyjnego ambulatorium.

Jak ci to określić? To było piekło...

Jechał z nami osadnik wojskowy z Kobryńskiego. Ten był najspokojniejszy i obojętny na wszystko, co się koło niego działo. Stracił pa-

mięć i wpadł w melancholię jeszcze na „posiołku”. Twarz miał zapuchniętą. Żył prawie nic nie jedząc i nic nie mówiąc, nie zauważał nawet płaczu swego dziecka. Właściwie był już trupem...

To dzieciątko urodziło się na „posiołku”. Dziwiłam się, jakim cudem przeżyło kilka miesięcy, wisząc u wychłej piersi matki, podobne do żółtkiego trupka. Dziesiątego dnia podróży zmarło, a kobieta nie chciała się rozstać z ciałkiem. Tłumaczyliśmy i pocieszaliśmy, w końcu trzeciego dnia na postoju rzuciła trupka w twarz jakiemś dostojnikowi sowieckiemu. Zrobił się krzyk i zamieszanie na peronie. Kobieta wyła, milicjanci przeklinali...

Czym prędzej zmieniono lokomotywę i pojechaliśmy dalej.

Od tego wypadku nasz pociąg zatrzymywał się albo w polu, albo na małych stacyjkach.

Z tej rodziny nikt nie został żywy. Śmierć osadnika wynikała w następstwie tego okropnego dnia, kiedy złowiono trzy psy.

A może tak się akurat ułożyły okoliczności. Bo dni jego i tak były policzone. Był to straszny wieczór...

Przejeżdżaliśmy górzysty teren Uralu.

Wyobraź sobie taki obrazek... Jeśli potrafisz, jeśli zechcesz uwierzyć!

Jest wieczór. Pociąg w biegu szarpie i podrzuca na nierównym terenie. Wnętrze wagonu oświetla ogień z piecyka, w którym palimy dzień i noc bez przerwy. Włosy przymarzają do ścian wagonu, ale powietrze jest duszne, przesycone wyziewami brudnych szmat i mdłe od zapachu świeżej krwi z psiego mięsa. To sąsiadka moja rąbie na części psi zewłok...

Patrzę na nią, jak zakrwawionymi rękoma podnosi w górę siekierę, by uderzyć tuż u mych stóp. Gdy patrzę na to, co się w tej chwili dzieje w wagonie, ogarnia mnie straszne obrzydzenie. Dzieci moje nie jadły od

dwóch dni, ale psa — już nigdy więcej! Nie mogę na tę mordownię patrzeć!

Na haku wisi do połowy obdarte wielkie psisko, a na podłodze wije się kundel, którego Sz. dusi, skręcając sznur kołkiem.

Ohyda... Podobni jesteśmy do zwierząt!

Ze zdumieniem patrzę na ludzi, którzy przy blasku ognia wyglądają strasznie. Rozszerzonymi nozdrzami chwytają zapach wątróbki. Sąsiadka moja w tej chwili podobna jest do wiedzmy...

Obok niej przy piecyku samotny chłopak-sierota przegląda szwy koszuli, ściągniętej z grzbietu, i co chwila wykonuje ruch ręką w stronę ognia.

Nastrój jest po prostu nieprzytomny... Wszyscy milczą...

Wtem rozlega się śmiech... To obłąkany osadnik śmieje się pierwszy raz od czasu przyćmienia umysłu!

„Bat'ko Sta-a-a-lin!” — mamrocze nieprzytomnie i pomatu zsuwa się z nary. Oczy ma rozszerzone i idzie w stronę wiszącego psa.

Czułam, jak nogi mi drętwieją. Ogarnęło mnie przerażenie.

Lada chwila może nastąpić atak furii, Bóg wie co!...

— Schowajcie siekierę! — krzyknęłam.

Tymczasem stało się zupełnie coś innego. Obłąkany podszedł chwytając się do wiszącego psa, plunął...

— Przeżyłem tego wściekłego psa! rzekł niespodzianie.

— Przeżyłem... — i w tym momencie zwał się na podłogę.

Nie odzyskał już przytomności. Ach, źle mówię, przecież on nie był przytomny. Zresztą, nie wiem, może prawda tych ostatnich słów dotarła do jego świadomości i zawód poraził go ostatecznie? Czy może siła wyczekiwania na upragnioną chwilę nagle zgasła?... Nie mogliśmy tego odgadnąć.

Z takich momentów składała się nasza podróż, gdy brzeg wyzwolenia był przed nami. Za nami — trupy, obdzierane przez sowieckich uprzątcaczy...

• • •

W końcu dojechaliśmy do Buchary. Dalej już kolej nie szła.

Ulokowano nas w szopach stajni wielbłądziej i stąd rozsyłano do kołchozów, pomiędzy Uzbeków.

I tu panował głód. W okolicy szalała epidemia tyfusu.

Polskie rodziny ginęły masowo.

Czekaliśmy z kolei na swój los...

Miałam trochę uzbieranego spod wagonu żyta. Gotowałam to ziarno dla mojej gromadki, popijając wodę z płytkiej studni, dokoła której rozlewało się lepkie błoto, co dzień zanieczyszczane i rozrabiane przez wielbłądy.

Po przyjeździe otrzymałam z delegatury 50 rubli zapomogi, poza tym sprzedałam na rynku ostatnią wartośćową rzecz — wełnianą chustkę, tę samą, którą mi dałaś na Gwiazdkę. Miałam więc 300 rubli majątku i postanowiłam nie jechać do kołchozu, lecz za wszelką cenę dostać się do obozu tworzącej się armii polskiej.

Czy wiesz, co znaczyło 300 rubli? To był chleb przez trzy dni.

Potem mogliśmy spokojnie położyć się i skonać. Nie miałam już nic do wymiany. Podróż wyszła resztę mych sił, do pracy nie byłam zdolna, a przecież musiałam ratować dzieci. Szukałam sposobu ratunku.

Stwierdziłam, iż wysiedleńcom nie sprzedają biletów na kolej bez specjalnego zaświadczenia, że jedzie się służbowo. Nie stać mię było na prezent dla kasjera, a placówka nie uwzględniła mej prośby...

Błąkałam się po mieście rozpytując każdego, gdzie obozują nasi i jak się stąd wydostać? Nikt nic nie wiedział. Odpowiedzi były niejasne. Wywnioskowałam tylko tyle, iż z Kaganu łatwiej mi będzie wyjechać.

Buchara utwiła mi głęboko w pamięci. Do dziś mam dla tego starego miasta mongolskiego uczucie wdzięczności. Wtedy je podziwiałam. Dało mi kilka chwil odprężenia nerwów. Celowo chciałam oderwać umysł choć na krótki czas od trapiących mnie myśli, a tymczasem ulegałam całkowicie nastrojowi cichych uliczek.

Zbudowane było na wzgórzach i otoczone potężnym murem z gliny i cegiel. Miejscami mur był doszczętnie zrujnowany, miejscami porobiono w nim przekopy, przez które skracaliśmy sobie drogę na rynek.

Na rynku, jak w każdym innym mieście sowieckim, długie kolejki ludzi w halach, czekających na mleko lub kiszoną kapustę. Przy straganach z marchwią lub cebulą ścisk nie do uwierzenia. W jatce sprzedają koninę po rządowej cenie 25 rb. za kilogram. Na placu sprzedaje się starzyznę wszelkiego rodzaju. Polacy znoszą tu resztki swego mienia, jak ja swą chustkę...

Kupiłam marchwi, więc wyszliśmy stamtąd. Ileż tu nędzy...

Nad miastem górują cztery smukłe minarety z błękitnymi kopułami na szczycie.

— Mamo, to jak w Zosi książce z bajkami! — przypomina dziecko. Mieni się w słońcu mozaika, a na kopułach stoją bociany, patrząc w dół na kamienny dach rozległej budowli. Pełno na nim kopulek. Nasuwa mi ten widok niemądre porównanie do poukładanych na stolnicy pączków. Stara twierdza. Wyglądałaby imponująco, gdyby z każdej kopułki nie sterczała blaszana rura komina. To dowodzi, że o mieszkania jest tu trudno. Wszędzie na starych, mongolskich domach, zabytkach dawnej świetności, ściany ozdobione kolorową mozaiką, ułożoną w przeróżne wzory. Miejscami jak rana przebija szary odrapany mur ściany lub długa szrama po obitym gzymsie. Cho-

dę po mieście z synkiem. Jesteśmy głodni, ale ten zwykły stan jest o wiele znośniejszy w ciepły, marczy dzień na wolności niż w chłodnym klimacie północy lub w wagonie. Mam zamiar iść do parku, gdzie można kupić chleba w kawałkach. Droga wypada nam przez ciche uliczki starego miasta.

Na „posiołku” przywykłam patrzeć w ziemię, więc idę ze zwieszoną głową, ale mój syn co chwila ciągnie mnie za rękę i zadaje przeróżne pytania. W końcu i ja zaczynam przyglądać się tym dziwnym domom. Niektóre wyglądają, jak zwykłe lepianki, inne ozdobione krążkami, o ukrytych podwóreczkach i przejściach, o krętych zaułkach pod dachem, tak że nie wiadomo, czy to miejsce publiczne, czy prywatny zakamarek, w którym niespodzianie można postradać życie. Nie wiem, w jakim punkcie miasta się znalazłam.

Po chwili okazuje się, że idziemy w dobrym kierunku, tylko nieco krótszą drogą. Teraz sama zwracam uwagę dziecka na piękne ornamenty i architekturę i opowiadam historię miasta.

Dawno już nie opowiadałam mu bajek, które tak lubi...

— Mamo, a ta lampa Saladyna? To tu?

— O, nie... Tamta historia — z Bagdadu. To daleko na południu.

Chwilami naprawdę zapominam o stajni wielbłądziej i tracę poczucie rzeczywistości... Odczytuję z tych murów dawne, ponure historie, niepomna tragedii, jaka się odgrywa w tej okolicy, w każdej rodzinie polskiej...

Oto wspaniały pałac mozaikowy.

— Patrz, syńciu...

Wysokie, wąskie okna od strony wewnętrznej. Nad oknami prześlizgane ornamenty, a przed każdym oknem misterna druciana siatka. Dach błękitny, związany w łuk...

— Patrz, tu musiał być kiedys

przepyszny ogród, bo wokół basenu tkwią w ziemi spróchniałe pnie drzew...

Może ten pałac zamieszkiwał jakiś chan lub emir. Przechadzał się po wspaniałych komnatach, wonnych od kadzideł i olejków wschodnich. Słychać było muzykę i śpiewy hurrysek... A od czasu do czasu jakaś para tęsknych oczu łzawo patrzyła zza siatki w daleki świat... Może tu niejedna Polka zakończyła życie... Któż to wie?... A w podziemiach na łańcuchu jęczał jej brat lub ojciec...

Od frontu nie ma okien. Cała ściana mieni się łagodnie opalowymi błyskami. Jakies napisy w nieznanym języku. Jest i tabliczka... Biuro Bezpieki!

Oddaliśmy się szybko i ginimy w wąskich uliczkach. I znów pochłania nas urok Wschodu... Wszędzie dziwne ubiory, niezrozumiała mowa, „arby”, zaprężone w osiołki. Drepczą tak śmiesznie!

Majestatycznie przesuwają się koło nas ogromne cielsko wielbłąda. Znad wstrętnej mordy zezują ku nam złośliwie przymrużone oczy...

Wzdłuż uliczki ciche, tajemnicze domy z zawieszoną u drzwi mosiężną rączką, trzymającą gałkę do dzwonienia.

Na skrzyżowaniach ulic wznoszą się ogromne, kamienne bramy, połączone kopułą. Dziwne miastol!

Mijamy kilka takich kopułastych bram. Wewnątrz, w niszach, sprzedają lemoniadę, gazety i pisma sowieckie i haftowane złocistą nicią okrągłe czapeczki uzbeckie...

W czterech różnych kierunkach wyloty ulic. Głos tu jakies inne ma brzmienie. Sklepienie oddaje spotęgowane dźwięki ulicznego ruchu. Stokrotnym echem rozlega się turkot kół, jak gdyby odgłosy burzy przewalały się nad głową.

Chwila ciszy... Tylko wiatr gra w górze jak wzburzona fala. Opływa mnie wspomnienie dalekiego morza.

Naszego morza. Mój Boże... I znów rozlega się grzmot pod sklepieniem. Czar prysnął!

— Chodźmy dalej!

Park jest w nowej dzielnicy miasta. Ulice tu są szersze i brukowane. Park — to niewielki kwadrat o kilku zaledwie drzewach. Główna aleja ozdobiona postaciami nimf i posągami sławnych bojowników nowego ustroju. Dość dziwne zestawienie momentalnie zwróciło uwagę dziecka.

— Mamo, czy to są huryski?

— Yhym...

— A to im wesoło!

— Komu? — zapytała zdziwiona.

— No, tym, „gierojom sojuza”. On i ona! Mąż i żona! powtarzał w kołko chłopiec.

— Co ty pleciesz?! — roześmiała się. Co ci tak wesoło?

— Kupisz chleba?!

— Pewnie, że kupię. Tylko musimy trochę poczekać.

W parku kwitnie handel spod poły i tylko za pieniądze. Dwa kilogramy chleba — 80 rubli, ale lepiej opłaca się kupić kawałkami od robotników.

Pełno tu wynędzniałych i obdarzonych spacerowiczów. Kręcą się cyganki, natrętnie proponując wróżby, a jeśli w trakcie ataku odchodzą bez przekleństwa, jest to nieomylnym znakiem, iż w pobliżu kręci się tajniak... Ławki są okupowane przez śpiących. Pojedynczo siadają na trawie ci, którzy sprzedają chleb. Lepiej nie mieć świadków...

Wzdłuż spacerują niedbale i również samotnie—kobiety i mężczyźni. Badawczo obserwują się wzajemnie pragnąc odgadnąć tajemnicę poddaży.

Słychać ciche pytanie: „Prodajosz chleb?”

W odpowiedzi nieznaczny ruch głowy, po czym przechodzień idzie dalej lub siada i zaczyna się targ. Na tej zamaskowanej giełdzie „paj-

kowej” można zawsze kupić chleba, bo robotnik z przydziałem w stołówce, otrzymując dodatkowo do obiadu kromkę chleba, nie zjada go. Woli swój „pajok” sprzedać na pasek i kupić wina po rządowej cenie 5 rb. za szklanekę.

Przy wejściu u stóp pomnika Lenina siedzą trzej towarzysze. Z fufajek zwisa w strzępach wata. Żaden nie ma koszuli. Z pewnością niedawno opuścili więzienie. Siadamy z drugiej strony na stopniach.

Myślę znowu o tym, że lada dzień przyjdzie po mnie „arba” z kołchozu i że pieniądze topnieją...

Małec je marchew. Wiem, że nie może się doczekać, kiedy nareszcie kupię chleba, ale samotnych sprzedawców jest tak mało, że będą się drożyć. Trzeba poczekać do pory obiadowej.

Tymczasem jeden z siedzących obok nas towarzyszy przyniósł chleb i dzieli go właśnie na trzy kawałki, wielkości pudełka zapatek.

— Śledzia mają! — zauważył chłopiec.

Śledź zostaje równie sprawiedliwie podzielony. Jedzą wolno, małymi kęskami, jakby umyślnie przedłużając rozkosz żucia.

Teraz dopiero, patrząc na nich — czuję straszny głód. Pot zrasza mi czoło...

— Mamo, gdzie oni mogli kupić śledzia?

— Nie wiem, ale kupię większą pajkę chleba — odpowiadam dziecku słabym głosem. — I będziemy ją dzielić na części, jak oni — pomyślałam z goryczą.

Po pięciu dniach pobytu w Bucharze pozostało mi 120 rubli. A musimy stąd wyjechać. Musimy!

W czasie tej ucztę nędzarzy dziecięciu innych oberwańców rzuca im znane zapytanie: „Prodajosz?”...

— Czorta! Nie widzisz, z której strony?

Popili jeszcze wody. Wypalili wytrzęsnięte ze wszystkich kieszeni

śmiecie i poszli dalej. Zdaje się, że było to ulubione miejsce biedaków, bo stopień natychmiast został zajęty przez świeżego przybysza. Ten był nieco lepiej odziany. Usiadł i począł zajadać dość okazałych rozmiarów pajkę chleba, zagryzając kiełbaskę z ośliny. Jakże nam się chciało nie- miłosiernie jeść! Już miałam wstać, bo mi dziecka było szkoda, gdy przybysz zapytał:

— Ty Polaczka, obywatelko?

— Tak, obywatelu.

— A to pewnie twój „parień”? popatrzył na dziecko.

— A ty widział dziś chleb?

— Widział... u ciebie! — mruknął chłopiec ze złością.

Robociarz roześmiał się. Podobała mu się odpowiedź.

— Maładiec! Masz, pokuszaj — rzekł, wyciągając z zanadru kawałek chleba i wtykając dziecku.

— Dziękuję, obywatelu, szepnęłam zdziwiona i zaskoczona.

Dzielił się z nami najcenniejszym darem Boskim, tak drogim w Rosji Sowieckiej!

Ta okruszyna współczucia rozkleiła moje nerwy, ciągle sztucznie trzymane na wodzy. Oczy mi zaszyły szczypiącą mgłą, a w gardle i w piersi poczułam bolesny ucisk. Zdaje się wtedy, że pękają więzania żeber. Westchnęłam głęboko, chcąc stłumić dobywający się szloch. Nie chciałam zwracać na siebie uwagi w publicznym miejscu. Tymczasem dzieciak z zajęciem śledził poruszający się na chlebie szary punkt.

— A co?... przekłeta wesz!... jej mat!

— No, głupstwo! Pod ściankę... Nic sobie z tego nie rób! — doradzał robociarz, wyciągając się do snu.

...I małec spokojnie strząsnął wesz i rozdeptał na stopniu.

— Mamo, zjedz chlebusia, zjedże, mamo, kawałek.

— Sukinsyn!... Swotocz!... Durak!... — cedził przez zęby wolny obywatel. Leżał na wznak i patrzył

w górę prosto w twarz Lenina.. Po chwili chrapał pogrążony we śnie. „Da zdrastwujet swaboda rabocze-wo klasa” — pomyślałam...

Nazajutrz ruszyliśmy w stronę Kaganu, a stamtąd kolejną do Guzar.

Stanisław Heydel

TRAGICZNE ZZRĄDZENIE LOSU

— Wspomnienie z okresu akcji „Burzy” —
(Druga nagroda)

Spośród licznych akcji dywersyjnych z okresu walki podziemnej z okupantem—jednej nie mógł Żbik w żaden sposób zapomnieć. Nie był to może jakiś specjalny wyczyn bojowy czy też jakiś szaleńczy zryw bohaterstwa, była to normalna, zwykła, podobna do wielu innych akcja dywersyjna, jakich o tym czasie setki było na terenie „Generalnego Gubernatorstwa”. A jednak ta akcja była tak tragiczna i tak niezapomniana, że do dziś Żbik pamiętał doskonale wszystkie szczegóły tej dziwnej i niesamowitej historii.

Był to sierpień 1944 roku. Oddziały Armii Krajowej, do których należał Żbik, znajdowały się od trzech tygodni na samej linii frontu, pomiędzy armią niemiecką i armią sowiecką. Sytuacja była raczej tragiczna i beznadziejna, bo z jednej strony Niemcy wszelkimi sposobami starali się zlikwidować gniazdo „polskich bandytów”, którzy im już ponadto zachodzili za skórę, z drugiej — nie posiadano żadnych konkretnych danych o rzeczywistym ustosunkowaniu się władz sowieckich do regularnych partyzantek Armii Krajowej.

Zgrupowanie, do którego należał Żbik, skazane było właściwie na zagładę. Przedostać się przez trzy linie obronne niemieckie na zachód było wykluczone, bo Niemcy natychmiast strzelali do każdego, kto wyszedł z lasu. Przejść na stronę bolszewicką

Opatrzność Boska czuwała nad nami. 28 marca byliśmy już na ziemi perskiej.

• • •

Wyszliśmy z topieli... A iluż zostało na zawsze?...

też było nie łatwo, a do tego dochodziły słuchy, że żołnierze A.K. byli natychmiast rozbijani i internowani. To był właśnie ten pierwszy przyjacielski gest „sojusznika”.

I tak od paru tygodni o głodzie i nocnym chłódzie błękały się i włóczyły te oddziały po lasach na linii frontu, niepokojąc nieustannie Niemców i czekając łaskawego zjawienia się niepewnych bolszewików.

Bojówka dywersyjna, do której należał Żbik, złożona z samych „cwaniaków”, „pistoletów” i jak to mówią — chłopaków z ikrą, prawie co noc przeprowadzała wszelkiego rodzaju akcje dywersyjne, sabotażowe i wypadki bojowe. Chłopcy — wychudzeni, brudni, zarośnięci — czekali zawsze na te nocne wyprawy z radością i utęsknieniem. Ale ponieważ przestżeń działalności bojówki z dnia na dzień się zmniejszała, ścieśniana przez Niemców i bolszewików, którzy nieraz kierowali wspólnie swoje działa na ewentualne nasze skupienia — przeto ostatnio do najczęstszych akcji należało robienie zatorów na jednej z głównych szos przebiegających z zachodu na wschód. Dzięki podobnym akcjom utrudniano Niemcom komunikację i łączność, korkując na jakiś czas szosę, a następnie zdobywano zawsze pewne ilości broni i amunicji, której głód obok głodu fizycznego nie mniej dawał się oddziałom podziemnym we

znaki.

Akcja taka była prosta i nieskomplikowana. W odpowiednim momencie podkładano pod jakiś odosobniony pojazd mechaniczny minę talarzową. Przejeżdżano się po nim serią ze spandau'a. Reszta chłopców z p.m-ami wykańczała Szwabów i zabierała broń i amunicję. Zajmowano potem te same stanowiska i czekano na następny pojazd. W ten sposób powtarzano tę samą robotę aż do chwili, kiedy szosa była dobrze zabarykadowana i kiedy robiło się gorąco. Wtedy po zniszczeniu i podpaleniu unieruchomionych pojazdów wycofywano się do lasu.

Żbik jako celowniczy spandau'a miał już dużą wprawę w tej robocie, z dziką pasją wysyłając swoje świetne seryjki, które jak robaczki świętojańskie błyskawicznie pruły ciemności nocy. Toteż kiedy tego wieczora postawiono bojówkę na nogi, Żbik nie spodziewał się żadnych rewelacji dywersyjnych i zdruzony z flegmą przygotowywał swego ukochanego spandau'a poprawiając pociski w taśmach.

Ale tej nocy miało być zupełnie inaczej...

Szli już dobre pół godziny wytężonym, partyzanckim marszem. Było już po północy. Od wschodu wiał zimny przenikliwy wiatr, przynoszący ze sobą od czasu do czasu odgłos serii karabinów i pistoletów maszynowych. Buki i jodły szumiały swoją melancholijną pieśń i czasem ponad lasem zaświstał jakiś zapomniany przelatujący pocisk artyleryjski. W górze poprzez korony wiekowych drzew migotały gwiazdy z Wielką Niedźwiedzicą na czele. Gdzieś tam widać było matowe, pomarańczowe refleksy dalekich łun. Oddział szedł marszem ubezpieczonym — tak, na wszelki wypadek. Ale wkoło było właściwie cicho. Front odpoczywał i przygotowywał się do nowej dziennej działalności. Czasem zatrzeszczała jakaś nieopatrznie

zgnieciona nogą sucha gałązka albo też zaszeleściły zgniłe, jesienne liście.

Zbika te nocne marsze zawsze rozmarzały. Myślał wtedy o „tamnym” cudownym, zapomnianym już prawie świecie, do którego już prawdopodobnie on nigdy nie wróci, myślał o Joannie, o jej twarzyczce uśmiechniętej i jej hebanowych włosach, myślał o pięknie, o dobrem i o złem i zastanawiał się po raz nie wiem który, dlaczego on jest tutaj, a nie tam? Dlaczego właśnie on lubiący i kochający tak świat, życie i ludzi, nieść im musi co noc... śmierć?

Mówił sobie wtedy, że przecież to są Niemcy, wrogowie śmiertelni, że zabija ich za Oświęcim, Majdanek i Montelupich, ale w żaden sposób nie mógł sobie wytłumaczyć, że to nie są ludzie... I w takich chwilach słabości zaciskał mocniej zęby i podzacał na ramieniu ciężącego mu spandau'a. Wpatrzony w plecy towarzysza idącego przed nim, zagłębiał w swoje filozoficzne rozmyślenia i skupiony ostrożnym stawianiem nóg i omijaniem drzew i gałęzi, nie zauważył nawet Zbik, jak jego oddział wydostał się z lasu. Przed nimi leżało morze ognia palących się wiosek, osiedli i pojedynczych zagród. Na horyzoncie migotały regularnie odbłyski wystrzałów artyleryjskich. Osiemset metrów dalej—nieco w dole, na szosie, ciągnęły niewidoczne, zaciemnione pojazdy niemieckie. W górze tyrkotały pojedyncze sowieckie samoloty wywiadowcze, tak zwane kukuruźniki, rzucając od czasu do czasu małe, dziesięciokilowe bombki, przeważnie bez efektywnych rezultatów.

Dowódca zarządził odpoczynek i przygotowanie się do zajęcia stanowisk. Palić nie wolno. Zresztą i tak już od dawna nie ma co. Dwóch ludzi z p. m-ami poszło zorientować się w nasileniu ruchu i w rodzaju pojazdów.

W dziesięć minut później cały oddział był rozłożony na miedzach, pomiędzy łanami zbóż, na skraju szosy. Zbik ze swoim załadowanym spandau'em przewieszonym przez ramię czekał na brzegu zagonu ziemniaczanego na wybuch miny, aby sprawnym pociągnięciem za język spustowy, z biodra, przeciągnąc świetlaną seryjką po unieruchomionym pojeździe. Niemcy byli o dziesięć kroków od nich. Słychać było dokładnie ich szwargot. Szosą jechała artyleria i zmotoryzowane tabory. W pewnym momencie urwał się sznur pojazdów i względna cisza zapanowała dokoła. Od wschodu szosą zbliżał się jakiś odosobniony, niewidoczny jeszcze pojazd. Po motorze można było poznać, że to był samochód osobowy. Zbik czuł, że nadchodzi odpowiedni moment. Ze spokojem położył palec na języku spustowym i podciągnął spandau'a nieco na pasie. Samochód był już tuż, tuż. Widział dokładnie jego ciemną masę na tle jasnego ścierńiska. Zanim zdążył się zorientować w rodzaju maszyny, usłyszał silny wybuch i w blasku jego zobaczył dużego, czerwonego mercedesa, który zsuwał się majestatycznie w rów po przeciwnej stronie szosy. Przez myśl przemknęło mu błyskawicznie: napewno Gestapo. Krótkie pociągnięcie za języczek spustowy, lekkie szarpnięcie ramienia i przedramienia i śmiercionośne kochane świetliki biły z trzaskiem w czarną niewidoczną karoserię. W tej samej chwili zaszczekały steny i pepeszki i po paru krótkich seriach jak na komendę wszystko się uspokoiło. Na ciemnej szosie panowała śmiertelna cisza. Zaden samochód nie nadjeżdżał. Gdzieś z przeciwnego rowu dochodziły jęki konających Szwabów. Robota była trudna. Chłopcy z p. m-ami byli już przy wozie. Zbik powoli przeskoczył rów i wyszedł na szosę. Dziwne ma się uczucie stąpając po asfalcie, kiedy jest się przy-

zwyczajonym do chodzenia po liściach, po miękkim mchu i elastycznej ziemi. Podszedł do dużego, na bok przechylonego wozu i namacał ręką tylną tabliczkę rejestracyjną wyczuł pod palcami wypukłe litery POL. Tak, taką robotę lubiał. Tych panów z policji z uczuciem wybitnego zadowolenia wysyłał na „Himmelskommando”. Chłopcy wyciągali już ciepłych nieboszczyków z rozbitego samochodu. Wszystkich razem było pięciu. W pewnym momencie Zbika uderzyła białość jednego z ludzkich kształtów, który miał być właśnie rzucony wraz z innymi w pobliskie kartoflisko. W tej samej chwili błysnęło na ułamek sekundy światło latarki dowódcy. W żółtym oślepiającym snopie Zbik zobaczył młodą o jasnych włosach kobietę. Z ust jej sączyła się krew. Ręce miała z tyłu związane, nienaturalnie sztywne. Zbik poczuł dziwną pustkę w mózgu i krople potu na skroniach. Tego niestety nie przewidział. Nigdy jeszcze nie wyprawiał na tamten świat kobiet. A do tego była jeszcze skuta. Zrobiło mu się bardzo nieprzyjemnie na duszy. Cała ta historia zaczynała być naprawdę tajemniczą. Nieznana, skuta kobieta w towarzystwie gestapowców.

Na spokojny rozkaz dowódcy złożono ją osobno i zaczęto przeszukiwać. Wszystko to odbywało się dosyć szybko w kompletnej ciemności. Tajemnicza kobieta nie miała żadnych dokumentów przy sobie. Zbik stał nad tą jasną, przed paroma minutami jeszcze żywą postacią i rozmyślał nad jej tajemnicą. Kim ona jest? Dlaczego jest skuta? Co robiła o tym czasie w towarzystwie tych niemieckich opryszków? Wziął delikatnie jej rękę w swoje palce. Była jeszcze ciepła, jeszcze prawie żywa... Zadzwoiły łańcuszki kajdanek...

W międzyczasie zabrano całą broń składającą się z czterech berg-

manów i czterech pistoletów ręcznych. Złożono do jednej zdobycznej skórzanej teczki wszystkie dokumenty i papiery i dokładnie przeszukano bagaż. Największą radość sprawiły chłopakom pełne doskonałych papierosów papierosnice. Robota była skończona.

Wypadek z tajemniczą kobietą wprowadził z równowagi nawet samego dowódcę, który zarządził natychmiastowe wycofanie się do lasu. Rozbito jeszcze do reszty motor i wpakowano na zakończenie do środka angielski granat. Z pięknego mercedesa zostały szczątki.

Nikt się nie dziwił, kiedy dowódca rozkazał zabrać ze sobą stygnące zwłoki młodej kobiety. Na zmianę niesiono ją w grobowym milczeniu. Wszyscy byli przygnębieni i niezadowoleni z nieprzewidzianego rezultatu tej akcji. Żbik dzięki swemu ciężkiemu spandau'owi uniknął tej niemiłej funkcji.

W momencie kiedy czoło bojówki wchodziło w szumiący nieustannie las, od szosy odezwał się spandau. Kolega z fabryki. Kulki zaświstały przenikliwie. Puszczono raketę. Niemcy ostrzeliwali brzeg lasu. Paroma skokami bojówka znalazła się pod pewną opieką starych wiekowych drzew.

Po półgodzinie makabrycznego i niesamowitego marszu — czternastu żywych mężczyzn i jedna nieżywa kobieta — doszli to starej, dobrze im już znanej smolarni. Wreszcie można było zaświecić światło i zapalić wymarzonego papierosa. Tajemnicza kobieta leżała przed nimi na ziemi. Ręce już rozkute spoczywały niedbale wzdłuż jej smukłego ciała. Nie robiła zupełnie wrażenia umarłej. Zaróżowione jeszcze policzki, kokieteryjnie rozsypane włosy i ładna sportowa niebieska sukienka. Usta tylko miała sine i nieco wykrzywione grymasem ostatniego bólu. Na niebieskim tle sukni widać było parę kropel krwi. Śmierć niespodziewana

i nagła na pewno była szybka i bezbolesna. Z całej jej martwej postaci biło jeszcze życie i młodość.

Dowódca przeglądał nerwowo dokumenty i papiery. Gestapowcy byli z jednego z pobliskich miast powiatowych. Nazwiska ich były już w okolicy dobrze znane. Ale wiadomość ta nie wywarła na nikim specjalnego wrażenia. Wszyscy chcieli przede wszystkim wiedzieć, kto jest ta młoda i przystojna kobieta? Czy jest niepotrzebną już agentką Gestapo, którą miano zlikwidować, czy szpiegiem? Czy też może...

W ciszy nocnej szeleściły tylko papiery porozrzucane ręką dowódcy. Smolarnia była szara od dymu z papierosów. Wszyscy — wpatrzeni w jego skupioną twarz — niecierpliwie czekali rozwiązania zagadki pełnej tajemnicy, ale wszyscy myśleli o jednym i tym samym. Byleby tylko nie...

W pewnym momencie twarz dowódcy nagle zastygła. Oczyma przesuwając chaotycznie po jakimś papierze. Po chudym, szerniałym od wichrów i deszczów policzku tego

Imcz

NA CZERWONEJ WOLNOŚCI

(Trzecia nagroda)

Łager nad rzeką Wołoszką w archangielskiej „obłasti”, do którego mnie zesłano na 15 lat jako „niebezpiecznego wroga ludu”, znajdował się wśród trudnych do przebycia moczarów i bagnistych lasów. Byliśmy odcięci od miejscowej ludności, która w innych miejscowościach czasem przemycała do łagrów jakieś bodaj skąpe wiadomości. Wskutek tego nic nie wiedzieliśmy, co się dzieje w Rosji, a tym bardziej — na świecie.

Gdy rano w dniu 1 sierpnia 1941 roku głośniki radiowe w łagrze ogłosiły kuminikat o podpisaniu przez Związek Sowiecki umowy z Rządem

zahartowanego jak stal oficera toczyła się powoli srebrzysta łza. I wtedy ci twardzi, bezlitośni bojówkarze zrozumieli już wszystko. Bez słowa wzięli z szacunkiem i pietyzmem wąż, zimne już ciało kobiety-żołnierza i wśród uroczystej ciszy nieśli do partyzanckiej meliny, aby tam temu żołnierzowi, co od braterskiej zginął kuli, sprawić prawdziwy, uroczysty partyzancki pogrzeb.

W górze szumiąły zdziwione buki, graby, dęby i jodły. Gdzieś hen, daleko huczały nieprzyjacielskie działa. Gwiazdy już blakły i gdzieś niedługo zaświergotał zbudzony ptaszek. Robił się dzień.

Tak tragicznie zginęła od braterskiej kuli jedna z kobiet-żołnierz Armii Krajowej. Wyzwolona od stokróć gorszej śmierci Oświęcimia czy Montelupich — leży dziś pochowana pod smukłą, płaczącą, niewinną brzożą, szumiącą jej do wiecznego snu starą żołnierską piosenkę:

Śpij, kolego, w ciemnym

grobie,

Niech się Polska przyśni tobie...

Polskim w Londynie, na mocy której wszyscy Polacy mieli być zwolnieni z więzień i łagrów — nie wierzyliśmy własnym uszom i omal nie oszaleliśmy z radości. Jak w dniu Zmartwychwstania rzucaliśmy się sobie w ramiona, wołając:

— Chrystus zmartwychwstał!

— Prawdziwie zmartwychwstał!

Ale Rosjanie, z których wielu siedziało w tym łagrze już po kilkanaście lat, nieco ostudzili naszą żywiołową radość.

— Nie cieszcie się zawczasu! Czy jeszcze nie wiecie, że w naszym raju wszystko jest kłamstwem, prócz — jednej biedy? — mówili do nas

na każdym kroku. — Czy myślicie, że Stalin tak łatwo wypuści was ze swych szponów?

Dzień ten przeszedł dla nas w niesamowitym napięciu nerwów. Był to właśnie „wychodny dzień”, czyli dzień wolny od pracy, co zdarzało się raz na miesiąc, a więc mieliśmy czas na omawianie niezwyklej wiadomości, która nas zaskoczyła tak niespodzianie. Wątpliwe jest, czy w noc na 2 sierpnia ktokolwiek z Polaków w tym łagrze zasnął bodaj na chwilę. Gwarzyliśmy przez całą noc i w końcu doszliśmy do wniosku, że wiadomość ta jest jakąś perfidną prowokacją enkawudzistów, którzy uśmiechali się tajemniczo, nic nam nie mówiąc...

Następny dzień, którego ledwo doczekaliśmy się, rozwiął nasze czarne przypuszczenia. Rano nie wygnano nas do pracy, co było bardzo wymownym znakiem, a koło godziny 9 zebrano nas w sali kina, w której naczelnik łagru Kucenko odczytał nam tekst zawartej umowy i ogłosił, iż od tej chwili jesteśmy wolnymi obywatelami sprzymierzonej ze Związkiem Sowieckim Republiki Polskiej.

W odpowiedzi na to, z trzystu piersi polskich zabrzmiało: „Jeszcze Polska nie zginęła”, a enkawudziści stanęli na baczność. Następnie naczelnik łagru nazywając nas „towarzyszami” przeprosił za przeżyte „nieprzyjemności”, które stały się z winy naszego wspólnego wroga, Hitlera. Na to jeden z naszych, niejaki Franczak, na całą salę zawołał:

— Taka wasza mać, a któż to mnie zęby powybił, Hitler czy wasz psubrat-enkawudzista?!

Towarzysz Kucenko poczerwieniał jak zagniewany indor i nie wiedząc, co rzec, wyjąknął wrzeszcząc:

— Trudno, towarzyszu, zdarzają się w życiu pomyłki...

Ale my, Polacy, jesteśmy skóry do zapominania uraz, a zwłaszcza w chwilach radości. Postaraliśmy się

więc jakoś zatrzeć niemiły w takiej uroczystej chwili incydent...

W tymże dniu rozpoczęło się ułatwianie formalności, związanych z naszym zwolnieniem, które trwało przeszło tydzień, zanim zwolniono pierwszą partię, składającą się z kilkudziesięciu osób. Zwolnianym zmieniano podarte watowane ubrania na nieco lepsze, niektórym poszczęściło się otrzymać z powrotem odebrane przy aresztowaniu kosztowności, ale takich szczęśliwców była znikoma ilość. Natomiast każdy zwolniony musiał podpisać oświadczenie, że nie ma żadnych pretensyj do Zarządu Łagrów. Choć temu i owemu żal było pozostawić czerwonym zbirom zagrabione przez nich rzeczy, jednak gdy mu oświadczone, że musi na nie poczekać, aż nadejdą z „głównego depozytu” — machał na wszystko ręką, zamazył podpisywał żądane oświadczenie, byle tylko jak najrychlej wyrwać się spoza drutów!

Wszystkim zwolnianym dano wykazy miejscowości, do których wolno było wyjechać, a wykaz ten obejmował najodleglejsze zakątki Rosji. Nie znając Rosji, każdy długo zastanawiał się, dokąd się udać? W tym wypadku przychodzili z pomocą łagernicy-Rosjanie, którzy wskazywali najlepsze, według ich zdania, miejscowości.

— Jezźaj tam, miasto ocień choroszoje. Gławnoje — chleba mnogo — zachęcali doradcy, wskazując jakąś miejscowość.

Ja i dwaj moi krajanie, Stanisław Królikowski i Roman Pozichowski, obraliśmy jakiś Sterli-Tamak gdzieś w Republice Baszkirskiej. Dlaczego właśnie to miasto o takiej dziwnej nazwie — pozostało to tajemniczą nieszczęśliwego Królikowskiego, któremu, niestety, nie było sądzono ujrzeć prawdziwej wolności, ponieważ zmarł w Rosji...

Na nasze nieszczęście, mnie i moich krajanów pozostawiono na ostat-

nią turę zwalnianych, wskutek czego wyrwaliśmy się z łagru dopiero w dniu 17 września. Trudno opisać, co przeżywaliśmy, oczekując na nasze zwolnienie. A tu zazdrośni łagernicy-Rosjanie, w gruncie mało czym różniący się od swoich braci-enkawudzistów, na każdym kroku zatruli nam życie złowrogim naszeptywaniem:

— A co, nie mówiliśmy, że tak będzie? Choć tamtych puścili, ale was już napewno nie puszczą! Znamy się dobrze na ich sztuczkach...

Aż wreszcie przyszedł dzień 17 września. Pod druty łagru zajechał tak zwany „motowoz” — coś w rodzaju autobusu na szynach — i nas ostatnich czterdziestu Polaków wyprowadzono z łagru...

Jakże dziś trudno oddać nastrój, który nas ogarnął, gdy znaleźliśmy się poza drutami bez straży! Aczkolwiek dokoła otaczały nas te same nieprzejrzone lasy i moczary z unoszącymi się nad nimi chmurami drobnych komarów, które wypity tyle naszej krwi, ale jakże to wszystko wydawało się jakimś innym, odmiennym!...

Oczy przesłaniała słodka mgła radości, a z ust zrywały się beztadne, ale jakże gorące i przepętione niewysłowioną wdzięcznością urywane słowa:

— Boże Jedyny! Jezu Chryste! Matuchno Przenajświętsza!...

A „motowoz” szybko mknął wśród chaszczów i moczarów, na których jak jakieś widma nie z tego świata ruszały się nędzne postacie łagerników, wykonywujących pod bagnietami „bojców” katorżną „normę”. Przed kiku tygodniami dzieliliśmy razem z nimi nadludzką pracę przy osuszaniu bagien i przekładaniu drogi wśród tych moczarów. Od świtu do późnego wieczora staliśmy po pas w cuchnących bagnach, nie mogąc opędzić się chmurom okropnie tnących komarów, lub — gdy minęło krótkie tu lato — czernieliśmy

z mrozu, a zawsze — czy w lecie, czy zimą, ledwo poruszający się z głodu i wyczerpania nadludzką pracą. A towarzysze niedoli, łagiernicy-Rosjanie widząc, że padamy z wyczerpania, nieraz niejednego z nas wtrącali w największe grzęzawisko, szydząc okrutnie:

— Panowie-białygłazki, a gdzie wasze rękawiczki? Dostyc na was pracowali się biedni pracownicy, teraz sami spróbujcie zarobić uczciwą pracą na kawałek chleba!

Te szyderstwa niejednemu z nas dźwięczały w uszach, gdy mijaliśmy byłych współtowarzyszy niedoli. Ale teraz, patrząc na nich z okna „motowozu”, zapomnieliśmy ból tych szyderstw, odczuwaliśmy tylko wielką litość, że ci biedacy muszą tu pozostać — może do samej śmierci. Gdy „motowóz” zrównał się z grupą łagerników, z okien posypały się bochenki chleba i suszona ryba, które otrzymaliśmy w łagrze na drogę.

— Co wy robicie? — zawołał zdumiony enkawudzista, który nas odwoził na stację. — Co będziecie jedli w drodze?

— My jedziemy na wolność, a oni tu pozostają — padła odpowiedź.

Enkawudzista wrzucił ramionami.

— Dziwni z was ludzie. Oni wam życie zatruwali, a wy oddajecie im swój ostatni chleb! Trudno wam będzie z waszym charakterem przyzwyczaić się do naszego życia. Nie wiem, jak tam było u was, ale u nas — cios za cios, bo inaczej, bracie, zginiesz. Pamiętajcie o tym dobrze!

Gdy przyjechaliśmy na stację Wandysz, okazało się, że pociąg będzie dopiero za kilka godzin. Enkawudzista nie chciał tak długo czekać. Wręczył nam za pokwitowaniem pieniądze na bilety i pożegnawszy się z nami bardzo uprzejmie — znikł ze stacji.

Byliśmy zupełnie wolni, bez żadnego nadzoru nad nami...

Wprost nie chciało się wierzyć, że

nikt nie pilnuje każdego naszego poruszenia, jak to było przez tyle czasu dotychczas!

Bezwiednie skierowałem się przed siebie rozkoszując się tym, że mogę iść, dokąd mi się podoba. Gdy patrzyłem na mijane budynki, drzewa, jakieś mizerne żółte kwiaty w trawie, pasącego się chudego konia — wydawało mi się, że wszystko to widzę po raz pierwszy w życiu. Długo tak szedłem jak we śnie, jak małe dziecko ciesząc się każdym swoim krokiem. Wtem ujrzałem idącego na przeciw człowieka.

— Na pewno enkawudzista! — pomyślałem ze zgrozą. — Zaraz zawoła: „Dawaj — w pieriod! Ruki nazad, głaza wniż!”

Przystanąłem wyczekując myśląc: niech się dzieje wola Boska!

Ale idący nawet nie spojrzawszy na mnie poszedł dalej swoją drogą... Wtedy dopiero oprzytomniałem i przypomniałem, że jestem przecież zwolniony na mocy układu w Londynie.

Na wspomnienie o Londynie nowa fala myśli napłynęła do głowy.

— A więc Polska nie zginęła na zawsze! — jak to twierdzono nam na każdym kroku w więzieniach i łagrach.

— I nigdy nie zginie! — zdawało się zaszepotała do mnie srebrzysta brzoźka przy drodze, jakby żywcem przeniesiona spod mego okna na dalekim Wołyniu...

Ostry gwizd lokomotywy nadchodzącego pociągu przerwał tok moich rozmyślań. Pośpieszyłem na dworzec. Koledzy pchali się do wagonów, starając się zająć wygodniejsze miejsca. Gdy pociąg ruszył, ręce nasze podniosły się do czoła, a usta zaszepotały:

— „O, Chryste, któryś nas tak niespodzianie wybawił z katorgi północnej, doprowadź nas szczęśliwie do naszej Ziemi Ukochanej!”

Pociąg szybko wiozł nas w nieznaną dal...

Zapadała noc, pierwsza noc, po tylu mękach — na wolności. Zmęczony kilku bezsennymi nocami i wstrząsającymi przeżyciami, niebawem usnąłem twardym snem, położywszy się na podłodze koło jakiegoś Rosjanina. Obudziłem się dopiero rano, gdy pociąg stanął w Wołogdzie. Sięgnąłem po tytoń do kieszeni, w której również miałem zawinięte w chusteczce kilkaset rubli, zwrócone mi z depozytu w łagrze. Kieszeń była pusta... Obejrzałem się dokoła, myśląc, że tytoń i chusteczka wypadły w czasie snu. Niestety, nie ujrzałem zguby, jak również nie ujrzałem śpiącego obok mnie Rosjanina!

— Zapłaciłeś za miejsce obok kacapa — rzekł Pozichowski. — Ale nic to, mam pieniądze i jakoś dobrniemy do tego Sterli-Tabaku! — zakończył żartobliwie, przekręcając nazwę miasta o dziwacznej nazwie.

Ponieważ od wczorajszego dnia nic nie jedliśmy, wziąłem od niego pieniądze i udałem się na dworzec, by kupić coś do zjedzenia.

W bufecie ujrzałem cały stos gazet i książek. Natomiast nie dostrzegłem żadnej żywności. Mimo to zwróciłem się do siedzącej w bufecie dziewczyny z prośbą o kilo chleba. Dość sympatyczna bufetowa spojrzała na mnie jakoś dziwnie i odrzekła z uśmiechem:

— Oho, aż całe kilo! Niestety, nie dam nawet grama, bo nie ma...

Poprosiłem następnie o papierosy.

Dziewczyna znowu uśmiechnęła się, jakby usłyszała coś śmiesznego.

— Obywatel jakoś nie wygląda na zagranicznego gościa, a żąda takich rzeczy — odpowiedziała przyciszonym głosem. — Sama nie pamiętam, kiedy miałem w bufecie papierosy...

Wróciłem do wagonu ze skwaszoną miną.

— Miał rację ten enkawudzista, że nie trzeba było rozdawać chleba łagernikom! — zaburczał Królikow-

ski, usłyszawszy moją relację.

Po kilku godzinach postoju w Wołogdzie, pociąg ruszył dalej. Na następnej większej stacji po chleb poszedł Pozichowski. Powrócił, gdy pociąg był już w ruchu. Trzymał coś w ręku, ale kłął siarczyście.

— Prawdę mówili ci kacapi w łagrze, że dopiero na wolności zaznamy rozkoszy rajy sowieckiego! — rzekł ze złością. — Oto wszystko, co zdołałem dostać... A kosztuje trzydzieści rubli!

Rozłożył przed nami swoją zdobycz, którą było sześć niewielkich gomótek z czarnej jak ziemia mąki, kształtem przypominających nasze pączki. Mimo że zgrzytały w zębach, połknęliśmy je jak najwyborniejsze ciastka...

O tych „stalinowskich pączkach”, jak określił te gomółki nigdy nie tracący humoru Pozichowski, jechaliśmy dwie doby nie mogąc nigdzie zdobyć kawałka chleba.

W nielepszej sytuacji znajdowali się również pozostali koledzy niedoli, których prawie z każdą mijaną stacją ubywało co raz więcej z naszego wagonu. Działo się to z tego powodu, że goniąc za zdobyciem chleba, na każdym postoju któryś nie zdążył powrócić na czas do pociągu. Opóźniony musiał czekać na następny pociąg, a my tymczasem mknęliśmy dalej w bezkresną dal. Dzięki temu w końcu z czterdziestu ludzi pozostało tylko nas trzech Wołyniaków, którym wiernie towarzyszył co raz potęgujący się głód...

By zdobyć paręset gramów czarnego chleba lub kubeczek wodnistej zupy, często musieliśmy przerywać naszą podróż, wskutek czego nieraz sypialiśmy gdzieś pod płotem, oczekując następnego pociągu. Taka podróż trwała koło miesiąca, a wszędzie gdzie pytaliśmy, ile pozostało do tego dziwnego Sterli-Tamaku — odpowiadano nam:

— Niedaleko, nie ciałych tysiąca kilometrów!

Wreszcie pewnego dnia dobrnęliśmy do Czkałowa. Tu nam oświadczono, że jedziemy nie w tym kierunku do Sterli-Tamaku. Zgniewało to nas okropnie, a więc postanowiliśmy zrezygnować z dotarcia do tego miasta o takiej dziwacznej nazwie i jechać, gdzie oczy poniosą...

Błądząc po ogromnym dworcu w Czkałowie, przepełnionym tysiącami tłumami uciekinierów z Moskwy i innych zajętych lub zagrożonych przez Niemców miejscowości, natknęliśmy się na grupę Polaków. Okazało się, iż są oni z „tatiszczewskiego” transportu, jadącego gdzieś na południe Rosji. Wśród nich Pozichowski spotkał znajomego, który zaproponował, byśmy się przyłączyli do transportu.

Transport ten, pod dowództwem niejakiego kapitana Świetlika, składał się z 1200 ludzi, przeważnie byłych wojskowych oraz kobiet i dzieci. Dowódca transportu posiadał tak zwany „order” od sowieckich władz wojskowych, upoważniający do otrzymywania na „ewakuacyjnych punktach” żywienia dla transportu. Tym niemniej, jak niebawem przekonaliśmy się, sytuacja w transporcie była nie o wiele lepszą od tej, w jakiej byliśmy dotychczas. Tak samo nie co dzień dostawaliśmy kawałek chleba i czasem trochę wodnistej zupy, na którą zwykle trzeba czekać w kilometrowym ogonku dobrych kilka godzin przed jadłodajniami, „ewakpunktów.” Nadto w wagonach było straszliwe przepełnienie, okropny brud, wskutek czego niebawem nasze łachmany zarożyły się od wszy. Nie brakło również pluskiew, które nazywaliśmy „enkawudzistami”, bo tak samo, jak i enkawudziści piły naszą krew, tylko w inny sposób...

Długo nas wożono po bezkresnych przestrzeniach czerwonego rajy, często nie wiadomo dla jakich przyczyn przetrzymując po kilka dni na głodowych bezludziach stepowych. Przeważnie żywiliśmy się

surowymi burakami i barwieńnianym makuchem, którego na pewno nie zechciałaby jeść nawet świnia w Polsce. Nic zatem dziwnego, że niebawem przeszło połowa naszego transportu zapadła na dezynterię i dur brzuszny. Zanim dojechaliśmy do Południowego Kazachstanu, dokąd nas w końcu skierowano — dosłownie na każdej stacji lub przystanku, których przejechaliśmy kilkakrotnie, pozostawialiśmy kogoś z transportu na zawsze, w ten sposób beziemiennymi mogiłami znacząc nasz szlak tułaczy...

Niesamowita ta podróż skończyła się w dniu 3 grudnia 1941 roku w Takmaku nad jeziorem Kizyr-Su w Południowym Kazachstanie, graniczącym z Mongolią. Tu po dwudniowym postoju na stepowym przystanku w przenikający zimny i słotny dzień 5 grudnia pod wieczór wyrzucano nas z wagonów i na noc, przeważnie na piechotę, skierowano do różnych kołchozów, do których musieliśmy brnąć w ciemnościach przez mnóstwo rzeczułek, wypływających z jeziora Kizyr-Su. A w kołchozach tych mieliśmy oczekiwać na powołanie nas do organizującej się gdzieś w pobliżu którejś dywizji Wojska Polskiego...

Rosjanie z pewnością nas, że w Południowym Kazachstanie skończą się nasze męki i ustaną choroby, ponieważ kraj ten jest „błogosławionym” zakątkiem Rosji — nie ma w nim ani surowej zimy, ani żadnych chorób epidemicznych, a co najgłówniejsze — wszystkiego jest pod dostatkiem.

— Tam żiźń oczeń charoszaja, wsiewo mnogol — twierdzili dumnie.

Niestety, po przybyciu na miejsce, wnet przekonaliśmy się, że opowiadania te były takim samym kłamstwem, jakim jest wszystko, co głoszą komuniści i ich zwolennicy o „raju” sowieckim...

Posępne, pokryte dziką roślinnością bezkresne stepy, przerażająco

nędzne, przeważnie składające się z glinianych lepianek osiedla ludzkie, tubylcy — Dunganie i Kazachy, potomkowi hord Dżingis-Chana — bardzo dzicy i potwornie brudni, wrogo spojierający na Europejczyków, których uważają za znieprawionych komunistów — oto co znaleźliśmy w tym „błagodatnom” zakątku rajy sowieckiego...

Rozlokowano nas w rozwalonych starych szopach kołchoznych i cuchnących lepiankach bez okien i drzwi, w których spaliśmy pokotem na gołej ziemi, tuląc się do siebie, by nie zamarznąć. Na nasze nieszczęście, które przesładowało nas w tym ponurym państwie niedoli i ustawicznego strachu, jakim jest Rosja — zima w tym roku w Kazachstanie wypadła jak na złość bardzo śnieżna i mroźna, jakiej według opowiadań tubylców nie pamiętano w tym kraju.

Okoliczność tę wykorzystali enkawudziści, którzy obawiając się, byśmy nie opowiadali tubylcom prawdy o życiu za granicą — sprytnie puścili pogłoskę pomiędzy dziką, zabobonną ludność, iż srogą, niebывałą zimę przynieśli ze sobą Polacy. Wyrafinowani czerwoni oszuści znając dobrze tubylców wiedzieli, co robią, puszczając taką pogłoskę. Ciemna, przesądna ludność uwierzyła tym nikczemnym podszeptom i jeszcze bardziej wrogo ustosunkowała się względem nas, Polaków. Gdy któryś z nas zbliżył się do osiedla tubylca, chcąc wymienić jakąś szmatę na kawałek placka lub trochę mleka — szczerzo go złymi psami i odganiano kijami. Niemało również było wypadków, że znajdowaliśmy naszych braci zamordowanych na bezludziach stepowych...

W ten sposób znaleźliśmy się w znacznie gorszej sytuacji, niż w łagrach na północy. Mimo że w łagrach zmuszano nas do wykonywania nadludzkiej, katorżnej pracy na

straszliwych mrozach i śniegu po pas, ale mieliśmy watowane ubranie, baraki, w których mogliśmy palić, ile się chciało, bo drzewa nie brakło, nadto otrzymywaliśmy co dzień po kilkaset gramów chleba i gorącą, wodnistą zupę. Natomiast w Kazachstanie byliśmy prawie nędzy i bosy, a jedynym naszym pożywieniem, które wydawano nie co dzień — było 300 lub 400 gr. czarnej jak ziemia mąki z poślada jaglonego. Po opał musieliśmy chodzić daleko w step, gdzie zbieraliśmy kołące zielska, które wygrzebywaliśmy gołymi rękoma spod grubej warstwy śniegu. Wygrzebane z wielkim trudem spod śniegu zielsko nie chciało się palić, więcej wytwarzało dymu niż upragnionego ciepła. Nie sposób było zagrzać wody, by wyprać cuchnące łachmany lub należycie obmyć ciało. A o mydle tak samo marzono, jak o chlebie i kawałku tłuszczu baraniego... Pomimo iż wolny od poszukiwania opału i jakiejś bądź namiastki jedzenia czas spędzaliśmy na wstrętnym niszczeniu insektów, opadły nas wszy, które dosłownie garściami zgarnialiśmy z ciała...

Wraz z nami do Południowego Kazachstanu przywieziono również tysiące rodzin wysiedleńców polskich, przeważnie składających się ze starszych ludzi, kobiet i dzieci. Położenie ich było nie do opisania rozpaczliwe!

Obdarte, bose, straszliwie wynędzniałe dzieciaki jak głodne psięta ryły w śmietniskach, szukając łupin z ziemniaków lub jakichś innych odpadków. Zrozpaczeni rodzice, jedni opuchnięci z głodu, inni jak żywe szkielety od rana do nocy gonili po osiedlach po pożywienie dla ginących dzieci, ale jakże często powracali z próżnymi workami ciężko pokaleczeni przez psy, którymi ich szczuli dzicy tubylcy!...

Gdy zwracaliśmy się do różnych „predsiedatieli” i innych czerwonych

kacyków, padała zawsze niezmienna odpowiedź:

— Kto nie rabotajet, tot nie jest!

— Dobrze, ale ci ledwo chodzący starcy, kobiety i dzieci nie są w stanie pracować! Trzeba ich naprzód odżywić, by mogli cośkolwiek zrobić! — wołaliśmy.

— Tak pust’ podychajut! Na szto oni komu nużny? — odpowiadali cynicznie przedstawiciele „największej demokracji świata”...

Taki potworny stan wkrótce utworował drogę groźnemu gościowi, dobrze znanemu nieszczęśliwej ludności rajy sowieckiego. Przyszedł TYFUS i rozpoczął swe makabryczne, obfite żniwo!

Prymitywne szpitale kołchozów wnet przepełniły się chorymi Polakami. A gdy w tych „szpitalach” zabrakło miejsc, chorych pokotem kładziono na zgniłej słomie wprost na ziemi w rozwalonych kołchoznych szopach, po których swobodnie hulał wiatr stepowy, zasypując leżących śniegiem...

O pomocy lekarskiej nie warto nawet wspominać. Najlepszy lekarz, nie mówiąc już o konowalach kołchoznych, nie mógł nic pomoc umierającym setkami ludziom, nie mając najprymitywniejszych środków lekarskich.

Obdarte do naga ciała zmarłych składano do rozwalonych lepianek, w których nieraz po dwa tygodnie czekały nim zajędzie „arba” dungańska i dziki Dunganin rzuci skostniałe na mrozie trupy jak kłody do wielkiej arby i wywiezie je daleko w step. A na stepie, zanim zrzucił ten niesamowity ładunek do płytkich dołów, starannie wyrwał złote zęby u nieboszczyków. Gdy na wiosnę stajał śnieg, z tych niedbale wyrzuty mogiły wyzierały wyciągnięte ku niebu straszliwe ręce kościotrupów jakby wołając o pomstę za uczynioną im potworną krzywdę...

W ten sposób wiele tysięcy Polaków znalazło ukojenie po przebytych

torturach i mękach w niewoli sowieckiej na czerwonej wolności w piaskowych dołach bezkresnych stepów dzikiego Kozachstanu, gdzie śnię o utraconej Ojczyźnie, z której wyrwała ich okrutna przemoc czerwonego od krwi niewinnych ofiar, potwornego wampira!...

Kreśląc dziś te jakże pobieżne, ponure wspomnienia, nie będące nawet częściowym odtworzeniem obrazu gehenny czerwonej wolności sam się dziwię, iż jeszcze żyję, że zdołałem przetrwać te wszystkie potworności!

Kto wie, może swe życie zawdzięczaam tylko modłom przed tronem Najwyższego mej nieszczęśliwej matki, umęczonej przez czerwonych okrutników? Może to ona czuwała nade mną zza świątów, wlewając we mnie siły, gdy tygodniami żywiłem się jak jakieś zwierzę surowymi bułkami i makuchem bawełnianym lub walczyłem w malignie z tyfusem w nawianej śniegiem szopie kołchoznej?

A nieszczęśliwy, otumaniany i otaczany na każdym kroku szpiegami naród rosyjski, który obawia się nawet własnych dzieci, donoszących na rodziców, śpiewa „radośnie”:

„O, krasnaja swoboda,

Niet w mirie nicziewo krasze

tiebia!”

Jakąż okropną ironią nad potworną rzeczywistością jest ta pieśń!

Kreśląc dziś te jakże nikłe w porównaniu z koszmarną przeszłością wspomnienia — widzę przed sobą niezliczone mogiły na całej przestrzeni straszliwego czerwonego kołosa, a z mogił tych idą do mnie wołania:

— Choć jesteś tylko bezdomnym tułaczem, który nie wie, gdzie go czeka mogiła, ale za to jesteś **wolnym człowiekiem** i możesz na cały głos wołać o uczynionej nam potwornej krzywdzie. Więc wołaj — wołaj jak możesz najgłośniej o niesamowitej zgrozie czerwonej wol-

ności, przed którą niech drży cały świat!

— Niech wszyscy, których Bóg pobłogosławił wyrwaniem się z kraju, gdzie człowiek został zepchnięty do roli najpodlejszego zwierzęcia, okrutnie dręczonego przez potworów

w ludzkim ciele — ostrzegają świat przed **czerwoną wolnością**, w której straszliwych oparach nie ma miejsca dla niczego, co jest drogie i święte dla duszy i serca uczciwego człowieka.

Kadet Witold Sąchocki

ŚMIERTELNY BÓJ

(Trzecia nagroda)

Cichy grzmot wybuchów eksplodujących w dali dochodził do uszu. Raz po raz pękały bomby, szrapnele, granaty, ryjąc i waląc domy w gruz. Tam, gdzie kilka minut temu stał wspaniały, kilkupiętrowy gmach, sterczą czerwone ściany, zwały gruzu z wystającymi belkami, sprzętem domowym. Tylko gryzący pył ceglany rozwiewa się pod lekkim podmuchem sierpniowego wiatru. Już prawie miesiąc tego piekła na ziemi, tych heroicznych wysiłków, zmagania ze sto razy silniejszym wrogiem, który nie szczędzi niczego, aby zgnieść ten bastion obronny, tę twierdzę, która stała na przeszkodzie ciągnącym kolumnom wojsk pancernych, piechoty i wszelkiego sprzętu. Ciągle rzucano nowe siły, nowe oddziały, aby zniszczyć do szczeru to serce polskiego oporu — Warszawę, twierdzę w zawierusze wojennej.

Placówka na Królewskiej 16 była najdalej wysunięta ku pozycjom niemieckim. Dzięki temu załoga tej placówki nie miała spokojnej chwili. W dzień i w nocy była ciągle pod ogniem niemieckim koncentrowanym na małym blokhauzie i jego obrotach.

Niemcy próbowali wszelkich sposobów. Stosowali najrozmaitsze podstępny. Zasypywali nas gradem pocisków, aby tylko usunąć to gniazdo oporu, które stanowiło dla nich jakby żdźbło w oku z powodu doskonałego wglądu w ich teren i ciąg-

łego tamowania dalszego ataku w kierunku ul. Marszałkowskiej.

Nie była to pierwszyna dla naszych chłopców—siedzieć pod takim ogniem, gdyż byli to wybrańcy, którzy niejedno widzieli i niejedno przechodzili. Zgodzili się sami objąć ten ważny posterunek, zdając sobie doskonale sprawę z powagi tego czynu.

Wszyscy byli ze sobą zżyci i rozumieli się doskonale. Nieraz prowadzili ze sobą burzliwe dyskusje i nie okazywali na zewnątrz tego braterstwa. Jednak w razie niebezpieczeństwa jeden za drugiego skoczyłby w ogień. W stosunku do starszych rangą także nie prężyli się na baczność, nie wysyłali się na uprzejmość, paląc na przykład papierosa w rozmowie ze swoim dowódcą. On od nich zresztą tego nie wymagał, wiedział doskonale, że nie chodzi tu o grzeczność, dobrą w przedwojennych warunkach, ale o coś znacznie ważniejszego: o charakter żołnierza i jego cnoty. Na nich wszystkich mógł liczyć, że nie zawiodą go w najcięższej sytuacji, był tego pewny!

Jeden wśród nich był dziwnym typem, to ten, który niedawno przybył do ich plutonu. Nikt o nim nie wiedział i nie słyszał, a on sam o sobie nigdy nie wspominał. Nazywano go tak, jak sam chciał — „Kula”.

— Lepiej byłoby go nazywać „Mrukiem”, a nie „Kulą” — powiedział dosyć zgryźliwie „Georg”.

Jest już u nas od tygodnia, a do nikogo nie odezwał się ani słówkiem.

— A może on nie umie mówić? — żartował drugi.

— A lichy z nim — przerwał inny — grunt, że morowy chłopak. Nikomu nie wchodzi w paradę, więc i wy jemu nie wchodźcie!

A życie szło dalszym trybem, ciągle niezmiennie, a raczej z tą zmianą, że z dnia na dzień Niemcy coraz silniej atakowali.

Zaczynało brakować amunicji. To było najgorszą bolączką, gdyż bez jedzenia można było wytrzymać, ale bez naboju — nie!

Pewnego wieczoru dał się słyszeć szum motoru. Sylwetka olbrzymiego, czteromotorowego samolotu wyraźnie rysowała się w ciemności lecąc prawie nad dachami domów. Wtem z wnętrza maszyny wyleciał duży przedmiot i zawisnął w górze na białej powłoce spadochronu.

— Chłopcy, mamy zrzut — krzyknął radośnie dowódca. Przygotować się kilku po niego!

— Ja pójdę z „Georgem” — rzekł „Bohun”.

— Dobrze! Tylko wracać szybko i cało!

— Psia krew, wiatr go znosi ku Szwabom!

— Za wszelką cenę musimy mieć ten zrzut, inaczej nie wytrzymamy tu długo — zawyrokował dowódca.

Po chwili Bohun i Georg zniknęli w ciemności.

Po kilku minutach dało się słyszeć gęstą strzelaninę od strony Niemców.

— Widocznie zauważyli ich „szkopy.” Aby tylko wrócili cało...

Nastały minuty ciężkiego oczekiwania i niepewności.

Po chwili dał się słyszeć cichy szelest i do budynku wszedł „Bohun” niosąc na barkach ранego Georga.

— Co mu jest? — spytał dowódca.

— Ranny! Zdaje mi się, że dostał

w lewe płuco — odpowiedział przerywanym od zmęczenia głosem.

W rzeczy samej tak było. Z lewej strony piersi cała bluza była we krwi. Zajęto się nim, Bohun zaś składał sprawozdanie.

— Zrzut padł mniej więcej 200 m od pozycji niemieckich, ale nie dają do niego podejść, walą jak diabli. Oni też nie będą mogli go zabrać, gdyż będą pod naszym ostrzałem. Sytuacja była bardzo trudna i jak z tego wynikało, zrzut będzie leżał bezużytecznie na przedpolu. — Ha, trudno, mówi się: musimy z niego zrezygnować, gdyż nie ma sensu marnować ludzi. Co prawda, byłby on dla nas ostatnią deską ratunku, ale trudno...

— Z boku, przy oknie wpatrzony w Ogród Saski — stał Kula przysłuchując się rozmowie. Nie odezwał się ani słowem, ale dziwny wyraz zawziętości wykwił na jego młodej twarzy.

— Panie poruczniku, ja jutro tam pójde — zwrócił się do dowódcy.

— Nie, kolego, tam nie możesz pójść, ja na to nie mogę pozwolić. To równałoby się wydaniu na ciebie wyroku. Nie pójdziesz tam!

— Panie poruczniku, ja tam pójść muszę i pójde!

Zaczął prosić i przekonywać — i wreszcie uzyskał zgodę. Nazajutrz wieczorem Kula wraz z Bohunem, który uparł się koniecznie pójść z nim, wyruszyli. Jak dwa cienie zniknęli w pomroce nocnej i tylko słychać było delikatne stąpanie. Po chwili wszystko ucichło...

Nastała ciężka chwila oczekiwania.

Tymczasem Kula z Bohunem posuwali się ostrożnie naprzód. nierówny teren, pokryty pociskami, to znów kępki krzaków lub strzaskane drzewo pomagały im w posuwaniu się.

Szli w milczeniu z bronią gotową do strzału.

— Jak daleko? — spytał szepcem

Kula.

— Jeszcze z 50 m, ale tu będzie najgorzej, gdyż jest pusty plac, bez żadnej osłony.

— Będziemy musieć się czołgać — powiedział Kula.

Gdy skończył się bezpieczny teren, zaczęli się czołgać. Metr po metrze posuwali się uparcie naprzód jak dwa koty.

— Jeszcze kawałek — szepnął Bohun.

Po chwili i Kula ujrzał białą płachtę spadochronu, leżącą we wgłębieniu po pocisku.

Skoczyli jednocześnie do tego rowu. Błyskawicznie odcięli linki od spadochronu.

— Ale jak my teraz z tym pójdziemy? — zapytał Bohun.

— Czołgać się nie ma mowy — taki ciężar! Wyjść zaś tak na otwarte pole — to prawie pewna śmierć. Dziwne, że i tak do tej pory Niemcy nie strzelają, widocznie nie zauważyli.

Kula chwilę zamyslił się.

Trudno, aby tylko te 50 m czystego pola przebiec, reszta pójdzie łatwiej. Podnieśli zasobnik za rączki. Ciężki był. Wskoczyli z rowu i jak mogli najszybciej biegli w kierunku zbawczych krzaków.

Jeszcze 20 m, jeszcze 10... Naraz zaterkotał wrogo karabin maszynowy od strony Niemców. Jedna serja, druga, trzecia...

Kule zabręczały im koło uszu. Kilkoma skokami dopadli krzaków i przywarowali całym ciałem do ziemi. Teraz Niemcy rozpoczęli bezładną strzelaninę kładąc gęsty ogień po całym polu.

Kula i Bohun leżeli kilka minut nie mogąc wymówić słowa ze zmęczenia, które tamowało im oddech w piersiach.

Ruszyli znowu...

Gdy przyszli do domu, przywitano ich szalem radości.

Porucznik rozradowany i pełen

dumy podszedł do nich podając im rękę.

— Spisaliście mi się, moi chłopcy, nie spodziewałem się tego... takich rezultatów — zaczął się mylić ze wzruszenia.

W rzeczy samej zrzut był silnym „zastrzykiem” dla naszej osłabionej twierdzy. Kilka pistoletów automatycznych, sporo amunicji i kilkadziesiąt granatów. To było prawdziwe bogactwo.

W kilka dni później Kula znów się wyróżnił odwagą i zimną krwią, kiedy Niemcy rozpoczęli gwałtowny atak na ich pozycję. Rozpoczęła się gorączkowa obustronna strzelanina, tylko jeden Kula stał spokojnie przy swojej strzelnicy z przyłożonym do ramienia pe-emem.

Ani jeden strzał nie padł z jego pistoletu. Niemcy z każdą chwilą zbliżali się skokami. Już 50 m dzieliło ich od domu, a on jeszcze nie strzelał. Dopiero, gdy piechota zaczęła biec do szturm, wtedy dopiero odezwał się szybki trajkot jego pe-emu. Kilku z lecących upadło, reszta skoczyła w bok kryjąc się za murami. Jeszcze raz próbowali szturm, lecz kule obrońców, a szczególnie Kuli, który miał fenomenalny cel, odrzucały ich z powrotem. I znów atak Niemców spełził na niczym.

— Powiedz mi właściwie, Kula, gdzie ty mieszkałeś przedtem i czy masz jakąś rodzinę, bo do tej pory nikt z nas nic nie wie o tobie — zapytał go raz Bohun, który stał razem z nim na jednym posterunku. Od owej wycieczki po zrzut zaprzyjaźnili się ze sobą.

Kula uśmiechnął się.

— Wiesz, Bohun, nie lubię o tym rozmawiać, bo i cóż mogą kogoś obchodzić czyjeś prywatne sprawy, ale jeśli chcesz, to mogę opowiedzieć.

— Przed powstaniem mieszkałem na Woli przy ul. Grodzkiej. Mieliśmy swój mały domek otoczony niedużym ogródkiem. Ojciec mój

pracował w warsztatach na kolei, lecz pensja była niewystarczająca, aby wyżywić matkę, dwie siostrzyczki i mnie, więc ja rzuciłem szkołę i zacząłem pracować. Różna to była praca. Gazety sprzedawałem, innym razem papierosy, sacharynę, co wpadło pod rękę, aby tylko zdobyć trochę grosza. Matka także, jak mogła, tak pomagała, chociaż jej zdrowie nie pozwalało na większy wysiłek. Moje siostry chodziły do szkoły, gdyż były za małe, aby mogły pracować. Ciężko nam było, ale jakoś tam się żyło. Pomimo pracy zajmowałem się roznoszeniem „bibuły”. Gdy wybuchło powstanie, byłem akurat w mieście i nie mogłem się przedostać do domu, aby pożegnać się z rodzicami i siostrami. Zapisałem się do szturmówki p. por. Sławka, no a stamtąd przystali mnie tutaj.

— Dotychczas nic nie wiesz o rodzinie?

— Nic, ale może da Bóg, że się to wszystko skończy i będziemy mogli zacząć nowe życie w nowych i lepszych warunkach. Ojca mieli przenieść na maszynistę, a mama miała dostać posadę w sklepie, tak że może ja mogłbym się uczyć, bo ja bardzo lubię się uczyć.

W kilka dni później, które przeszły dziwnie spokojnie, lecz nic dobrego nie wróżyły, jak przepowiadał dowódca, zaczęło się istne piekło na ziemi. Od samego rana obrońcy byli pod gradem pocisków moździerzowych — „krów”, które swym rykiem oznajmiały wysyłanie śmiercionośnych pocisków, karabinów maszynowych, granatów. Kurz i dym gryzł w oczy tamując oddech, w uszach był ciągły szum, od którego mało bębunki nie popękały. Lewe skrzydło domu zostało zwalone przez pocisk artyleryjski, dach zaś z całego bloku został zmieciony zupełnie. Na dobitkę wszystkiego ukazały się „sztukasy”. Cztery sztuki zaczęły zataczać koła coraz niżej, niżej.

— Uwaga, chłopcy, nurkuj! — krzyknął porucznik. W tej samej chwili dał się słyszeć ryk nurkującego samolotu. Każdy wcisnął się w kąt i wtulił się w niego z zapartym oddechem.

Straszny wstrząs targnął murami domu. Za pierwszym poszły trzy następne. Dał się słyszeć trzask łamanych belek, huk spadającego muru i brunatno-siwa chmura dymu całkowicie zasłoniła widok...

Nastała śmiertelna cisza, gdyż nawet wróg jak gdyby przestraszył się i zaprzestał ognia.

Zdawać by się mogło, że to już ostateczny koniec tych dzielnych obrońców placówki, lecz... lecz oto spod stosu zwalonych belek, spod gruzu i cegieł wychodzi przez nawpół zawalone okno piwniczne jakaś postać.

Był to KULA. Po chwili i Bohun wygramolił się za nim.

— Bohun, idź i pomóż innym, którzy może są zawaleni — wydał rozkaz Kula. — Ja tymczasem będę powstrzymywał Niemców, gdyby atakowali. — Mówiąc to ukrył się za grubym zwałem muru. Po kilkunastu minutach wyszło znowu kilku chłopców oraz porucznik.

Brakuje jeszcze pięciu — rzekł porucznik. Trzeba jeszcze ich szukać, ale nie wszyscy, gdyż reszta musi obsadzić gruzy.

Dwóch zeszło znowu do piwnicy.

Tymczasem Niemcy widząc, że dom leży w gruzach, rozpoczęli atak. I znów powstrzymały ich kule tych ludzi, których śmierć, zdawało się, nie ima.

To już była walka na śmierć i życie. Gruzy teraz były nową twierdzą, a każdy zwał kamienny, każdy występ był bunkrem.

Z każdą chwilą ubywało amunicji. Ocalało trochę granatów i butelek przeciwczołgowych. Każdemu wypadło po 2 granaty i 2 butelki. Naraz dał się słyszeć ciężki warkot motoru.

— Uwaga, chłopcy, czołgi! — krzyknął porucznik.

Nie trzeba było i tego ostrzeżenia, gdyż każdy z nich wiedział, co ten hałas oznacza. Przyczaili się tylko, lepiej i mocniej przycisnęli broń. Po chwili wyjechał zza zakrętu olbrzymi „Tygrys”, ale cóż to przy nim za ludzie?! Niemcy... nie, to nie Niemcy, gdyż bez mundurów. A może to jakiś nowy podstęp? Nie, też niemożliwe, gdyż ludzie ci posuwali się naprzód, jak gdyby pchani przez stalowego potwora.

Z początku nie można było się zorientować, co to za ludzie i co oni tu robią — wystawieni na cel.

Czołg podjechał kilkanaście kroków w stronę chłopców. Siedzieli z zapartym oddechem i błyszczącymi oczyma, lecz ani jeden mięsień nie drgnął na ich twarzach, tylko mocniej ścisnęli w rękę butelki.

„Tygrys” podjeżdżał pomału do przodu. Teraz można było dokładnie rozpoznać. Ludzie byli poprzywiązywani do czołgu. Mężczyźni, kobiety, a nawet i dzieci popychani byli przez czołg coraz bliżej i bliżej ku placówce polskiej. Pomiedzy nimi i za czołgiem postępowała piechota niemiecka.

Fala krwi nabiegła do głowy naszym obrońcom, ręka zaś sama mocniej przyciskała zamek karabinu. Jedynie tylko powstrzymywali ich ci rodacy, którzy służyli za tarcze dla Niemców.

— Panie poruczniku, co robić? — spytał nerwowo jeden z chłopców.

— Czekać! Nie możemy — za żadną cenę — dopuścić do zlikwidowania naszej placówki.

Spojrzał po chłopcach. Leżeli w gruzach poza zwałami cegieł, belek, ściskając mocno swą broń. Zęby mieli zaciśnięte, oczy im błyszcząły dziwnym blaskiem. Jeden Kula leżał spokojnie nie okazując najmniejszego zdenerwowania. Na niego mógł liczyć. Jego odwaga, zimna

krew, celność dorównywały dziesięciu innym. Wiedział, że długo chłopcy nie wytrzymają nerwowo, jeszcze trochę, jeszcze kilka metrów, a wtedy... albo wyjdą z podniesionymi rękami, albo obsypią gradem kul Niemców, a wraz z nimi poprzywiązywanych Polaków. Krew mu się zmroziła na samą tę myśl i zimne krople potu wystąpiły na czoło.

— Nie możemy ich dopuścić za żadną cenę, bo tam inni na nas liczą i są spokojni, że spełnimy swój obowiązek — szepnął do siebie przez zaciśnięte zęby.

„Tygrys” podjechał znowu kilkanaście metrów. Odległość zmniejszała się powoli, lecz nieustannie. Już można było rozróżnić twarze ludzi przy czołgu.

— Nie możemy ich tu dopuścić — szepnął porucznik do chłopców.

Naraz Kula wydał okrzyk przerażenia.

Wszyscy spojrzeli w jego kierunku. Jego twarz nie zdradzająca do tej chwili najmniejszego zdenerwowania, teraz wyrażała rozpacz.

— Co ci jest? — spytał porucznik, leżący kilka metrów od niego.

— Tam... tam są moi rodzice... i dwie siostry — mówił zduszonym, urywanym głosem.

Wstrząs przeszedł po jego ciele i cichy szloch wyrwał się z jego piersi.

— Oni tam zginą, oni tam zginą! — wyrzucał słowa przerywane łkaniem.

„Tygrys” zbliżył się znowu i odległość zmniejszyła się do 50 m. Naraz zaterkorał karabin maszynowy z wieżycki czołgu. Kule z brzęczeniem przeleciały ponad głowami.

Ta-ta-ta-ta... nowa seria gruchnęła w stronę obrońców.

Strzały te podziały na Kulę, jak gdyby został przed chwilą obudzony z głębokiego snu. Spojrzał dziwnym wzrokiem na stojący opodal czołg, przetarł oczy i... przytuliwszy do ramienia swój pe-em zaczął strzelać w stronę czołgu, w stojących

ludzi na około niego.

Siekł ze swego pistoletu nie zważając na nikogo.

Spojrzeli ku niemu.

Takie rysy twarzy można tylko zobaczyć u człowieka, który postradał zmysły lub fanatyka. Dolna szczęka mocno zaciśnięta, twarz blada jak u trupa, w oczach błyszcząły łzy.

— Nie dojdziecie tu wy, wy, Szwaby... Za wszystkich i za mnie też! — syczał Kula przez zaciśnięte zęby. Jeszcze raz i jeszcze raz posyłał serię za serią.

Ludzie stojący koło czołgu zaczęli krzyżeć, płakać, rwać się do ucieczki, powstrzymywały ich liny. Już kilka ciał leżało na ziemi brocząc krwią.

Ta-ta-ta-ta — rozległa się teraz obustronna strzelanina. Jeszcze kilka osób stało, lecz serie z pe-emu Kuli położyły i tych ludzi.

— Oni tu nie dojdą. Ja na to nie pozwolę! Ha, ha, ha — zaczął się śmiać histerycznym śmiechem.

— Tam moi rodzice, ja ich zabiłem, jestem mordercą!!!

Nim zorientowano się, wyskoczył z ukrycia z dwiema butelkami benzynewymi i granatami za pasem i zaczął biec w stronę czołgu.

— Kula, stój!!! Co robisz, szaleńcze? — krzyknął za nim porucznik.

On zaśmiał się histerycznie pełnym bólu głosem.

Pryskoczył do czołgu. Rzucił jedną butelkę... drugą.

Buchnął płomień z boku „Tygrysa”.

Kula wskoczył na niego z drugiej strony i odepchnięwszy granat wrzucił go do wnętrza przez otwór lufy armatniej.

Wszystkim siedzącym w gruzach zaparło oddech.

— Kula, uciekaj! — krzyknął porucznik. Lecz on stał nadal na stalowym potworze, niby myśliwy, który stawia nogę na upolowanej zwierzynie.

TO NIE KLUCZ — TO WYTRYCH...

Propagandzie niemieckiej i współpracującym z nią różnym pięknoduchom udało się wmówić w świat, iż Niemcy są kluczem sytuacji europejskiej, a co za tym idzie — i światowej. Na ten lep dało się wziąć również — niestety — trochę Polaków. Propagandzie tej towarzyszy — tak jak po pierwszej wojnie światowej — zorganizowana przez Niemców wielka kampania litości, dotycząca zwłaszcza ginących rzekomo z głodu i nędzy niemieckich dzieci. Ale tak, jak po tamtej wojnie światowej, z tych biednych i wynędzniałych dzieci niemieckich wyrasty zdrowe i wypasione S.S.-many, które swym anglosaskim dobroczyńcom i całemu światu urządziły piekło na ziemi — tak i dzisiaj światu grozi to samo, jeśli państwa anglosaskie będą i obecnie starać się pozyskać dla siebie Niemców kosztem swych naturalnych sojuszników.

To nie Niemcy są kluczem sytuacji światowej. Ten klucz może być bardzo łatwo w rękę mocarstw anglosaskich, a znajduje się on w Polsce i na obszarach Międzymorza. Jeśli mocarstwa te zdobędą się nareszcie na jasną i zdecydowaną politykę wobec Niemiec, opartą na doświadczeniach obu wojen światowych,

Naraz okropny wstrząs targnął powietrzem i długa lufa „Tygrysa” wyleciała w powietrze, cały zaś czołg pochylił się na bok i z ciężkim uderzeniem zwałił się na ziemię. Kłęby ognia zaczęły wybuchać z wnętrza, a jednocześnie Kula został zgnieciony przez ciężar „Tygrysa”... Zapanował spokój, tylko kłęby czarnego, gęstego dymu przysłaniały słońce, które chowało się na horyzoncie. Wkoło czołgu leżały ciała Polaków i Niemców.

• • •

I tak bywało, że Polak musiał strzelać do Polaka, brat do brata, a nawet syn do rodziców, gdy szło o sprawę Polski, o zabezpieczenie swym kolegom drogi do zwycięstwa, do odzyskania Polski Wielkiej, Wolnej i Niepodległej.

towych, istotnej znajomości duszy niemieckiej i niezmiennych praw, rządzących europejskim kontynentem — na świat spłynie nareszcie prawdziwy spokój. Albowiem tzw. problem niemiecki jest niesłychanie prosty w swej istocie i treści.

O co tu idzie? Idzie o zniszczenie potęgi niemieckiej. Nikt rozsądny na świecie nie pragnie wyniszczyć **narodu niemieckiego** metodami, stosowanymi przez Niemcy wobec swych przeciwników. Nikt też nie chce odebrać Niemcom i ich dzieciom chleba i normalnych ludzkich praw. Natomiast trzeba zastosować skuteczne sposoby, aby **państwu niemieckiemu** odebrać siłę, aby je militarnie obezwładnić, aby Niemcy same czy w sowieckim konkubinacie — nie mogły być w przyszłości groźbą dla świata i jego pokoju. Lecz cel ten nie może być osiągnięty przez papierowe decyzje i prawne przepisy. I nie przez ubieganie się o względy Niemiec. Tak jak nie można było po zakończeniu militarnych działań obecnej wojny współpracować z Sowietami przeciwko Sowietom, tak samo nie można walczyć przeciwko odrodzeniu militarnej i politycznej potęgi niemieckiej przy pomocy Niemców. W jednym i drugim wypadku jest to kwadratura koła.

Jakie są zasadnicze elementy potęgi niemieckiej? Trzy: zrabowane przez Niemcy terytoria, w pierwszym rzędzie polskie, niemiecki sztab generalny i współpracujący z nim ciężki przemysł niemiecki. Trzeba więc zniszczyć te podstawy siły i groźby niemieckiej. Nie uczynił tego traktat wersalski. Dziś usiłuje się popełnić te same błędy. Jest to tym groźniejsze, że obecna sytuacja międzynarodowa jest bardziej niebezpieczna i skomplikowana, aniżeli po pierwszej wojnie światowej. Niemcy, na skutek błędów i wahań Anglosasów oraz zdecydowanej, chytrej i podstępnej polityki sowieckiej, stały się — zaledwie w rok po zakończeniu działań wojennych — przedmiotem licytacji wielkich mocarstw. Utwierdza to Niemcy w przekonaniu, że wojna im się opłaca. Prędzej czy później skorzystają one z tego wyścigu licytacyjnego. Marzą wciąż o przyjsciu nowego wodza, który ich powiedzie do nowych zwycięstw i podbojów. Przeciwników

Hitlera nie ma właściwie w narodzie niemieckim. W miarę zwiększania wysiłków przez wielkie mocarstwa, zmierzających do pozyskania sobie Niemców — będą się oni stawać coraz bardziej bezczelni i zuchwali. Wszelkie zaś próby Anglosasów, by nauczyć Niemców zachodniej demokracji, mogą się zakończyć tym, iż reedukację pobitych militarne Niemców będzie w dalszym ciągu przeprowadzał pruski oficer, tym razem pod komendą sowiecką.

W tym stanie rzeczy staje z powrotem przed światem nie tylko możliwość odrodzenia potęgi niemieckiej, lecz — co gorsza — widmo współpracy sowiecko-niemieckiej pod batutą Kremla. Jasne bowiem jest, iż Anglosasi nie będą w stanie przelicytować Sowietów w ich staraniach o względy Niemców. Tak oto się mści pierwotny grzech przeciw Europie, popełniony w Teheranie, Jałcie i Poczdamie.

Jesteśmy obecnie świadkami jednego z największych i najbardziej potwornych paradoksów tej wojny: oto usiłuje się ratować Europę przez próbę zniszczenia z górą 140 milionów prawdziwych Europejczyków. Polska i narody Międzymorza są Europejczykami i pragną nimi pozostać. Lecz opuszczono je i zdradzono w Jałcie. Niemcy zaś, którzy tylko z racji swego geopolitycznego położenia są z nazwy Europejczykami — nie chcą nimi w istocie być. Oni jednak mają być jednym z głównych fundamentów gmachu pokoju w Europie. Do takich wniosków prowadzi analiza znanych i głośnych przemówień wygłoszonych przez nim. Byrnesa i W. Churchilla.

Oczywiście, i te próby, nie mające nic wspólnego z istniejącą rzeczywistością polityczną, spalą na panewce. Należy przypuszczać, że tak wielki mąż stanu i realista, jakim jest Churchill, zdaje sobie z tego sprawę. Nie można przecież być tak kiepskim architektem, aby budować gmach zjednoczonych stanów Europy od dachu, a nie od fundamentów. Fundamentem Europy są jej narody. Fundament ten będzie tylko wówczas trwał, gdy wszystkie narody Europy będą wolne i w pełni niepodległe, inaczej — na skutek braku równowagi — cały gmach się zawali i pogrzebie pod swymi gruzami jego

twórców. Churchill o tym wie. Toteż jego szwajcarskie przemówienie traktować raczej należy jako piękne, sennie marzenie na tle uroczego krajobrazu szwajcarskiego, przepojone melancholią przeżywanego obecnie przez świat tragizmu. W istocie rzeczy Churchill jak gdyby godził się już na istniejący podział Europy i idzie mu raczej o montowanie zachodniej Europy w obliczu nadchodzących wydarzeń.

Jeśli idzie o Niemcy, b. premier brytyjski wypowiada się zdecydowanie przeciw odrodzeniu potęgi niemieckiej, niemniej jednak dodaje—o czym mówi i min. Byrnes — że „odpłata” musi mieć swoje granice, a Niemcy winny mieć udział w odródnieniu Europy. Jako pierwszy krok do budowy gmachu wspólnoty europejskiej uważa Churchill współpracę—jak się wyraża — „wielkiej duchem Francji i duchowo wielkich Niemiec.”

Czy Niemcom wystarczy tylko ich „duchowa” wielkość, czy nie będą one dążyły również do materialnej wielkości — o tym genialny mąż stanu dyskretnie milczy. Nie wiemy również z przemówienia Churchilla, czy Francja zadowolona się potęgą i wielkością swej kultury i czy nie będzie ona szukała realnych gwarancji, jeśli idzie o jej bezpieczeństwo i przyszłą europejską współpracę — w przyłączeniu Zagłębia Saary do Francji, w demilitaryzowaniu Nadrenii i trwałej kontroli nad ciężkim przemysłem niemieckim w Zagłębiu Ruhry. Swe wspaniałe pod względem oratorskim przemówienie kończy b. premier słowami: „Mówię wam, niech powstanie Europa!”

Ale Europa — chce powstać. I to cała, nie tylko jej część, na co się z rezygnacją godzi Churchill. Tylko tej Europie trzeba pomóc. Pomóc realnymi czynami, a nie pięknymi, pustobrzmiącymi słowami. Europie bowiem jest obojętne, czy ją ktoś uduśi kwiatami, czy wisielczym powrozem. Z żalem i współczuciem czytamy słowa Churchilla. Zdajemy sobie bowiem sprawę z przeżywanego przez niego dzisiaj męki duchowej. Lecz do tej męki on sam, świetny przecieź znawca komunistycznego niebezpieczeństwa — znakomicie się przyczynił. Co prawda, uczynił to pod presją Roosevelta, który ponosi główną winę za dzisiejszy los Europy.

Usiłuje się więc dzisiaj ratować Europę przy pomocy jej wrogów, a nie jej naturalnych sprzymierzeńców. Musiało do tego dojść. Europa, a z nią cały świat muszą i tę Golgotę przebyć, by nareszcie wstąpić w bliskiej, jak sądzimy, przyszłości na prawdziwą i jedyną drogę odrodzenia. Gdy się dobrowolnie zrezygnowało z pomocy Polski, pierwszego i naturalnego sojusznika, gdy się opuściło wierną Jugosławię, gdy wydaje się na łup Sowiecom całe Międzymorze — to traci się pierwszy i najważniejszy wał obronny przeciwko Sowiecom, przeciwko nowemu Rapallu.

Podjęto z kolei drugą próbę ratowania Europy, usiłując wciągnąć Francję i Włochy w zachodni system obronny. Ale i ta próba zawodzi na skutek błędów i niezdecydowania Anglosasów. Popełniają oni ten zasadniczy błąd, i to wszędzie, że za pomocą spraw gospodarczych chcą ratować sytuację polityczną. A przeciw sprawy gospodarcze są jedno funkcją polityki. Cóż z tego, że Stany Zjednoczone udzielają dużej pożyczki Francji, na coś się przyda zawarcie najlepszego nawet traktatu handlowego między W. Brytanią a Francją, jeśli oba mocarstwa anglosaskie nie chcą zabezpieczyć politycznych, żywotnych interesów Francji. Zabezpieczyłyby one przecieź w ten sposób i siebie samych przed przyszłą agresją sowiecką. Na coś się przyda zapowiadana pomoc finansowo-gospodarcza Włochom, jeśli równocześnie osłabia się politycznie Włochy przez zły traktat pokojowy z nimi. Nie mogą więc Francja i Włochy być entuzjastami takiego statutu Europy.

Siłą więc rzeczy państwa anglosaskie, tracąc dobrowolnie wszystkich naturalnych sprzymierzeńców — musiały się zwrócić do Niemiec o pomoc w walce przeciwko Niemcom, przeciwko współpracy niemiecko-sowieckiej. Lecz ten tragiczny a karykaturalny obraz dzisiejszej europejskiej rzeczywistości nabiera pełnego wyrazu dopiero w zestawieniu z polskim problemem.

Idzie tu o nasze zachodnie granice, zaczepione w przemówieniu min. Byrnesa. Jest to dla nas jedna z najważniejszych spraw. Nie tylko zresztą dla nas. Dla całej Europy. Odbudowa wielkiej i niepodległej Polski była jednym z głównych celów tej wojny. Celów strategicznych i

politycznych. Granica polsko-niemiecka jest jednym z najważniejszych elementów pokoju i wolności całej Europy. Na tej granicy, na tych ziemiach rozstrzygają się losy nie tylko Polski i Niemiec. Rozstrzyga się los nie tylko środkowo-wschodniej Europy. Rozstrzygają się losy podboju Europy, a więc i świata. Każdy bowiem napastnik — usiłujący podbić Europę i świat — musi mieć w swym ręku obszary i bogactwa Międzymorza. Nie będzie ich posiadał, jeśli granica polsko-niemiecka zapewni Polsce siłę i możliwość obrony. Obrony własnej, a tym samym obrony ludów Międzymorza.

O cóż prowadzono tę wojnę? Czy tylko o to, aby zniszczyć Hitlera? Nie. Wojna toczyła się i toczy się nadal, aby zniszczyć zaborczość niemiecką. Nie tylko niemiecką. **Każdą** zaborczość. Stalin, tak samo jak Hitler, idąc na podbój Europy i świata, poświęcił przede wszystkim swą uwagę i wysiłki w opanowanie Polski i ludów Międzymorza. Pozostawienie większości zachodnich ziem Polski przy Niemczech po pierwszej wojnie światowej — wywołało drugą wojnę światową. Pozostawienie dzisiaj tych ziem bądź przy Niemczech, bądź przy Sowieciech — nawet w najbardziej zakamufloowanej formie — będzie nowym rozbiorem Polski i wywoła trzecią wojnę światową.

Sowiety dążą świadomie i podstępnie do nowego Polski rozbioru. Jest to tylko z ich strony kwestią czasu. Sowiety zabrały już pożyczkę Niemiec. W ich interesie leży, aby mieć na swym terytorium Niemców zadowolonych i związanych ze sobą. W tym też celu, ażeby ich sobie całkowicie podporządkować — Sowiety oddadzą im z powrotem ziemie, przyznane Polsce „czasowo” w Poczdamie, gdy tego ówczesna taktyka sowiecka wymagała. Sowiety uczynią to z lekkim sercem, ziemie te bowiem przyznają właściwie samym sobie. Oczywiście, zatrzymają dla siebie część Prus wschodnich z Królewcem, z czym zresztą Niemcy pozornie się godzą. Polityka sowiecka jest jasna: przygotowuje się ona do rozstrzygającej walki o opanowanie Europy i świata. W walce tej woli mieć silne Niemcy, przynajmniej w swej strefie okupacyjnej — po swojej stronie, a nie silną Polskę. Sowiety wiedzą, że Niemców mogą do siebie przywią-

zać, a Polaków — nigdy. Jeśli więc idzie o Sowiety — nie mamy tutaj żadnych złudzeń.

Natomiast jest rzeczą wprost zdumiewającą, dlaczego min. Byrnes w swym przemówieniu w Stuttgarcie oddaje tak fatalną przysługę nie tylko nam, pierwszemu aliantowi, lecz całej Europie i jej przyszłości. Mowa ta zawiera przede wszystkim szereg poważnych błędów i nieścisłości historycznych.

Gdy bowiem min. Byrnes oświadcza, iż „w wyniku umowy w Jałcie Polska odstąpiła Sowiecom ziemie na wschód od linii Cursona” — to jest to niezgodne z prawdą. To nie Polska, lecz Stany Zjednoczone i W. Brytania odstąpiły nasze ziemie wschodnie Sowiecom bez naszej wiedzy, zgody i woli. Ani Rząd, ani Naród Polski nigdy się na to nie zgodził. Dalej — mówiąc, iż z tego powodu Polska żądała rewizji swych północnych granic — min. Byrnes popełnia drugi błąd. Wbrew bowiem jego oświadczeniu — Polska nie żądała i nie żąda rewizji swych granic na zachodzie i północy kosztem utraty naszych wschodnich ziem. Nie handlujemy ziemią ojczystą. Nie jesteśmy przenośnym domem na kółkach. Nie mamy na wschodzie nic do odstąpienia, a ziemie zachodnie słusznie nam się należą.

Poza tym min. Byrnes nie wspominał ani słowem o tym, że naród polski nie jest obecnie niepodległy — i to z powodu obecności w Polsce sowieckich wojsk, NKWD i olbrzymiej sfery sowieckich szpiclów. Min. Byrnes staje raz jeszcze na gruncie nieszczęsnych uchwał poczdamskich, zamiast dążyć do ich rewizji, zgodnie z zasadami międzynarodowej sprawiedliwości, międzynarodowego prawa oraz zgodnie z rzeczywistymi interesami Europy i mocarstw anglosaskich. Powołując się na te uchwały, a probuje już z góry, nie czekając na przyszłą konferencję pokojową, odstąpienie Sowiecom części Prus Wschodnich z Królewcem. Natomiast, jeśli idzie o rewizję naszych granic zachodnio-północnych, to min. Byrnes oświadcza, iż Stany Zjednoczone popierać będą tę rewizję w sensie dla Polski korzystnym, ale wielkość terenów, które mają być Polsce odstąpione — określi dopiero przyszły traktat pokojowy.

Mimo woli ciśnie się tutaj na usta pytanie, czy na tej przyszłej konferencji pokojowej Sowiety będą mia-

ły prawo weta i czy ono będzie obowiązujące? Wystąpieniem swym min. Byrnes oddał złą przysługę i Europie, i swej ojczyźnie. Jeśli idzie o nas — Polaków — to umiemy patrzeć ponad głowami min. Byrnesa i innych krótkowzrocznych polityków amerykańskich. Wystąpienie min. Byrnesa nie zmniejszy naszego szacunku dla narodu amerykańskiego ani wiary w jego uczciwość i rzetelność, w jego umiłowanie wolności dla siebie i dla całego świata. Wierzmy w to, iż zdrowy instynkt narodu amerykańskiego wskaże mu właściwą linię politycznego działania. Nie damy się też w niczym odwieść od naszej nierozwalnej więzi z Zachodem, do czego dążą stalinowskie gomółki.

Jeśli zaś idzie o nasze granice zachodnie, to cały Naród Polski jest tutaj solidarny. Wszyscy Polacy, bez względu na swe polityczne przekonania, bronią i bronić będą tej linii Odry i Nissy, która nas dzisiaj oddziela od sowieckiej okupacji w Niemczech. Wszyscy Polacy bronić będą wybrzeża Bałtyku od Szczecina do Królewca. O tym świat musi wiedzieć, a uświadamianie międzynarodowej opinii w tym względzie jest kardynalnym obowiązkiem każdego uczciwego Polaka.

Naród Polski, który położył największe ofiary dla wspólnego nad Niemcami zwycięstwa — nie może być gorzej potraktowany przez

swych sojuszników, aniżeli nasi wspólni wrogowie. Przekreślenie jednego z głównych celów tej wojny, tj. odbudowy wielkiej i niepodległej Polski oddaje w niewolę sowiecką lub sowiecko-niemiecką nie tylko Polskę i całe Międzymorze — lecz niszczy również Europę zachodnią i to rękami nieopatrnych, krótkowzrocznych polityków Zachodu. Godząc się na oddanie połowy Europy Stalinowi i urządzając drugą jej część przy pomocy Niemiec — niszczy się równowagę sił w Europie. Ta równowaga zaś jest niezbędnym warunkiem bezpieczeństwa nie tylko W. Brytanii, lecz również i Stanów Zjednoczonych.

Teheran, Moskwa, Jałta i Poczdam nie są kluczem obecnej sytuacji. Już Churchill zapoczątkował likwidację uchwał jałtańskich, zajmując wbrew nim Niemcy aż po Hamburg, Bremę i Lubekę. Nie mamy mu tego za złe. Wręcz naodwrot. Lecz w takim razie należy zniszczyć wszystkie nikczemne uchwały, a nie tylko ich jeden fragment. Wówczas odnajdzie się właściwy klucz sytuacji. Nie znajduje się on ani w Niemczech, ani w Sowieciech, tylko w Polsce i wśród ludów Międzymorza. To jest ta prawdziwa różnica czarodziejska, o której mówi genialny Churchill.

Niemcy nie są kluczem sytuacji. Są jej wytrychem. Wytrychem w ręku Stalina.

Jan Walewski

BEZPRAWIE CZY JEGO LEGALIZACJA?

I

Zgodnie z dotychczas obowiązującą doktryną i praktyką życia — są dwa źródła władzy:

1. Bóg, czyli władza pochodzi od Boga (Dei gratia).

2. Naród jako najwyższy nosiciel suwerenności (populi gratia).

Innych źródeł władzy ani prawa wewnętrzne poszczególnych państw, ani zwyczaje i prawo międzynarodowe do roku 1939 nie uznawały.

II

Na wszystkich uniwersytetach świata, pod każdą szerokością i długością geograficzną kuli ziemskiej uczono, że podstawą i warunkiem istnienia państwa jest obszar, ludność i władza.

Wielkość obszaru i liczba ludno-

ści zależała od zasięgu władzy sprawowanej Dei gratia lub z woli narodu (ludności państwa).

Zasada, że są tylko te, wyżej wymienione, dwa źródła władzy, nie była przez nikogo kwestionowana. Przeciwnie. Jednym z głównych zarzutów przeciwko tzw. ustrojom totalnym było stwierdzanie nie tylko niedemokratyczności takiego ustroju, ale opieranie władzy na przemoc (policja) wbrew woli ludności.

Doktryna odpowiadała stanom faktycznym i odwrotnie — tak w życiu wewnętrznym państw, jak w życiu między narodami.

III

Jak długo zasada, że władza pochodzi od Boga, była powszechnie uznawana, można było — i wypad-

ki te były dość liczne—narzucić ludności jakiegoś państwa osobę czy osoby jako władców Dei gratia. Niemniej — uznawanie czy nieuznawanie takiej narzuconej władzy „z łaski Bożej” zależało przede wszystkim od ustosunkowania się ludności do głowy państwa czy władzy. W stosunkach wewnętrznych nawet głowa Dei gratia szukać musiała swoich zwolenników wśród ludności, a gdy stała za nią zbyt szczupła garstka ludności, uznawana była za uzurpatorską.

Tak więc władza Dei gratia już sama w sobie zawiera wolę ludności, gdyż ludność ta musi uznać, że władza rzeczywiście od Boga pochodzi.

Od czasu rewolucji francuskiej konieczność wyrażenia woli narodu została podniesiona w doktrynie i praktyce życia do godności zasady ogólnie obowiązującej, uznawanej i wyznawanej przez wszystkie narody europejskiej cywilizacji.

IV

W pojęciach o nierozdzielalnym związku między władzą a narodem został wychowany cały świat prawniczy pięciu kontynentów świata.

Wystarczy sięgnąć po jakikolwiek podręcznik, skrypt, rozprawę czy książkę z tej dziedziny prawa międzynarodowego, by powyższe stwierdzić.

W stosunkach międzynarodowych władza oparta na woli narodu czy uznana przez naród była faktyczną i prawną nosicielką suwerenności zorganizowanej w państwo społeczności ludzkiej, jeżeli zaś jakiś zespół państwa nie miał, reprezentowali go ci, którzy mandat tej reprezentacji opierali na woli swego zespołu.

(Wiemy, jak „wodzowie” ustrojów totalnych zabiegali o stworzenie choćby pozorów woli narodu).

Przeciwno tej zasadzie powszechnie uznawanej nie ośmielił się nikt występować. **Na straży bowiem tej zasady stało prawo.** Prawo to — niezależnie od pisanego — było uznawane jeszcze w chwili ogłoszenia karty atlantyckiej, która tak co do terytorium, jak i władzy — uznaje za wyłączne źródło decyzji wolę narodu.

V

Zdarzało się w historii dyplomacji, że wolę narodu uzyskiwano siłą (*quamquam coactus, tamen voluit*).

Miało to miejsce na przykład przy rozbiorach Polski, w czasie kongresu wiedeńskiego, w decyzjach świętego przymierza, w czasie kongresu berlińskiego, tym niemniej nie ośmielono się przejść nad samą zasadą do porządku dziennego, szukając choćby pozorów jej mocy obowiązującej i nienaruszalności.

Źródłem władzy i decyzji dotyczących państwa pozostał naród, w którym tkwiła suwerenność.

VI

Dopiero w czasie narad „wielkiej trójki” zasada ta została w zupełności odrzucona.

Zasada, że naród jest źródłem władzy, czy też że władza pochodzi od Boga (Japonia) lub od narodu, została jednak nadal w doktrynie, pozostała w tysiącach prac, pozostała i pozostaje w ciągu dalszym przedmiotem nauki na wszystkich uczelniach. Głoszą o niej wszystkie katedry przygotowujące świat prawniczy do służby prawu dla ludzkości, służby uważanej za jedną z największych zdobyczy naszej cywilizacji.

VII

Dura lex sed lex, mówi stara zasada społeczeństw rządzących się prawem, a zatem tych, które rozumieją, czym jest prawo dla ludzkości.

Skoro zatem przyjęto w stosunkach między narodami zasadę nową, skoro tworzy się na jej podstawie nowe stany faktyczne, już nie uczciwość, ale prosty rozum i wyrachowanie wymaga, by ten stan faktyczny ulegalizować.

Niestety, uniwersytety i prawnicy uczeni międzynarodowi milczą na ten temat. Świat nauki prawa nie wypowiada się i zdobytych pozycji nie broni. Nie piętnuje bezprawia i nie wykazuje pogwałcenia ustalonych, przyjętych i uznawanych podstaw prawnych współżycia narodów i państw.

Tysiące ton papieru zużywa się na opracowywanie i wywody o przyszłej organizacji świata (nie dostrzegając (czy też nie chcąc dostrzec), że przybył nowy element, element decydujący dla struktury organizacji międzynarodowej, jakim jest bezsprzecznie nieuznawanie suwerennych równych praw wszystkich narodów i ich woli).

Stan ten *ex lex* istnieje w szczególności na obszarach tzw. sfery wpływów Związku Sowieckiego.

VIII

Jest zadaniem prawa każde zjawisko ujmować w normy prawne, gdyż inaczej wrócimy do prawa dżungli, do ponownego zapanowania jedynie i wyłącznie przemocy, do panowania brutalnej siły fizycznej.

Należy więc ująć obecny stan rzeczy w normy prawne i **zalegalizować** stosowaną teraz wobec świata **zasadę rządów siłą**. Jeżeli nie będzie to powrotem do osiągnięć człowieka w tej dziedzinie, to przynajmniej koniecznym hołdem złożonym nocie przez zbrodniarzy (H. Sienkiewicz).

Zalegalizowaniem zaś będzie w omawianym wypadku wprowadzenie do nauki o państwie i do obowiązujących norm prawa międzynarodowego zasady, że obok władzy z łaski Bożej i z woli narodu istnieje nowe źródło władzy, którym jest przemoc i wola obcych.

Jest rzeczą prawników, tak jak to miało miejsce w czasie i po rewolucji francuskiej, znaleźć i uzasadnić, że to źródło władzy jest tak obowiązujące dla narodów, jak inne, i że władza z niego się wywodząca jest władzą tak samo legalną, jak władza Dei gratia czy populi gratia.

Byłoby też rzeczą świata prawniczego dobrać takie i tego rodzaju argumenty, by przekonały narody wychowane w innych pojęciach, o słuszności i godziwości istnienia źródła władzy w woli obcych opartej na sile.

Inaczej grozi światu bądź niechybny powrót do stanu z czasów barbarzyństwa (które o tyle górowało nad obecnym, że prawo przemocy było powszechnie obowiązujące), bądź też gwałtowne i nieprzewidziane w skutkach następstwa reakcji na tolerowany przez wielkie mocarstwa stan bezprawia, w wyniku dwoistości etyki. Jednej dla siebie i w stosunkach między silnymi, drugiej w stosunkach międzynarodowych i w odniesieniu do słabszych.

IX

Ponieważ Polska i jej sąsiedzi z północy i południa nie tylko teoretycznie, ale i praktycznie są ofiarami panującego obecnie w stosunkach między narodami *lex*, należało by, aby te właśnie państwa wystąpiły do prawników i uczonych całego świata z inicjatywą rozważenia, opracowania i wykazania światu, że źródło władzy, jakie tkwi w woli i przemo-

ŻOŁNIERZ—OBYWATEL

Nasze siły zbrojne są wojskiem o specyficznym obliczu.

Pozbawione oparcia o terytorium i bezpośredniego kontaktu z całością Narodu — znajduje się to wojsko w trudnym położeniu, nie osiągnęło bowiem ani zwycięstwa, ani celów wojennych swego państwa — choć biło się wspaniale. Posiada wszystkie walory doskonałego instrumentu bojowego, a ma ulec likwidacji. Było szkolone dla celów walki zbrojnej, otrzymuje obecnie zadania, których nigdy żadne inne wojsko spełniać nie miało. Jest wystawione w ramach wojny nerwów na ataki ze strony jednej z największych potęg świata — a zachowuje spoiwość wewnętrzną i dobrą postawę zewnętrzną. Po zakończeniu działań wojennych, gdy wszyscy inni święcili zwycięstwo i osiągnęli wreszcie okres wypoczynku i odprężenia — to wojsko musiało stać z bronią, gotową do strzału, utrwalając jednocześnie i rozszerzając swoje wiadomości wojskowe, aby pozostać jak najbardziej sprawnym i wartościowym organizmem. Pilnowało swojej gotowości do walki, którą uważało za nieskończoną jeszcze.

Decyzja demobilizacji jest momentem zwrotnym. Zmienia całkowicie taktykę i metody działania. Wojsko nie może w obecnym położeniu walczyć zbrojnie i nikt nie jest w stanie przewidzieć, kiedy taka możliwość nastąpi. Natomiast — nie można przerywać działań ani z niego rezygnować. Nowe okoliczności zmuszają żołnierzy wojska polskiego, którzy nie rezygnują z działania, aby jako wychodźcy polityczni prowadzili akcję polityczną wśród wolnych narocy obcych, narzucających ludności rządy z zewnątrz i rozporządzające ich terytoriami, jest potrzebne i korzystne dla utrzymania i ustabilizowania pokoju, tak bardzo upragnionego przez umęczoną ludzkość.

Jeżeli uczeni prawnicy tego uczyń nic nie chcą, czy nie mogą, jest ich obowiązkiem stwierdzać *ex cathedra*, że stan obecny sprzeciwia się prawu i dobrym obyczajom, tak by miliony młodych ludzi, studiujących prawo na wszystkich uniwersytetach świata, mogły szukać przyczyn zakłamania w życiu międzynarodowym.

Dr W.J.Z.

dów świata. By była ona skuteczna, polskie wychodźstwo polityczne musi stać się niezależnym gospodarzem i zorganizowanym na zdrowych zasadach demokratycznych społeczeństwem. Są to zadania natury cywilnej i wymagają cywilnych metod.

W czasie, kiedy siły zbrojne stanowią realną siłę wojskową i argument polityczny — konieczność jak największego wysiłku, dla zachowania ich spoiwości i nienagannego działania ich komórek oraz atmosfery bezwzględnej dyscypliny, była poza dyskusją. Każdy żołnierz rozumiał bardzo dobrze rozkazy i postępowanie swoich przełożonych zmierzające do tego. Często rezygnował więc z odpoczynku, dużym wysiłkiem zmęczonej już tyloletnią służbą psychiki trzymał się w korbach, opanowywał się i trwał. Był już jednak bardzo zmęczony. Widok jadących tłumnie do domów Anglosasów, ich powrót do normalnych zajęć i normalnego życia budził w żołnierzu polskim, mimo wszystkich kantyn — tęsknotę za własnym domem; mimo wszelkich kursów zawodowych — potrzebę zwyczajnej, konstruktywnej pracy.

Siedem lat nieprzerwanej i ciężkiej służby wojskowej miały dla żołnierza, prócz psychicznego i fizycznego przemęczenia, jeszcze jeden groźny skutek. Dzień powszedni spędzał on w walce lub służbie, ale przebywał w ustalonych warunkach, bez troski o podstawy i poziom swego materialnego bytu. Nie miał potrzeby kierowania sobą, nic nie zmuszało go do decyzji, która należała do dowódcy. Oprócz życia lub zdrowia, które poświęcał żołnierz walce — poświęcał on także nieodłącznej od walki dyscyplinie wojskowej swoją wolność osobistą, poczucie odpowiedzialności i możliwość wpływania samemu na swoje położenie. Dzisiaj oprócz zmarnowania jego zbrojnego wysiłku, prócz goryczy złożenia broni i zwinięcia sztandarów, prócz zamknięcia przed nim drogi do Kraju — żołnierzowi polskiemu nie oszczędzono niepewności losu i troski o byt. Żołnierz ma stoczyć bitwę cywilną o Polskę i o siebie samego, nie będąc do niej psychicznie gotowym.

Żołnierz jest w zupełności świadomy odmienności nowych zadań i

braku swego przygotowania. Toteż chwytą każdą okazję, aby to przygotowanie osiągnąć. Korzysta ze szkolenia fachowego, jakie urzędza wojsko, stara się zdobyć jak najwięcej wiadomości o krajach, do których może przyjdzie mu się udać, myśli o przyszłości, o swych obowiązkach rodzinnych i o zadaniach na jutro. Jest tymi problemami zaniepokojony i przejęty. Są to dziś rzeczy najważniejsze. Sprawy dotychczas obce i zaniedbane wychodzą na pierwszy plan.

Dziwnie więc brzmią — tak częste dzisiaj w wojsku — utyskiwania, że żołnierz nie zawsze i nie wszędzie wykazuje taką, jak przedtem gorliwość w służbie, że przekłada swoje troski o rodzinę i starania o połączenie się z nią ponad dokładność i szybkość w wykonywaniu zarządzeń, że niejednokrotnie nie przestrzega przepisów. Mówi się, że są to objawy rozprężenia, że godzą one w morale armii i będą przeszkodą w odtworzeniu jej w wypadku potrzeby. Wspomina się nawet o niedostatecznym jakoby wyrobieniu obywatelskim tego żołnierza. Zdarza się też, że zbyt dosłownie interpretując przepisy i trzymając się suchej formalistyki — przygotowanie i przejście do życia cywilnego żołnierzowi **hamuje się i utrudnia**.

Nic bardziej nedorzecznego, niż takie argumenty i takie postępowanie. Na tle naszego położenia widzimy wyraźnie, że o ile nie możemy stanowić suwerennego wojska, powinniśmy jak najszybciej i w jak największej liczbie stworzyć sobie życie cywilne. Aby prowadzić skuteczną działalność polityczną, żołnierz polski musi stać się człowiekiem w całej pełni niezależnym. W naszym interesie ogólnym i w interesie osobistym każdego z nas leży zajęcie miejsca w życiu gospodarczym, społecznym i politycznym środowisk, w których mamy w najbliższym okresie żyć. Dopiero wtedy każdy z nas będzie coś znaczył i uzyska bazę dla pojedynczego lub grupowego działania. Im prędzej inżynier i robotnik znajdzie się w fabryce, rzemieślnik przy warsztacie, kupiec w sklepie, rolnik na roli, nauczyciel w szkole, student na uczelni, a dziennikarz w piśmie — tym prędzej stworzymy organizm zdolny do wykonania zadań dzisiejszego dnia. Im prędzej żołnierz polski zacznie pracować dla siebie i

swojej rodziny, zacznie brać udział w życiu społecznym i politycznym jako świadomy i pełnoprawny członek pewnej wspólnoty, tym mniejsze straty poniesie jego psychika, tym wartościowszym będzie obywatelem. O ileż łatwiejsze będzie odtworzenie pełnowartościowej armii, gdy tworzyć ją będzie człowiek wolny, który doświadczył wartości zasad, o jakie ma walczyć, i z własnej woli pójdzie ich bronić. Tęsknota żołnierza do życia cywilnego jest objawem zdrowym. Jego brak zainteresowania dla spraw, związanych bezpośrednio ze służbą, wynika z niezrozumienia celowości utrzymywania nadal form, które nie mają już żadnej treści.

Kwestionowanie zaś wyrobienia obywatelskiego żołnierza jest bezpodstawne i krzywdzące. W ciągu całej swej wędrówki wojennej żołnierz polski dawał zawsze, przy każdej okazji, pełny wyraz zrozumienia swoich obywatelskich obowiązków. Spełniał nie tylko bez zarzutu obowiązki obrony państwa, ale także, gdzie tylko mógł, wykazywał swój obywatelski stosunek wobec ludności cywilnej. W Rosji, na Bliskim Wschodzie i w Italii, we Francji i w Niemczech dzielił się on chlebem i okryciem ze współobywatelami w cywilnej marynarce. Przygarniał go i ochraniał, często wbrew przepisom wojskowym, wbrew umowom „sojuszniczym”, często nawet wbrew woli i rozkazom niektórych spodłanych lub zeszywniętych doszczętnie w wojskowej rutynie przełożonych. Swoją ofiarnością, przemyślnością i wysiłkiem uratował wiele tysięcy polskich istnień od śmierci, ponieważ, niewoli lub głodu. Te jego walory, jego wyczucie sytuacji i prawdziwie obywatelskiej solidarności stwarzają z żołnierza polskiego niezapomniany typ żołnierza-obywatela.

Dzisiaj przeżywamy okres przejściowy. Jest sprawą dużej wagi, abyśmy dotrwali do czasu demobilizacji jako wojsko, jako organizacja nie tylko z formalnego punktu widzenia, ale i pod względem faktycznej spójności. Wojsko ma jeszcze wykonać wiele zadań, ma przeprowadzić ewakuację rodzin i oddziałów, zlikwidować i zakończyć sprawy, związane z długoletnim zakwaterowaniem. Musi zostać wojskiem do końca. Żołnierz rozumie i to. Jego zaufanie do dowódców

Jakub Krzemieński

GENERAL ROMAN GÓRECKI

Dnia 9 sierpnia 1946 r. zmarł w Londynie generał Roman Górecki.

Głośno było o nim w Polsce, gdy jako dwudziestokilkuletni kapitan Legionów stanął przed austriackim sądem doraźnym, oskarżony o zbrodnię buntu wojskowego. Niepomny na skutki, z podniesioną głową, odważnie założył protest z tego miejsca przeciwko traktatowi brzeskiemu i czwartemu rozbiorowi Polski.

Wieścił on światu o zdradzie dokonanej przez państwa centralne, a społeczeństwu polskiemu wskazał, iż jedynie słuszną jest prawda polityczna, głoszona przez Józefa Piłsudskiego już od końca 1916 roku, że akt listopadowy z dnia 5 XI 1916 jest czczą obietnicą, że nie należy zwiększać stanu liczebnego Legionów, lecz zejść w podziemia do Polskiej Organizacji Wojskowej (P.O.W.) i gromadzić siły na chwilę, która nadejdzie. Pod koniec 1916 roku Komendant ustąpił ze stanowiska Dowódcy I Brygady Legionów. Zrozumiały Komendant I i III Brygada — i gdy powstało zagadnienie złożenia przysięgi na wierność państwu centralnym, żołnierze tych brygad przysięgi odmówili, po czym aresztowani zostali i internowani w obo-

nie może jednak zostać zachwiane. Żołnierz musi zdawać sobie sprawę z celowości wykonywanych przez siebie czynności, aby to zaufanie do dowódcy zachować nie tylko do czasu demobilizacji, ale także na okres późniejszy. Jeśli zostanie między żołnierzem i dowódcą stosunek starszego i młodszego kolegi — wyjdzie to obu stronom tylko na dobre. Dziś decyduje dowódca — jutro muszą już decydować wspólnie. Od dzisiejszego postępowania dowódców zależy przyszłość tej współpracy. Dzisiejszy przełożony i podwładny — to jutro już tylko równi obywatele.

Żołnierz-obywatel stoi obecnie przed najcięższą z prób. Traci wszelką pomoc państwa, traci przywileje sojusznika — pozostają mu jedynie obowiązki. Są to obowiązki wobec Narodu i Państwa — zachowanie godnej postawy i gotowości do ofiar, zachowanie i wyrabianie jasnego spojrzenia w rzeczywistość i wy-

zach.

Józef Piłsudski i jego szef sztabu, Kazimierz Sosnkowski, zostali aresztowani i wywiezieni do Niemiec.

Żołnierze II Brygady Legionów, która stanowiła trzon Polskiego Korpusu Posiłkowego, postanowili wytrwać z wiarą, że jawna polska siła zbrojna jest koniecznie potrzebna i że akt listopadowy zostanie zrealizowany.

Dowódcą Korpusu był generał Zygmunt Zieliński, stary, znakomity żołnierz, człowiek wielkich cnót obywatelskich. Wychowany w starej szkole uznawał tylko rozkaz jako motyw działania. Gdy władzy przełożonej nie było, szukał władzy suwerennej, a nie znajdując ani jednej, ani drugiej, nie był zdolny do powzięcia jakiegokolwiek decyzji natury politycznej. Decyzję tę należało powziąć za niego.

W połowie lutego 1918 roku ogłoszono postanowienia traktatu brzeskiego, wedle których ziemia chełmska została oderwana od reszty ziem Polski, a co do Małopolski Wschodniej ze Lwowem i Przemyślem zamieszczono dodatkowe tajne klauzule.

Wówczas żołnierze Polskiego Kor-

bór najbardziej skutecznej metody działania w ramach bitwy cywilnej. Obowiązek zachowania ojczystej kultury i języka. Są to obowiązki wobec współobywateli — moralna i materialna pomoc słabszym, szerzenie poczucia wspólnoty losu i wspólnoty odpowiedzialności. Są to wreszcie obowiązki wobec siebie samego — obrona przed zepchnięciem w dół, przed wykorzystaniem przez obcych jego pracy, siły i zdrowia. W spełnianiu tych obowiązków żołnierz polski musi otrzymać jak najdalej idącą i natychmiastową pomoc od wszystkich tych, którzy w naszej rzeczywistości reprezentują ideę Państwa i autorytet moralny.

Żołnierz-obywatel ma jednak jedno prawo. Jest to święte i niewzruszone prawo obywatela i wolnego człowieka. Musi on mieć możliwość wypowiedzenia własnego zdania o wszystkim i o wszystkich. Musi mieć możliwość kształtowania samemu swej przyszłości i współdziałania w

pusu Posiłkowego przejrzeni, że zostali oszukani przez państwa centralne, że nastąpiła jawna zdrada interesów Polski, że słusznie postąpili ich koledzy z I i III Brygady, przenosząc druty obozowe ponad dalszą służbę wojskową.

Zebrał się dowódca, a wśród nich — kapitan Roman Górecki. Postanowili wypowiedzieć posłuszeństwo Austrii, przebić się przez front, połączyć się z tworzonymi po tamtej stronie oddziałami polskimi i uderzyć. Głos i wnioski Góreckiego nie mała zaważyły na szali postanowień.

Wielką przeszkodę widzieli zebrani w stanowisku gen. Zielińskiego przewidując, jak on się zachowa dowiedziawszy się o postanowieniu podkomendnych.

Wówczas Roman Górecki podjął się tego nad wyraz ciężkiego zadania. Był bezpośrednim podkomendnym Generała, odnosił się do niego z wielką czcią żołnierską i przywiązaniem. Stawił się służbowo, w gorących słowach przedstawił sytuację i postanowienie dowódców oddziałów i prosił Generała, aby poprowadził oddziały przez front lub przynajmniej żeby towarzyszył wojsku. Generał odmówił. Wówczas, w tej walce między uczuciem osobistym i posłuszeństwem wojskowym a zbiorowym postanowieniem, wy-

kształtowaniu swojej wspólnoty. Jako obrońca zasad demokratycznych, musi się sam według tych zasad rzędzić. Tego prawa obywatelskiego odmawiać mu nie wolno.

Więcej nawet. Polska racja stanu wymaga dziś od wszystkich Polaków zbiorowej odpowiedzialności za losy Narodu i Państwa, za losy grup i skupisk narodowych gdziekolwiek się one znajdują. Podzielenie się odpowiedzialnością z żołnierzem — to oparcie jej o najszerszą i najpewniejszą podstawę. Wpojenie w żołnierza poczucia odpowiedzialności, ukazanie mu wagi jego wolnej decyzji, umożliwienie mu w **praktyce** wpływania na sprawy ogólne — jest nakazem chwili i nakazem zasad, o które Polska walczy. Decyzji żołnierza-obywatela bać się nie należy. On sam wybierze drogę najlepszą. Wybrawszy zaś — będzie się jej trzymał, będzie się nią uparcie posuwał naprzód aż do wspólnego nam wszystkim celu.

Seweryn GRUZA

brał Górecki rację stanu.

Postanowił zmusić Generała do przejścia i w tym celu aresztował go przy pomocy wtajemniczonych młodszych oficerów.

Piechota Drugiej Brygady przebiła się w walce przez front, połączyła się z polskimi formacjami na Wschodzie i stoczyła bitwę z Niemcami pod Kaniowem. Natomiast — inne oddziały, w szczególności I pułk artylerii, konwój, prowadzący Generała i jego sztab, oraz oddziały pomocnicze zostały otoczone przez przeważające oddziały szturmowe austriackie i po krótkiej walce aresztowane. Oficerowie i szeregowi stanęli przed sądem.

Roman Górecki, pierwszy z oskarżonych, wziął całą winę na siebie. Oświadczył, że spośród oficerów, stojących przed sądem, on jedynie i wyłącznie ponosi odpowiedzialność; inni wierzyli, że zarządzone zostały nocne ćwiczenia. On sam współdziałał w naradach i w powzięciu postanowienia przebicia się przez front z dowódcami oddziałów, on sam tylko spośród oskarżonych znał istotę rozkazu, aresztował Generała z własnej inicjatywy i na własną odpowiedzialność. Powodem działania była zdrada dokonana na Narodzie Polskim przez państwa centralne, z pominięciem zasług wojennych Legionów i wysiłku zbrojnego społeczeństwa polskiego, wbrew wszelkim zapewnieniom i wbrew aktowi z 5 listopada 1916 roku.

Czynu Górecki nie żałował i niepomny na groźącą mu karę śmierci o żadne okoliczności łagodzące nie prosił. W urywku z pamiętnika pisze: „Po pierwszym przesłuchaniu zakomunikował mi prokurator, że będę przewieziony do Kołomyi i tam doraźnie stracony. W tych to ciężkich chwilach przyszła mi z pomocą myśl o Komendancie i zaczęła się wytwarzać więź żołnierskiego do niego przywiązania”.

„Ponieważ prokurator nie sprecyzował rodzaju kary śmierci (powieszenie czy rozstrzelanie), poprosiłem go o pożyczanie na noc austriackiego kodeksu karnego, po czym ustaliłem, że jestem oskarżony o szereg zbrodni, z których trzy były karane przez rozstrzelanie, a cztery przez powieszenie. Skoro dopiero sąd miał ostatecznie ustalić rodzaj kary, więc dla uniknięcia w ostatniej chwili zaskoczenia musiałem się przygotować na tę i tamtą okoliczność”.

„Kiedy uświadomiłem sobie, że Komendant jest również w więzieniu, miałem poczucie pewnego rodzaju zrównania; dawało mi to wewnętrzne zadowolenie i napawało dumą. A gdy przemyślałem wszystkie szczegóły technicznego wykonania kary śmierci, zwracałem się do Komendanta, jak gdyby był ze mną w tej samej celi, z zapewnieniem, że może być spokojny, że mu zawodu nie zrobię”.

„Myślałem o Brygadzie, która wędrowała, by dalej o Polskę walczyć, o matce mojej, o rodzeństwie, a potem — z cichą radością samotnego już człowieka wyobrażałem sobie, jak to kiedyś Komendant dostanie raport, po którego przeczytaniu pomyśli sobie: wytrwał do końca!”

Upadek Austrii uchronił Góreckiego od śmierci.

Był z kolei zastępcą szefa Departamentu Intendentury w latach wojny 1919—1921. Zorganizował następnie Wyższe Studium Intendentury i był jego wykładowcą.

Był doktorem praw i ekonomistą.

Z rozkazu władzy przełożonej zorganizował i wyszkolił korpus kontrolerów wojskowych, którego szefem został mianowany. Przeszedł wszystkie stopnie oficerskie do generała włącznie.

Odnaczony był krzyżem wojskowym *virtuti militari*, komandorią Polski odrodzonej z gwiazdką, wielokrotnym krzyżem walecznych, krzyżem niepodległości, złotym krzyżem zasługi, francuską komandorią legii honorowej z gwiazdką i wielu innymi.

Założył i kierował pracami Federacji Polskich Związków Obrońców Ojczyzny. Na licznych zjazdach zagranicznych godnie reprezentował Polskę, a współpraca jego z Ministerstwem Spraw Zagranicznych była pożyteczna i skuteczna. Wybrany prezesem Międzynarodowej Federacji byłych Kombatantów (F.I.D.A.C.) — rozwinął żywą działalność na terenie międzynarodowym. Po upływie kadencji — wybrany dożywotnim prezesem honorowym tejże organizacji.

W r. 1927 został mianowany prezesem Banku Gospodarstwa Krajowego, na którym to stanowisku pozostawał do r. 1933 z krótką przerwą, w czasie której zasiadał jako minister Przemysłu i Handlu w gabinecie premiera Kościłkowskiego.

Na stanowisku Prezesa B.G.K. rozwinął gorliwą i skuteczną działal-

ność w kierunku zrealizowania zadań statutowych Banku, a sprawozdania roczne i bilanse Banku stwierdzają olbrzymi rozwój tej instytucji, zarówno pod względem obrotów, jak również w zakresie działania i znaczenia dla rozwoju gospodarstwa narodowego — za czas jego prezesury.

Po zawładnięciu Kraju przez Niemców i bolszewików znalazł się Roman Górecki na emigracji. Pragnieniem jego było powrócić do służby w wojsku, w szczególności w lotnictwie, do czego się bardzo gorliwie przygotowywał. Jednocześnie pracował wśród związków b. kombatan-tów na rzecz tworzącej się Armii Polskiej.

Pragnienie powrotu do służby w wojsku nie zostało urzeczywistnione. Wówczas Roman Górecki poświęcił się w zupełności pracy w zakresie ekonomii i postawił sobie za zadanie walkę z wrogą propagandą, że Polska w okresie odzyskanej niepodległości niczego pozytywnego nie osiągnęła i że sama zawiniła klęskę 1939 roku.

W wykładach, przemówieniach, odczytach — na podstawie wykre-sów, map, dokumentów i faktów — wykazał i uzasadnił, jak wielki był dorobek gospodarczy Polski w latach 1918 — 1939.

Stosunek Romana Góreckiego do Marszałka Piłsudskiego charakteryzuje fragment wspomnień, gdy opisuje „ostatnią wartość u jego trumny 14 maja 1935 roku”.

„Stałem przy głowie Komendanta z lewej strony. Po raz pierwszy w moim życiu i po raz ostatni mogłem z tak bliskiej odległości patrzeć w jego twarz”.

„Ta godzina warty — to był jakby ostatni mój raport, jakby ostatnia spowiedź wobec Ojca i Wodza. Bigotem nigdy nie byłem, ale wierzyłem i wierzę, że umarli utrzymują bezpośredni kontakt duchowy z nami, że wyzwoleni z materii widzą zupełnie wyraźnie każdą naszą myśl. Ta świadomość ułatwiła moją z nim rozmowę”.

„Więc przebiegłem myślą moje życie od chwili, gdy po raz pierwszy go zobaczyłem. Przypomniłem sobie każde wypowiedziane do mnie słowo. Prosiłem, by mi wybaczył, że tak późno przejrzałem i zrozumiałem całą głębię jego dalekowzrocznej myśli, którą ogarniał Polskę. A potem przysiągłem na utrzymaniu w

WYDAWNICTWA NA WSCHODZIE

Polska akcja wydawnicza na Śr. Wschodzie w ciągu sześciu lat jest odbiciem zainteresowań i dążeń społeczeństwa polskiego. Początkowo biegła ona małym strumieniem dzięki prywatnej inicjatywie jednostki lub nielicznej grupy. Po przybyciu wielkiej fali Polaków z Rosji książka polska stała się artykułem pierwszej potrzeby. Akcja wydawnicza nabrała wtedy żywego tempa. Rzesze młodzieży w powstających szkołach wojskowych i cywilnych domagały się podręczników, żołnierze odczuwali brak regulaminów i książek z zakresu nowoczesnej wiedzy wojskowej. Prócz tego praktycznego zapotrzebowania, wszyscy Polacy szukali lektury o Polsce; duchowa bowiem łączność z Krajem była wtedy bardzo bliska i bezpośrednia, a poczucie obcości wśród nowych warunków było duże. Z rąk do rąk podawano sobie książkę polską, znaną w bibliotekach i wypożyczalniach palestyńskich; były to jednak pojedyncze egzemplarze i nie zaspakajały głodu czytelników. Życie wskazywało, w jakich kierunkach powinna iść działalność wydawnicza, by stworzyć podstawę pracy, zachować ciągłość kultury polskiej i dać wyraz nurtom i dążeniom Polaków żyjących poza Krajem.

Powstały więc w Palestynie trzy najważniejsze instytucje wydawnicze, określające w samym tytule zakres swojej pracy: Wydawnictwo Książek Szkolnych Min. W.R. i O.P., Sekcja Wydawnicza APW i Polskie Centrum Informacji.

Śr. Wschód stał się centralą wydawniczą podręczników i lektury szkolnej. Dokonano tu w dużych nakładach przedruku podręczników dla szkoły powszechnej, gimnazjum i liceum. By dostarczyć młodzieży książek z zakresu literatury pięknej, stworzono dział wydawnictw pt. „Szkolna biblioteczka na Wschodzie”, która wydała najcenniejsze dzieła dawnych i współczesnych pisarzy polskich i obcych. Stąd szły książki do szkół polskich na wszyst-

prawej dłoni szabłą, że zgodnie z jego wskazaniem — póki życia mego — nie przestanę pracować dla Polski z całego serca i ze wszystkich sił moich...”

Cześć Jego pamięci!

kie strony świata: do Palestyny, Egiptu, Afryki Wschodn. i Pd., Indii, W. Brytanii, Libanu, Włoch i Niemiec, Meksyku i Nowej Zelandii. Wydawnictwa Min. W.R. i O.P. zasilaty również biblioteki wojska i dawały książkę polską społeczeństwu cywilnemu. Mimo usilnej pracy nie można było nastarczyć podręczników i zaspokoić potrzeb uczącej się młodzieży. Napływała ona ciągle do szkół, więc trzeba było bić nowe nakłady.

Drugi ważny ośrodek wydawniczy stworzyło wojsko. Założona w Jerozolimie — Sekcja Wydawnicza APW (później JWŚW) drukowała i powielala materiały dla kształcenia żołnierza, jak regulaminy, skrypty i opracowania z zakresu literatury wojskowej. Pod kierownictwem kartografa opracowywano mapy Polski. Na marginesie swych prac głównych Sekcja wydała na powielacz kilka prac naukowych, wśród których widnieje cenny „Słownik etymologiczny” — Brücknera, „Słownik łacińsko-polski” i „Propedeutyka filozofii” — K. Ajdukiewicza, „Witaminy” — dra W. Odrzywołskiego i popularyzacyjno-naukowa broszura pt. „Istota materii” M. Łojewskiego. Przedrukowano też parę książek z literatury dziecięcej i pożyteczną ze względu na materiał książkę Dynowskiej „Polska w zwyczaju i obyczaju”.

Wydział Kultury i Prasy APW (później JWŚW) wytyczał kierunek i program pracy kulturalnej w wojsku. W zakresie wydawniczym działalność Wydziału K. i P. APW przejawia się w dostarczeniu żołnierzowi prasy i „książki do plecaka”. W latach 1943—1944 wychodzi w Palestynie „Dziennik Żołnierza” i założony już w Rosji tygodnik „Orzeł Biały”, który przeżywał w Palestynie swój świetny okres. Skupił na łamach pisma utalentowanych pisarzy i publicystów walczących odważnie o niezależne stanowisko Polski w świecie. Był to naprawdę tygodnik „Polski Walczącej” na Śr. Wschodzie. Kontynuatorem tej działalności „Orzeł Biały”, który odszedł wraz z 2 Korpusem do Włoch — jest w latach 1944-1946 „Tygodnik APW”.

Różnorodność zainteresowań żołnierzy i konieczność dania im książki, która ich informuje szerzej o sytuacji i celach wojny polskiej, rozwija ich myślenie polityczne, przyno-

si wiadomości o zjawiskach i treściach kulturalnych, a wreszcie jest rozrywką i przeżyciem artystycznym — nakazały wydawcom unikać jednostajności tematu i rodzaju literackiego.

W pierwszym okresie najwięcej ukazało się broszur i książek publicystycznych. „Idea dziejowa państwa polskiego” — I. Szułdrzyńskiego, „Obrona Lwowa” — K. Rysia, „Rok 1863” — J. Piłsudskiego, „Konstytucja R.P.”, „Z doświadczeń przeszłości” — Łukasiewicza, „Geopolityka, strategia granice” — R. Wragi, później (w okresie pracy Wydz. Kult. i Prasy JWSW) „Tadeusz Kościuszko a chwila obecna” — E. Kostki, „Anglia i Polska w polityce europejskiej” wymiennego J. Szułdrzyńskiego, „U źródeł polskiej idei federacyjnej” — W. Bączkowskiego, „Stosunki polskoliteńskie w dobie powstaniowej” — L. Wasilewskiego: oto książki, których tytuły są syntetycznym skrótem ich treści i wskazują, że głównym zagadnieniem rozważanym w czasie tej wojny była analiza istoty i rozwoju państwa polskiego. Z rozrachunku między współczesnością a historią wypływa wniosek na przyszłość, że był państwowy i samodzielny rozwój Polski mieści się w dobrowolnym federacyjnym związku narodów środkowo-wschodniej Europy.

Publicystyka tego okresu, jakkolwiek stojąca na wysokim poziomie, posiada za mało cech popularyzatorskich i wskutek tego nie zawsze trafia do szerokich mas czytelników.

W dziale literackim ukazują się przedruki wielkich pisarzy, jak Żeromskiego, Bandrowskiego, Conrada, oraz utwory pisane w czasie tej wojny: zbiór wierszy pt. „Otawa” — Beaty Obertyńskiej, „Azja i Afryka” (antologia poezji na Śr. Wschodzie) w opracowaniu J. Bielatowicza, reportaż „Wrześniowym szlakiem” — Łużyca, zbiór opowiadań pt. „Po Narviku był Tobruk” — J. Jasieńczyka itd. Książki, których autorami byli żołnierze, stanowią poważną pozycję wydawniczą. I tak jak w całej twórczości pisarskiej współczesnej Polski, przeważa i tu poezja, reportaż i publicystyka, oparta na historycznych podstawach.

Żołnierzowi walczącemu trzeba było dać wizję Polski, z której wyrosło życie i nasza twórczość. „Polskim szlakiem” (3 tomy) — to podręcznik o Polsce dla żołnierza. Jest to zbiór artykułów lub krótkich literackich u-

tworów obrazujących piękno ziemi oraz właściwości i procesy kultury polskiej. Opracowanie to ma wyraźne piętno pośpiechu wojennego, zwłaszcza jeśli chodzi o materiał nie łatwo dostępny w tych warunkach. Trzeci tom tej książki — to zbiór opowiadań żołnierzy, ułożonych w formę pamiętnika przeżyć żołnierskich od roku 1939 do roku 1942, do wyjścia na pole bitwy — do Włoch.

Z zakresu higieny psychicznej wyszła książka młodego lekarza dra W. Szyryńskiego „W laboratorium radości życia”.

Mając oczy zwrócone czujnie w stronę Kraju — wydawcy wystali w świat „Śląską ojczyznę”, „Morze i Pomorze” — J. Smoleńskiego i „Życie polskie w dawnych wiekach”, doskonałe studium o kulturze polskiej, pisane w pierwszej połowie XX w. przez sumiennego badacza — W. Łozińskiego. Ostatnio wychodzi z druku „Pod znakiem półksiężyca” — W. Rajkowskiego, krótki zarys dziejów, instytucji i rozgałęzień islamu. Badania nad Wschodem i zainteresowania kulturą Orientu uczonych, pisarzy i artystów w czasie naszego tu pobytu wzbogacają na pewno naukę i literaturę polską.

Polskie Centrum Informacji miało w zakresie wydawnictw dwa podstawowe założenia pracy: 1) opieka nad twórczością polską za granicą, 2) wydanie poważnych prac z zakresu wiedzy o Polsce, ustroju i kulturze państw europejskich. Niestety, nie całkowicie zostały one zrealizowane.

Tygodnik „W drodze” — organ P.C.I. wychodzący w latach 1943-1946 był dobrze redagowany pod względem literackim, bogaty w artykuły o zjawiskach kulturalnych i politycznych współczesnego życia, dający kronikę i przegląd bibliograficzny literatury polskiej i światowej oraz twórczości artystycznej z dziedziny sztuki plastycznej i muzyki. Należy podkreślić te wartości pisma — mimo że brak wyraznej linii niepodległościowej w okresie najcięższej walki wprowadził wiele chaosu i nieporozumień.

W starannej szacie zewnętrznej pojawiły się nakładem wydawnictwa „W drodze” tomiki polskich poetów na Śr. Wschodzie: Broncla, Broniewskiego, Czechowiczówny, Sowińskiego, Petry-Radwańskiej itd. i antologia poezji pt. „Poezja karpac-

ka”. Ukazały się też „Srebrne orły” — T. Parnickiego, pierwsza polska powieść historyczna, napisana na Śr. Wschodzie, oraz „Faustyna” — opowieść Beaty Obertyńskiej. koncepcja tej opowieści powstała w więzieniu w Rosji. Wydano też dwie książki-reportaże: „Tobruk-Gazala” — Chomy i „Włochy 1944” — Fajansa, a ponadto: „Bębny biją w puszczy Wukudu Sokodei” — Gieldzińskiego, krajoznawczy opis puszczy i życia plemienia murzyńskiego.

Zasługą tej instytucji jest ponowne wydanie cennych prac historycznych, jak „Dzieje Polski” — Bobrzyńskiego, „Księżę Józef Poniatowski” — Askenazego, oraz dzieł literackich: „Trylogii” i „Krzyżaków”, „Lalki” i „Sulkowskiego” — Żeromskiego „Dysku olimpijskiego” Parandowskiego itd. Z literatury o zagranicy wyszła: „W. Brytania, kraj, ustrój i ludzie”. Zapoczątkowana seria przekładu angielskich broszur politycznych „Oxford pamphlets” dała w druku parę numerów, po czym wydawnictwo to zostało przerwane, a cała akcja prawie ustała.

Firmy wydawnicze, jak „Przez lądy i morza” i „Świt” — były imprezą prywatną. Poszczególne ośrodki wydawały pisma i książki z zakresu specjalnych tematów, jak „Ośrodek Wydawniczy Biskupa Polowego”, „War relief service”, „Polska YMCA” itd. Wielu pisarzy wydaje książki „nakładem autora”, często dlatego, że ze względu na cenzurę nie mogły ukazać się jako oficjalne wydawnictwa instytucji. Tak wyszły książki: „Podstawy bezpieczeństwa Polski” i „Wspólnota bezpieczeństwa” — ppłk Pstrokońskiego, „Demokratyczne oblicze ZSRR” — O. Zremby, „Rosja wczoraj i dziś” — W. Bączkowskiego, „Turcja i Rosja na drodze historii” — T. Schaetzla i inne.

Prasa codzienna i periodyki żywo odzwierciedlają nurty życia polskiego na Śr. Wschodzie. „Gazeta Polska” — pismo codzienne, informuje o aktualnych i bieżących sprawach politycznych i o życiu uchodźstwa.

Stowarzyszenia naukowe — wydają pisma poświęcone zagadnieniom z zakresu poszczególnych gałęzi wiedzy.

Koło Przyrodników im. M. Kopernika w Palestynie od roku 1942 ogłasza drukiem opracowane zbiorowo przez swych członków pisma naukowe, które ukazują się pod różnymi tytułami. („Mikołaj Kopernik”,

„Leonardo da Vinci i jego zasługi na polu nauk przyrodniczych i lekarskich”, „Kosmos”, „Wszehświat”, „Przyroda”, „Maria Skłodowska-Curie” i „Wiedza”). Razem siedem prac.

Komisja Naukowa Koła Lekarzy PCK w Jerozolimie wydawała od roku 1943 do 1945 swój biuletyn informacyjny pt. „Postępy wiedzy lekarskiej”. Ogółem ukazało się osiem numerów. Ponadto wydano jeden numer „Biuletynu Informacyjnego dla sióstr PCK”. Nakładem zaś PCK na Śr. Wschodzie wyszły następujące prace naukowe: „Zasady leczenia złamań” — płk dr Sokołowski, „Neuromalaria” — dr J. Mackiewicz, „Opieka nad dzieckiem” — dr E. Peitzer, „Higiena kobiety” — dr A. Kutten.

Palestyńskie Koło Związku Lekarzy Polskich w Imperium Brytyjskim (siedziba — Tel-Aviv) wydaje swój organ pt. „Lekarz Polski na Wschodzie”.

W latach 1942-1945 działało w Iranie Towarzystwo Studiów Irańskich. W przeciągu 3 lat wymienione towarzystwo wydało 3 tomy „Studiów Irańskich”.

Miesięcznik „Sprawy Pedagogiczne” — organ Zrzeszenia Nauczycielstwa Polskiego na Śr. Wschodzie — omawia sprawy i problemy dydaktyczne i wychowawcze. Pisma harcerstwa polskiego pt. „Harcerstwo”, później „Kuznica Harcerska” oraz „Skaut — Wiadomości Urzędowe”, przeznaczone dla instruktorów, dają wytyczne prac programowo-wychowawczych i przegląd dorobku polskiego harcerstwa na całym świecie.

Periodyki wydawane przez ugrupowania polityczne, jak: „Myśl Polska” — pismo Stronnictwa Narodowego i kilka tylko niestety numerów „Wolności” — wydanych przez Polską Partię Socjalistyczną — omawiają zagadnienia ideowo-polityczne, społeczne, gospodarcze i kulturalne. Różne w swych założeniach programowych, zajmują wspólne stanowisko w walce o wolność państwa polskiego. Miesięcznik Związku Pracy dla Państwa „Na straż” pod redakcją Z. Miłoszewskiego, a później J. Jędrzejewicza odzwierciedla w polityce myśl Józefa Piłsudskiego. Obraz pracy wydawniczej tej grupy ludzi nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o „Biuletynie Niezależnych” i biblioteczkę piłsudczyków, wydawanych w warunkach konspi-

WYDAWNICTWA ZWIĄZKU PRACY DLA PAŃSTWA

1. „W dniu Imienin 1-go Marszałka Polski” — J. Jędrzejewicz
2. „Józef Piłsudski mówi” . . . — W.T. Drymmer, S. Sokołowski
3. O co walczymy? — I. Matuszewski
4. „Rocznice” — J. Poniatowski
5. Piłsudski, demokracja i chwila obecna” — J. Jędrzejewicz
6. „Granice zachodnie” — I. Matuszewski
7. „A.B.C. stosunków polsko-czeskich” — J. Lemański
8. „Granice wschodnie Polski” — ostatnie granice Europy” — zbiór artykułów
9. „Polska Komendanta” — gen. dr Sławoj Składkowski
10. „Jego dynamizm a nasza bierność” — gen. dr Sławoj Składkowski
11. „U źródła mocy i wielkości Józefa Piłsudskiego” — kpt. J. Relidziński
12. „Hańba albo chwała” — I. Matuszewski
13. „Czy Anglja gwarantowała granice Polski?” — I. Matuszewski
14. „Stygmat wielkości” — W. Piesiecki (w druku).

Ponadto wydano: zdjęcia portretowe J. Piłsudskiego, „Pamiętkę z Ziemi Świętej” (fotografię Komendanta na ozdobnym kartonie z wyborem Jego myśli) i fotografię wileńską Komendanta, otrzymaną ze Szkocji, gdzie była szeroko rozpowszechniona.

racyjnych, bez żadnej pomocy z zewnątrz, a więc w oparciu o własne siły, w latach 1941-1945. Broszury pisane przez żołnierzy Komendanta (jak I. Matuszewskiego, J. Jędrzejewicza, J. Poniatowskiego itd.) ukazują sylwetę duchową J. Piłsudskiego jako wodza i męża stanu na tle jego walki i dorobku państwa polskiego w okresie 1918-1939 i wykreślają zgodnie z tezą J. Piłsudskiego: „ani z Niemcami, ani z Rosją” — przyszłość polityczną Polski w federacji z innymi narodami walczącymi o wolność.

Jak przewidującym był Józef Piłsudski i jak współczesne pokolenie zrozumiało go, świadczy prasa młodzieży: „Skaut”, „Junak”, „Kadet”, „Pismo Młodych” i „Pion”, pismo mł. akad. w Bejrucie. Na łamach pism młodzieżowych, umieszczają artykuły starsi i młodzież. Ta współpraca pokoleń przejawia się szczególnie wyraźnie w organie harcerskiej młodzieży za granicą pt. „Skaut”, za pośrednictwem którego pragnie Związek Harcerstwa Polskiego oddziaływać przez artykuły starszych, w myśl wytycznych programu harcerskiego, a w utworach pisanych przez młodych dać wyraz dążeniom i poglądom młodzieży harcerskiej. Więź ideowa harcerstwa łączy starych i młodych w harmonijną całość ułożoną tylko według stopnią wykształcenia i obowiązków pracy harcerskiej. „Junak” jest pis-

mem młodzieży wojskowych szkół junackich. Bogato ilustrowany miesięcznik porusza i omawia sprawy życia szkolnego, umieszcza utwory literackie i artykuły z różnych dziedzin wiedzy. Ma dział rozrywki i specjalne szpalty dla młodych oraz dodatek „Mały Junak” dla najmłodszych. Postawa Dowództwa Szkół Junackich i redaktorów „Junaka” sprawiła, że mimo pewnych oddziaływań czynników zewnętrznych na charakter pisma, nie odbyło ono marszu w próżnię, jaką stwarza rezygnacja z bezkompromisowej walki, ale stanęło po stronie tej części społeczeństwa polskiego, która rozumie, że tylko czynna postawa w życiu niszczy słabość i daje zwycięstwo. J.P.

OD WYDAWNICTWA

Z przyczyn od nas niezależnych — numer niniejszy NA STRAŻY ukazuje się z dwumiesięcznym opóźnieniem. Wydajemy go za to w potrójnej objętości.

Do numeru następnego odłożyć musieliśmy sprawozdanie z pracy przyrodników oraz pracy humanistów na terenie Palestyny.

..

Z okazji zbliżającego się Bożego Narodzenia oraz Nowego Roku, Przyjaciołom, Sympatykom oraz wszystkim Czytelnikom NA STRAŻY — składamy serdeczne życzenia świąteczne,

Plastycy polscy na Środkowym Wschodzie

„Tysiące głupich zarzutów robią ludzie wybitnym artystom: mówią, że są dziwakami, że trudno zbliżyć się do nich, że nie można z nimi żyć. Tymczasem nikt nie jest tak naturalnym i tak naprawdę wielkim człowiekiem, jak wielki artysta”.

„...Nie przeczę, że malarze mają pewne dziwactwa, zwłaszcza tu, w Italii, gdzie maluje się lepiej niż gdziekolwiek na świecie. Jakże można jednak żądać od artysty, który cały tkwi w swej robocie, aby miał czas i ochotę bawić znudzonych ludzi?”



Przytoczony powyżej cytat z Michała Anioła można zastosować do wszystkich epok. Oryginalna wyobraźnia plastyczna, emocjonalna reakcja twórcza, utrwalona w kamieniu, na płótnie czy papierze (nawet papier jest trwalszy od człowieka) wiąże się z jednym z najstarszych instynktów ludzkich, instynktem twórczym i wraz z człowiekiem chyba zniknie z powierzchni ziemi. Na ogół nie docenia się roli, jaką odgrywa wyobraźnia plastyczna w życiu społecznym. Jest ona jednym ze zjawisk ogólnego rozwoju i postępu umysłowego, który zapewnia i zapewnia państwu o bogatej, wielokierunkowej wyobraźni twórczej na polu sztuki, nauki lub techniki dominującą rolę w historii.

Działanie wyobraźni może być destrukcyjne, stwarzając na polu nauki coraz to nowe, wyszukane i różnorodne sposoby zadawania śmierci. Nie ulega wątpliwości, że wojny na ogół wygrywały państwa o bogatszej wyobraźni.

Niejednokrotnie już podkreślano ścisły, choć na pozór niedostrzegalny, związek łączący kompozycję malarzką, muzyczną lub literacką z założeniami matematycznymi. Wszystkie te sztuki wymagają umysłowej organizacji elementów emocjonalnych w rodzaju przestrzennej architektury myśli opartej na ścisłych i dla ogólnej harmonii niezbędnych zestawieniach. Podobnie jak w równaniu źle podstawiona niewiadoma nie daje właściwej sumy, tak w kompozycji źle zharmonizowany i nieistotny element przeszkadza w stworzeniu prawdziwego dzieła sztuki.

W ogólnej ocenie roli zjawisk artystycznych w życiu społecznym na uwagę zasługuje fakt, że sposób indywidualnej reakcji wybitnych artystów na świat widzialny nadaje odrębny wyraz całym epokom, stwarzając tzw. styl. Działanie stylu jest dwukierunkowe: kształtuje on nie tylko wyobraźnię plastyczną mas współczesnych, ale w skoku poprzez tysiąclecia i tysiące kilometrów zmienia i przetwarza sposób widzenia odległych w czasie i przestrzeni mas ludzkich, stwarzając naśladownictwa, zawsze gorsze od pierwotnego stylu. Jeśli weźmiemy choćby pod uwagę natrętą i trwającą bez przerwy prawie od czasów Odrodzenia ingerencję form klasycznych w nasze życie — zrozumiemy doniosłą rolę artystów.

Co wiedzielibyśmy — na przykład — o starożytnym Rzymie, gdyby nie jego zabytki? Nie posiadali byśmy żadnych wzrokowych skojarzeń słowa „Rzymianin”, nie wiedzielibyśmy, jak żył, mieszkał i patrzył na swoją epokę. Rzym żyje w naszej wyobraźni tylko dzięki swoim artystom.

Europa tworzyła wielki kocioł, w którym mieszały się style różnych epok i narodowości. Brak zdecydowanego stylu, dekadencja formy cechują epoki schyłkowe. Bezmyślne przemieszanie form i upadek smaku, charakterystyczne np. dla stylu wiktoriańskiego, monachijskiego (który tyle szkody wyrządził naszemu malarstwu), sececji i ekspresjonizmu niemieckiego, nie wróżyły niczego dobrego przedwojennej Europie. Twierdzenie Paul Valéry'ego, że cywilizacja nasza zniknie z powierzchni ziemi, tak jak zniknęła cywilizacja Babilonu i Niniwy, nie spełniło się wprawdzie jeszcze dosłownie, jednak wojna ostatnia spowodowała zniszczenie zabytków sztuki w skali dotychczas nie spotykanej. Tysiące artystów zginęło lub straciło możliwość pracy. Dla tych, którzy ocalili, zetknięcie się z nowym środowiskiem i sztuką, nowym światłem i kolorem stworzyło niespodziewane i podniecające możliwości malarckie. Za właśnie jednak dziś jeszcze, aby mówić o stratach i zyskach całego malarstwa polskiego, nie mając dokładnych danych.



Żyjący na Środkowym Wschodzie nieliczni artyści, związani z tym terenem jego urokiem i bogactwem barwnym, zetknęli się z odmiennymi od europejskich problemami światła i koloru. Światło Palestyny przez swe silne natężenie i rozpróśnienie daje małe różnice walorowe. Światło pustyni irackiej — na przykład — mimo swego natężenia ma wyraźniejszy walor i daje świetną, „już namalowaną” barwę cieni i światła, co wpłynęło niewątpliwie na bogactwo koloru dywanów perskich. Pers czy Kurd brał gotową barwę z nieba i ziemi.

Artyści polscy, których fale wojny wyrzuciły na Środkowy Wschód, w różny sposób ustosunkowali się do tych nowych zagadnień.

Wychowanek Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, uczeń prof. Pruszkowskiego i Jastrzębowski, Zygmunt Kowalewski tłumaczy problem światła na czernie i biele podparte całą gamą subtelnych, powietrznych szarości. Właściwe szkole warszawskiej zamiłowanie do monumentalnej formy — stwarza u Kowalewskiego ostre zestawienia stożkowatej, czarnej bryły szat kobiet arabskich czy mnichów koptyjskich z szarościami i bielą architektury Wschodu. Jako ilustrator operuje Kowalewski doskonale wyważonymi z arabeską elementami czarno-białymi, nadającymi stronicy zdecydowanie dekoracyjny, pełen smaku charakter. Te same zalety wykazują jego plakaty; znakomicie wykonane pod względem technicznym, o precyzyjnym i związłym rysunku, spełniają doskonale swoje zadanie. Kowalewski pracuje na Śr. Wschodzie od r. 1943 wykonując w tym czasie szereg prac dla wojska i władz cywilnych, jak w r. 1943 — Wystawę Fotografii i Grafiki W.P. w Jerozolimie, Tel-Awiwie, Kairze i Aleksandrii oraz w r. 1945 — Wystawę Polski Podziemnej, witryny dekoracyjne dla propagandy politycznej i in. Z plakatów należy wymienić „Lwów”, „Wilno”, „Gdynia”, z okładek wykonanych dla P. I. C. „Srebrne orły” — Parnickiego, „Garden Patry” — Sawickiego-Pleszczyńskiego, „Bajki” — Broniewskiego, „Dysk olimpijski” — Parandowskiego, „Łaska nocy” — Broncl, „Drzewo rozpaczące” — Broniewskiego. Z

okładek wykonanych dla wojska: „Trzy wyprawy” — Bandrowskiego, „Polska i Anglia” — Szułdrzyńskiego, „Morze i Pomorze” — Smoleńskiego, „Śląska ojczyzna” oraz „Przewodnik po Bejrucie”. Jako ilustrator stawia Kowalewski na wysokim poziomie graficznym pisma „Junak”, „Mały Junak” i „Nasza Gazetka” swoimi pełnymi humorem i wyczucia duszy dziełka rysunkami. Oprócz tego wykonuje dekoracje okolicznościowe z okazji obchodów państwowych, rysunki reporterskie na tematy Śr. Wschodu i współpracuje z czasopismem „W drodze”.

Artysta malarz i konserwator Tadeusz Terlecki, wychowanek Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, rozmaitowany w bogatej tradycji malarstwa polskiego, wykonuje w latach poprzedzających ostatnią wojnę cały szereg prac z zakresu polichromii kościelnej i konserwacji zabytków sztuki, jak polichromia kościoła św. Kingi w Żegiestowie, polichromia kościoła parafialnego w Mogilnie, kościoła N.M.P. w Tarnowie, polichromie w Nowym Sączu, Rudzie Śląskiej i in. Na prace konserwatorskie Terleckiego składają się: rekonstrukcja sgraffitów Prałatówki i domu Hippolitów w Krakowie, rekonstrukcja i konserwacja polichromii na drzewie kościółka w Dębnie na Podhalu (w. XVI), konserwacja i rekonstrukcja stiuków i polichromii w Puławach i wiele innych.

Podczas pobytu na Śr. Wschodzie, trwającego od r. 1942, wykonuje Terlecki różnorodne prace okolicznościowe. Są to dekoracje teatralne do „Zemsty” i „Ożenić się nie mogę” Al. Fredry oraz do „Halki” Moniuszki, portrety, jak portret Marszałka Piłsudskiego, gen. Sikorskiego, Prezydenta R.P., portret Stefana Batorego (wykonany na podstawie miedziorytu z XVI w.), tryptyk „Madonna wśród rajszych ptaków”, rysunek „Madonna Apokaliptyczna”, powiększenie do rozmiarów 160 x 135 jednego z obrazów Grotgera, „Znak” i in.

Interesujące są również prace na szkle, świadczące, że żadna technika nie jest obca Terleckiemu: sukienka do obrazu M.B. Kozielskiej, ołtarz polowy dla pułku art. plot., kryształowe świeczniki, malowane i złoczone na sposób niderlandzki. W zakresie dekoracji wnętrz daje Terlecki urządzenie świetlicy przy dawnym gma-

chu Delegatury M.O.S., hallu, czytelnicy i sali jadalnej w Świetlicy Uchodźców Polskich (Bazalel Street) oraz dekoracje sali i bufetu dla kasyna oficerskiego w Rehovot. Jako artysta grafik ilustruje i zdobi Terlecki czasopismo dla młodzieży „Skaut”, wykazując w umiejętnym zestrojeniu czerni i bieli arabeski, w czystości i ostrości kreski wysoki poziom rzemiosła. Liczne prace olejne świadczą o rozległości skali poszukiwań Terleckiego w zakresie problemu światła i koloru.

Na prace te składają się portrety, jak portret gen. Jarnuszkiewicza, portret pisarza Janusza Jasińczyka, portrety: J.K. i pani G.; kompozycje, martwe natury i kwiaty, utrzymane często w świadomie ograniczonej gamie błękitów i czerwieni. Brak odpowiedniej pracowni uniemożliwia mu studia nad rzeźbą, co nie zamyka resztą całokształtu zainteresowań tego artysty. Prace Terleckiego w zakresie teorii sztuki — to rozprawy: „Celowość estetyki i tolerancja form” oraz „Formy w zespołach barwnych i barwy form osamotnionych”. Pierwsza z tych rozpraw omawia problemy akcji, formy i statyki (estetyki obiektu w sztuce), druga zajmuje się problemami tego rodzaju, jak nowa rzeczowość i afunkcjonalizm w sztuce, deformacja, relacje temat-warsztat, dialektyka przestrzeni i różne stopnie afunkcjonalizmu w sztuce średniowiecznej.

Zmarła w r. 1945 malarka polska, z pochodzenia Holenderka, Egga van Hardt rozpoczęła swą twórczość od kontrastów czarno-białych. Poszukiwanie sensacji poprzez nowe podejście do problemów malarskich i nowy wyraz daje w jej sztuce, poza interesującym i osobistym stosunkiem do formy i koloru, takie kontrasty, jak płomienna gama obrazów olejnych i bezbarwne plamy rysunku parafiną na białym papierze, widoki z lotu ptaka i wyszukane skróty perspektywiczne. Dekoracyjna i koszmarna zarazem linia czarnych arabesk nasuwa myśl o odległym i podświadomym, być może, powinowactwie jej wizji z sztychami Brueghela i Boscha.

Jadwiga Prażmowska po ukończeniu Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie poświęciła się sztuce dekoracyjnej. W zrozumieniu doniosłości roli społecznej rzemiosła artystycznego i szkół zawodowych, pracuje nad ich organizacją nie zaniedbując przy tym poszukiwań nowych dróg

techniki dekoracyjnej, jak np. rzeźba w papierze, tkaniny „Ładu” itp.

Na Śr. Wschodzie współpracuje ze Związkiem Harcerstwa wykonując w obozie junaków obozowe dekoracje teatralne do sztuk „Straszny dwór” i „Halka” oraz szopkę z kukiełkami. W Jerozolimie dziełem jej jest ołtarzyk dla Związku Harcerstwa, albumy pamiątkowe, dewocjonalia na szkle i inne prace dekoracyjne.

♣

Przez Śr. Wschód przewinęła się w latach 1943—1944 fala wystaw artystów, którzy po opuszczeniu tych terenów znaleźli w 2 Korpusie odpowiednie warunki rozwojowe, w postaci organizacji grupy plastyków, pomocy materialnej w organizacji wystaw, urlopów na studia malarskie, pracowni itp. Artyści ci — to Józef Czapski, Józef Jarema, Stanisław Westfalewicz, Zygmunt Turkiewicz i Henryk Siedlanowski. Inni, jak Edward Matuszczak, Jerzy Młodnicki, Kordian Zamorski, Władysław Krzyżanowski i Janina Wolff Bogucka pozostali na Śr. Wschodzie. Wystawy te, świadcząc o żywotności i wysokim poziomie malarstwa polskiego, spełniały doniosłą rolę propagandową, mówiąc lepiej niż setki broszur — czego dowodem są liczne recenzje w prasie angielskiej, francuskiej i hebrajskiej — o żywym i istotnym związku naszej kultury z kulturą Zachodu.

Spośród tych artystów, którym służba wojskowa ograniczyła z natury rzeczy działalność artystyczną, należy wymienić Jerzego Młodnickiego, dziełem którego jest pomysłowy układ graficzny i estetyczny wygląd dwutygodnika „Parada”. Rysunki w tęczynie i barwne okładki, interesujące i cięte, każą żałować, że talent Młodnickiego nie mógł się wypowiedzieć w szerszej skali, z powodu pracy redakcyjnej.

Lwowianin, Władysław Krzyżanowski, znany z licznych wystaw w Polsce, łączy wysoką kulturę artystyczną i ogólną z sumiennością i szczerością wobec zagadnień malarskich, o czym świadczą jego studia nad pejzażem palestyńskim i martwej natury. Swoje stanowisko wobec zagadnień artystycznych usiłuje przekazać swym uczniom ze Szkoły Kadetów i Szkoły Junaków, wychodząc z założenia, że znajomość rysunku i problemów malarskich w związku z historią sztuki jest nie tylko ważnym czynnikiem wychowawczym, ale

EMIGRACYJNA MŁODZIEŻ

Likwidowanie skutków zakończonej wojny w Europie, zmagania się dyplomatów o stworzenie choćby pozorów tego, co można by nazwać pokojem, walka świata zachodniego z zachłannością sowiecką, która wszystkimi środkami zdąża do utrwalenia swej ekspansji i do stworzenia stanu stabilizującego chwilo- we jej zdobycze czasu wojny — wszystko to stworzyło okoliczności, które radykalnie i zasadniczo zmieniły warunki naszego uchodźstwa. Z emigracji wojennej, wywołanej początkowymi klęskami w prowadzonej z Niemcami walce i koniecznością przeniesienia zmagania zbrojnych poza granice Kraju — **stajemy się emigracją wybitnie polityczną**. Ten proces trwa już od przeszło roku, a ostatnie jego aspekty, wydaje się, zakańczają go definitywnie. Likwidacja samodzielnych polskich oddziałów zbrojnych, demobilizacja 2 Korpusu i jednostek niezależnych od administracji warszawskiej jest bo-

daj ostatnim etapem życia uchodźstwa wojennego: z chwilą zdemobilizowania ostatniego oddziału Polskich Sił Zbrojnych wszyscy stajemy się emigrantami wyłącznie politycznymi. Przy tym nie tylko dlatego, że odmowa powrotu do Kraju w obecnym jego stanie faktycznej okupacji zostaje powodowana przyczynami wyłącznie politycznymi, lecz i dlatego również, że ta odmowa **ma polityczne założenia i cele**. Wbrew bowiem rzuca- nym insynuacjom nie chcemy powracać do Kraju bynajmniej nie z lęku przed trudnymi warunkami egzystencji, nie z obawy o niedojadanie, brak mieszkań, odzieży, nie z racji ogromu czekających nas w Kraju trudów i gospodarczych prywacyj: decyzja nasza pozostawania poza Krajem wywołana jest przeświadczeniem, że pracować w Kraju dla Kraju nie pozwolą nam warunki okupacji; że żaden wysiłek czy poświęcenie nasze nie będzie owocne

stanowi niezbędny warunek w uzyskaniu kultury europejskiej.

Ten pobieżny rzut oka na działalność naszych artystów na Śr. Wschodzie nie rości sobie pretensji do zamkniętej całości. Załować należy, że nie występowali oni w zwartej grupie — co, być może, rozwiązałyby niemało trudności i pozwoliło na stworzenie ram organizacyjnych.

Janina Wolff Bogucka

* * *

Autorka tego szkicu, Janina Wolff Bogucka pracuje w wojsku od r. 1942. O jej — świadomej swych dróg i form wypowiedzania się — twórczości malarskiej świadczą prace z wystaw w Bagdadzie, Palestynie, Kairze, Aleksandrii i Rzymie. Widać w nich dążność do ścisłego formułowania reakcji malarskiej na świat zewnętrzny. Praca codzienna w wojsku przerwała ciągłość jej pracy malarskiej, ograniczając ją do dekoracji teatralnych, okolicznościowych, świetlic, kasyn, wystaw itp.

Jako korektorka i graficzka pracuje od r. 1944 projektując w tym czasie Kalendarz APW, afisz „Walczymy”, znaczki pocztowe, okładki, jak: „Polskim szlakiem, cz. III.”, „Ota- wa” — Obertyńskiej, „Po Narwiku był Tobruk” — Jasieńczyka, „U źró-

deł polskiej idei federacyjnej” — Bączkowskiego, „Puszcza jodłowa” oraz „Wszystko i nic” — Żeromskiego, „Młodość” — Conrada, „Dzieje ziemi pomorskiej” — ks. Kantaka, „Pod znakiem półksiężyca” — Rajkowskiego, „Życie polskie w dawnych wiekach” — Łozińskiego. Pracuje również nad układem typograficznym pism „Junak” i „Mały Junak” — wykonując do nich liczne ilustracje i ozdobniki.

W czasach przedwojennych, po ukończeniu lwowskiej Szkoły Przemysłu Art. i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, w pracowniach prof. Pankiewicza i Kowarskiego, wyjeżdża na dalsze studia do Paryża, gdzie pracuje bądź to pod kierownictwem prof. Pankiewicza, bądź samodzielnie, ucząc się zarazem grafiki użytkowej w wielkich paryskich „Ateliers de publicité”. Wystawia w Paryżu, Warszawie — w I.P.S. — w Krakowie i Lwowie. W Kraju — pracuje na Wawelu, restaurując słynne namioty Jana III w sali poselskiej, interesuje się teatrem, wykonując dekoracje i kostiumy do „Wyzwolenia” Wypiańskiego grane- go w I.P.S. w Warszawie, projekty polichromii mauzoleum i prace nad dekoracją wnętrza w Wiśniowej itp.

dla Polski; że — wreszcie — mamy do odegrania i wypełnienia na obczyźnie zadania, których w Kraju wykonać nie zdołamy, a które dla jego dobra, przyszłości i pożytku muszą być przez nas wypełnione. To decyduje o naszym postanowieniu, to przetwarza nas w emigrację polityczną.

* * *

Tę część naszej emigracji, którą losy wojny rzuciły na Śr. Wschód, a głównie do Palestyny, oczekuje w najbliższym czasie wielka przemiana, wstrząs w dotychczasowym sposobie życia, pracy i formach organizacyjnych. Wiadomo, że najbliższe miesiące, czy nawet tygodnie przyniosą nam konieczność likwidacji pobytu tutaj i przeniesienia się na teren Anglii, w warunki wielce odmienne, inne środowisko, w inny klimat — nie tylko w sensie fizycznym. Nie przesądzając już dziś oczekujących nas trudności, można stwierdzić jednak już teraz, że grozić nam może załamanie się form tego życia, które z wielkimi wysiłkami i trudem zdołaliśmy wytworzyć, unormować i rozwijać w założeniu, że emigracja nasza jest uchodźstwem czasowym, że organizujemy wszystko tak, jak gdybyśmy mieli pewność niedługiego powrotu do Kraju i kontynuowania prac tu prowadzonych. Pod tym hasłem szybkiego powrotu do ojczyzny tworzyliśmy wszystko, w tym założeniu budowaliśmy każdą z form zbiorowego życia.

Na przykład — najbardziej na przyszłe potrzeby Kraju nastawiona praca w dziedzinie kształcenia i wychowania młodzieży była tak prowadzona, by każdego niemal dnia można było przerzucić organizacyjne jednostki do Kraju i — niemal bez wstrząsów — prowadzić je dalej na podstawie niezmiennych doktryn wychowawczych i dydaktycznych założeń. Dokonywująca się ostatnio przemiana charakteru naszej emigracji zmusi nas szybko do całkowitej rewizji naszych poglądów — co prawda nie w dziedzinie ideologicznych założeń, ale w formach kształcenia, sposobach praktycznego przygotowywania do życia, w przewidywaniach praktycznych ujęć i celów nauki. Ponieważ nie wszystko dziś jeszcze przewidzieć możemy, nie wszystko jest i prędko stanie się jas-

nym w sprawie oczekujących nas warunków na nowych miejscach pobytu — pożyteczną, a nawet konieczną jest rzeczą, byśmy dobrze zdali sobie sprawę z czym, z jakim dorobkiem w każdej dziedzinie naszego życia idziemy na nowe drogi naszej wędrówki. A jeśli uznajemy to za konieczne w każdej dziedzinie, to tym bardziej winniśmy wiedzieć, gdzie się znaleźć i w sprawach wychowania, kształcenia i przysposobienia do życia naszej młodzieży. Właściwa i prawdziwa odpowiedź na to zagadnienie nie tylko może nam wskazać kierunkowe dalszych w tym dziele życia polskiego prac, ale zapobiegnie niejednym błędom i błędzeniu w szukaniu nowych, najlepszych dróg. Najniebezpieczniejsze bowiem byłyby improwizacje tam, gdzie doświadczenia i wypróbowane wzory dają wskazania życiowe praktyczne i użyteczne. Nie idzie tu przy tym o propagowanie jakiegoś skostniałego konserwatyizmu w edukacji, ale o niezrywanie polskiej pedagogicznej tradycji. Uważamy tę sprawę za niestychanie ważną, gdyż mniej szkody dla przyszłości narodu przynosi doktrynerstwo w jakiegokolwiek dziedzinie życia społeczeństwa, niż może je przynieść w świecie kultury narodu. Ewolucja form kształcenia, wprowadzanie do założeń wychowawczych nowych elementów, zgodnych ze zmieniającymi się formami życia — to rzeczy potrzebne, niezbędne, konieczne; ale odrzucanie wszystkiego od podstaw, na których wyrastał stuleciami gmach naszego dorobku w życiu kulturalnym, w świecie wartości umysłowych i moralnych, przerywanie żywych w narodzie więzi, łączących świat przeszłości z teraźniejszością i przyszłością — może się stać zbrodnią dokonywaną na żywym tworze duchowego oblicza Polski. Polska nie zaczęła się dziś, nie skończyła się wczoraj, w czasie katastrofy roku 1939: trwa ona poprzez stulecia — mimo zmieniające się formy życia, przesunięcia socjalne, zmiany gospodarcze, a nawet ustrojowe. Jest bowiem w naszym, jak w każdym zresztą narodzie, pewna suma wartości, wyodrębniających go spośród innych, stanowiących jego oblicze duchowe, jego dumę i tytuł do własnego imienia i chwały. Te wartości, włączające nas w świat cywilizacji zachodnich, musimy i winni-

my zachować w każdych warunkach — pod groźbą starcia z oblicza ziemi samego imienia Polski.

* * *

Te mianowicie założenia kierowały odpowiedzialnymi ośrodkami życia naszej emigracji przy organizowaniu wychowania i kształcenia młodzieży na Śr. Wschodzie. Masowo rozumiana praca rozpoczęła się z chwilą powrotu z Rosji licznych rzesz młodzieży i dzieci, którymi zaopekowało się wojsko opuszczające wrogi świat Sowieków pod dowództwem gen. Andersa. Już w Iranie powstały wielkie organizacje opieki nad młodzieżą, których zadaniem było przede wszystkim powrócenie życiu wyniszczonej i owładniętej wszystkimi możliwymi chorobami młodzieży. Rychło zarówno tam, jak i w Palestynie, a częściowo i w Egipcie poczęto wraz ze stabilizowaniem się warunków uchodźczego życia organizować sieć szkolną, obejmującą najróżnorodniejsze typy szkół, od przedszkoli aż do organizacji studiów na wyższych zakładach. Objęto organizacją wychowania wszystką młodzież — bądź w szkolnictwie prowadzonym przez wojsko, bądź w szkolnictwie cywilnym.

Założenia tej organizacji, powstałej na szerszą skalę w r. 1942, były logiczne i proste. Patrząc na ówczesne warunki jako typowe dla emigracji wojennej, postanowiono dążyć do dwóch celów: starszą młodzież, zarówno męską, jak żeńską, przygotować co rychlej, jako niezbędną uzupełnienie oddziałów armii polskiej, do natychmiastowej walki prowadzonej z Niemcami w toku jeszcze odbywającej się wojny; młodszą również przygotować do walki, jaka mogła — w miarę rozwoju sytuacji — nie być już nawet zbrojną, ale musiała być prowadzoną aż do całkowitego zwycięstwa, pod którym rozumiano osiągnięcie prawdziwej niepodległości, wolności i niezależności od jakiegokolwiek okupanta. W najlepszych warunkach nawet należało liczyć się z tym, że Kraj, do którego wszyscy pragnęliśmy powrócić, będzie wymagał pracowników ideowych, zahartowanych, zaprawionych do pokonywania trudności i przysposobionych do życia w trudnych, powojennych warunkach. Logicznie wynikało z tych założeń, że życie nasze na emigracji

należy uważać za chwilową przerwę w ciągłości niepodległego bytu narodu i że trzeba się tak w ciągu tej przerwy zorganizować, by z najmniejszymi trudnościami można się było włączyć w nurt życia krajowego, jako doraźnie tylko i chwilowo oderwana częśćka integralnej całości narodu.

Założenia te były słuszne, przemyślane, rozumne. Wynikały z nich pewne konsekwencje, które prowadziły do starań, by naszej młodzieży rzuconej w obce środowisko zapewnić możliwość rozwoju i kształcenia w rodzimej atmosferze dla polskich rodzimych celów i zadań. Stąd i doktryna wychowawcza oraz dydaktyczna została zachowana ta sama, na jakiej — po ostatniej reformie szkolnictwa w r. 1932 — opierał się i fundował nasz ustrój szkolny, jego założenia i cele.

Praktycznie urzeczywistniono te zamierzenia przez budowę sieci przedszkoli, szkół wszelkich typów, kursów zawodowych i dokształcających. Najsilniej w tej pracy zaważyło wojsko. Pod koniec 1942 r., gdy do Palestyny napłynęła masowo młodzież z Rosji, którą stamtąd uratowało wojsko, powstaje organizacja szkół junackich. Rosnąc z drobnego zaczątku w Bashit, obejmuje — przy życzliwej opiece władz brytyjskich — wielkie obozy wojskowe (Qastina, a następnie Barbara) oraz częściowo lokuje się — zgodnie z potrzebami — oddzielnymi szkołami w szeregu obozów brytyjskich. Powstają szkoły powszechne, średnie ogólnokształcące (kadecka), zawodowe — głównie rzemieślniczo-techniczne, które z czasem przekształcają się w techniczne gimnazja, powstają szkoły kupieckie, a nawet liceum drogowe. Obok szkół męskich równolegle rozbudowuje się szkolnictwo żeńskie.

Szkoły żeńskie tworzą wielki ośrodek kształcenia dziewcząt w Nazarecie, gdzie pod jednolitą organizacyjnie komendą pracują szkoły najróżnorodniejszego rodzaju. Obok szkół ogólnokształcących — powszechnej i średniej — mamy i liceum pedagogiczne, i gimnazjum kupieckie, i inne szkoły zawodowe dla dziewcząt. Szereg abiturientek tych szkół pracuje już samodzielnie, dobrze prezentując ukończone szkoły zarówno pod względem zawodowego przygotowania, jak i wyrobienia życiowego oraz ideowej postawy.

Poza szkołami sensu stricto liczny szereg młodzieży przeszedł przez doraźnie tworzone przez Dowództwo Szkół Junackich kursy, jak kierowców samochodowych, wulkanizatorów, telekomunikacyjne (łączności) itp. Jedne z tych kursów powstawały wywołane potrzebami wojny i koniecznością uzupełnień szeregów armii, inne miały na celu przygotowanie do zawodów przydatnych i w czasie pokoju.

Liczbowo osiągnięcia są bardzo poważne. Dotychczas przeszło przez szkoły junackie ponad 5000 młodzieży, wydano przeszło 3000 świadectw legitymujących ukończenie szkół powszechnych, 961 świadectw ukończenia gimnazjum, matur licealnych 346, świadectw czeladniczych 273, świadectw ukończenia różnych kursów dla specjalistów wydano 460, nie licząc kierowców samochodowych i absolwentów kursów języka angielskiego.

Nie będzie też rzeczą błahą wskazanie, że 2500 młodzieży wstąpiło do wojska w okresie, gdy 2 Korpus pilnie potrzebował uzupełnień.

Szkoły cywilne liczebnie przedstawiały znacznie słabszy rozwój. W okresie maksymalnej rozbudowy (lata 1944/45) istniały cywilne szkoły powszechne i średnie ogólnokształcące w Tel-Awiv, Jerozolimie i Ain-Karem, przy czym ostatnia, najliczniejsza, kształciła corocznie w liceum, gimnazjum i szkole powszechnej przeciętnie około 200 dzieci. Liczne maturzystki i maturzyści tych szkół weszli już do życia praktycznego, część zaś kontynuuje studia w wyższych zakładach, głównie w Bejrucie.

W pracy szkół poważną część zadań wykonywało harcerstwo. Szczególnie w szkolnictwie cywilnym harcerstwo wypełniło tę lukę, jaką tworzyły braki w wychowaniu pozaszkolnym, a częściowo nawet ściśle domowym. Emigracyjne bowiem warunki życia rozbiły bądź też często zniszczyły zupełnie dom rodzinny. Braki mieszkaniowe, zubożenie opieki domowej, zmniejszenie możliwości wpływania na młodzież przez oddziaływanie środowiska towarzyskiego — co było istotne i zasadnicze w wychowaniu w stosunkach krajowych — wszystko to pomniejszyło i zredukowało momenty wychowania poza klasą i szkołą. Harcerstwo podjęło na oświatę tę pracę, szczególnie cenną w okresach dłuższych przerw w nauce, w czasie wa-

kacyj. Obozy wypoczynkowe harcerskie dały w tym zakresie bardzo wiele, zarówno w sensie rozwoju fizycznego i dobrych warunków wypoczynku (obozy nadmorskie i w górach), jak i kształcenia charakteru i ustosunkowania się do życia, jego zjawisk, otoczenia, obowiązków itp. Nic też dziwnego, że harcerstwo emigracyjne rozrasta się liczebnie bardzo silnie, a palestyński jego ośrodek wziął batutę nad kierunkiem skautingu na całym Środkowym Wschodzie i w Afryce, nie rezygnując zresztą z wpływów i na inne skupienia uchodźcze.

Wpływ harcerskiej palestyńskiej prasy objął zasięgiem niemal całą emigrację, gdyż zarówno „Skaut”, jak i „Kuznica Harcerska” (dawniej „Harcerstwo”) docierają wszędzie, gdzie skupia się polska młodzież i polska starszyna harcerska.

O ilościowym nasileniu pracy harcerskiej może powiedzieć liczba czynnych harcerzy i harcerek, która w samej Palestynie obejmuje niemal 700 osób — młodzieży, a ogólnie — w zasięgu całej emigracji — niemal 13 tysięcy przy 2½ tysiącu zrzeszonych w kołach przyjaciół harcerstwa.

Celowość tych założeń usprawiedliwiło życie. Istotnie, tysiące naszej młodzieży, szczególnie ze szkół junackich, wzmocniło armię polską, wnosząc do szeregów młody zapas nowego pokolenia. Świadectwa głoszone ustami bojowych przełożonych i liczne mogiłki rozsiane po Włoszech mówią aż nadto przekonująco, że pierwsza część zadania została przez emigrację na odcinku pracy nad młodzieżą wykonana — i to bez zarzutu. Młodzież szła chętnie, ofiarnie, wypełniając luki wywołane w szeregach przez boje i straty.

Trudniejszym do sprawdzenia wynikiem pozostaje druga część postawionego przed młodzieżą zadania — zadania przygotowania się do dalszej walki nawet w obecnych, zmienionych przez zakończenie wojny warunkach.

Hasła i założenia tego przygotowania nie odbiegały zasadniczo od fundamentu, na jakim oparto wychowanie młodzieży w czasie wojny — dla prowadzenia tej wojny. Zakończenie wojny w Europie i związane z tym polityczne koncesje Sprzymierzonych na rzecz Sowieców, wyrażające się w akceptacji nowego rozbioru państwa i poddaniu go supremacji Rosji w charakterze jed-

nego z satelitów, a — co najważniejsze — utworzenie z agentów sowieckich uznanego przez większość politycznego świata pseudorządu Polski — doprowadziły do konstatacji, że dla Polski wojna się nie skończyła. Celem bowiem walki rozpoczętej w r. 1939 było uwolnienie Polski od sił obcych, od wszelkiej okupacji, nie tylko niemieckiej. Zamiana zaś jednego okupanta na innego, choćby zakamuflowanego, nie mogła być uważana za wynik, za który warto było płacić 6 latami walk, 7-milionową ofiarą ludzi, niesłychanym gospodarczym wyniszczeniem Kraju oraz nieludzkimi wprost prywacjami, wśród których warto obok Oświęcimia, Majdanka itp., obok tortur Gestapo i niewolnictwa przymusowej pracy w Niemczech, wymienić również łagry sowieckie, więzienia, niemal dwumilionową deportację polskich obywateli, a wreszcie i Katyń, Kołymę itp. Nic też dziwnego, że przed kierowniczymi i odpowiedzialnymi czynnikami emigracji stanęło pytanie, jak pokierować tysiącami młodzieży w tych zmienionych politycznie warunkach.

Dojrzałe w tych okolicznościach decyzje mogły być tylko takie, które kierowały młodzież na drogę przygotowania do dalszej walki w okolicznościach tym trudniejszych, że w osamotnieniu, bez sprzymierzeńców, często pod zarzutem wygodnictwa, a prawie zawsze przy zupełnym niezrozumieniu przez otoczenie powodów i celów decyzji pozostawania poza Krajem. W zrozumieniu tych trudności i wielkiej odpowiedzialności bardzo dopomogła sama młodzież. Przyśpieszona przez okoliczności zewnętrzne jej dojrzałość pozwoliła na wydobycie z niej elementów niezłomności i wytrwania, pozwoliła na wnikliwe skonstatowanie, że istnieje wielki obszar prac i zadań, które mogą i muszą być wykonane przez Polaków, przebywających poza Krajem, dla tych, którzy się w Polsce znajdują. Zadania te liczne, natury najczęściej politycznej, nie wyczerpują się bynajmniej w formach demonstracyjnych protestu, jakim jest sam fakt emigracyjnej decyzji i odmowy powrotu do Kraju. Decyzja ta jest tylko zewnętrzna forma zawierająca te treści, że obecna emigracja nie zamierza zakończyć swego trwania przez oderwanie się od Kraju, wyodrębnienie,

stworzenie ciasnego światka osobistych egzystencji — przez niepłodne protesty i obrażanie się na rzeczywistość. Młodzież kierowana dotychczas w atmosferze czekającej ją walki została umocniona w przeświadczeniu, że ta **walka o Kraj, dla Kraju i w łączności z Krajem** zmienia tylko formy, zachowując całkowicie swą treść.

Uświadomienie sobie przez młodzież, że musi walczyć o **Kraj** wynika z rzeczywistej wiedzy o politycznym położeniu Kraju, z unaczynienia jej, że wróg Ojczyzny nie opuścił, że rządzi w niej nadal, narzucając polskiemu życiu obce mu formy, cele i porządki. Nasza młodzież została umocniona w ideałach swobody, równości powszechnej i poszanowania prawa wypływającego z własnych stanowień. Wiedząc zaś, że w Kraju panuje w tej chwili obca przemoc, uniemożliwiająca walkę o te ideały w jakiegokolwiek formie, zdecydowała szukać postaci tej walki poza granicami Ojczyzny. Decyzje te nie są przy tym bynajmniej czymś narzuconym, powierzchownym, lecz płyną z głębokiego nurtu ideowego, w jakim odbywało się wychowanie i kształcenie młodzieży. Świadczy o tym dobitnie wypowiedź Prezydenta R.P., zawarta w jednej z gawęd harcerskich, w której odzwierciedla się motyw i przyczyna pozostawania w tej chwili poza Krajem. Mówi się tu wyraźnie, że:

„Na ziemi obcej chcemy korzystać z tej swobody, która jest udziałem szczęśliwych ludzi Zachodu, jedynie po to, by strzec słusznych praw Rzeczypospolitej, by mówić za Polskę, za prawdę, za sprawiedliwość, gdy Naród w Kraju nie ma możliwości wypowiedzenia się”.

Sądzić należy, że dokument ten świadczy dostatecznie przekonująco, co i jak czuje dojrzewająca na obczyźnie młodzież. Powtórzenie tej wypowiedzi w gawędzie jest i dlatego dowodowe, że właśnie gawędy są jakby skondensowanymi opiniami panującymi wśród młodych.

Obok tego przeświadczenia o potrzebie walki o Kraj wolny i niezależny istnieje zrozumienie konieczności pracy **dla Kraju**. Istnieje szereg danych, że cały obszerny świat potrzeb nie znajduje warunków na wypełnienie go przez rodaków w Polsce. Weźmy choćby odcinek oświatowo-wychowawczy. Wiedomo-

PRZEGLĄD WYDARZEŃ

„WSPÓŁPRACA”

Na konferencji paryskiej sowiecka taktyka zwlekania i utrzymywania podziału świata na dwa bloki odniosła pełny sukces. Każda, choćby najmniejsza sprawa, była wałkowana przez dwa i pół miesiąca na różnych komisjach, podkomisjach i podpodkomisjach, bez żadnych pozytywnych rezultatów dla pokoju i jedności Europy.

Konferencja ta nie miała żadnych uprawnień faktycznych. Nasuwa się więc pytanie, po co konferencja paryska została w ogóle zwołana, skoro żadna z jej uchwał nie ma mocy obowiązującej? Gdzieś znikły znowu zasady demokracji.

Wielkie mocarstwa — Wielka Brytania i Stany Zjednoczone ponoszą nową winę za nowe oszustwo, dokonane wobec własnej opinii publicznej.

Na drugiej platformie „współpracy” międzynarodowej — w OZONIE — sytuacja nie przedstawiała się lepiej. Rada Bezpieczeństwa słusznie odrzuciła zażalenie Ukrainy, oskarżające Grecję o wrogosć zamiarów wobec Bułgarii.

Ści napływające mówią na przykład o tym, że znajdująca się w Kraju młodzież — mimo represje i ucisk — „często wyraża swe niezadowolone...”, że nauczycielstwo „nie potrafiło nadążyć za zmianami, jakie się w Kraju dokonały”, że „część nauczycieli, zwłaszcza ta, która kształciła się we Lwowie, bądź stamtąd pochodzi, nie może pogodzić się z pewnymi faktami historycznymi”, że nie „potrafią od razu przystosować się do wymagań nowej rzeczywistości”.*) Cytaty te wzięte z czołowego organu PPR, twórców „nowej rzeczywistości” w Polsce, mówią wyraźnie, że nauczycielstwo w jego wypowiedziach i oświeceniach dzisiejszych stosunków szkolnych ktoś musi zastąpić poza Krajem — ktoś, kto ma niezakneblowane usta i możliwość głoszenia poglądów bez strachu, że spotkają go za to szykany, a nawet pozbawienie swobody lub „zniknięcie”. Stąd młodzież nasza świadoma jest tego, że czeka ją wielka praca dla Kraju wypełniana za tych, którzy są „niemi” z przymusu.

*) Kuźnica nr 31 — sierpień 1946 r.

Niezwykle trafnie określił działalność OZONU memoriał 31 uczonych, polityków i dyplomatów, pochodzących z sześciu państw europejskich, przedłożony premierom i ministrom spraw zagranicznych wszystkich państw, należących do tej instytucji. Memoriał ten mówi, że w interesie pokoju należy stwierdzić, iż OZON nie rozwiązał w przeciągu roku swego istnienia żadnego problemu międzynarodowego.

W skład tej 31-osobowej komisji wchodziły ze strony brytyjskiej takie sławy, jak profesor Oliphant, ekspert z dziedziny badań atomowych, sir A. Fleming, znakomity bakteriolog i odkrywca penicyliny, oraz lord Vansittart, doskonały znawca Niemiec i ich wróg nieprzejednany. Ten „trust mózgów” ostrzegł świat, że sytuacja jest groźna, i na skutek niej domagał się dalekowzrocznych posunięć politycznych, stwierdzając co następuje:

1) obietnice poczynione podczas wojny nie zostały przez nikogo dotrzymane;

2) świat posiada nadal te same formy polityczne, które miał przed wojną, co nieuchronnie musi dopro-

Wreszcie i to młodzi rozumieją, że na emigracji muszą pozostawać z **Krajem w najściślejszej łączności**. Jedyną dla tego celu drogą jest w dzisiejszych warunkach dobra, szybka i prawdziwa o Kraju informacja. I może ta świadomość to robi, że młodzież łaknie informacji o Kraju, chciwie i łapczywie szuka jej z pierwszej ręki, nie fałszowanej przez propagandę. Czyta przeto wszystko, co przychodzi z Kraju, szuka, zestawia, pragnie odnaleźć w fałszu frazesów prawdę, rzeczywistość. Nie budzi w niej lęku i zdziwienia ogrom przemian w strukturze społecznej czy gospodarczej, odważnie przygląda się wielkim zmianom i przesunięciom, wczuwa się w nurt krajowego życia, w jego codzienny bieg, drobne nawet aspekty. Chce być bliska Krajo- wi, chce przez informację rzetelną **przeskoczyć czas i przestrzeń**, jakie ją od Polski odsunęły. Ale młodzież nasza na emigracji dojrzała jest bardziej niżby świadczył o tym jej wiek; zna niejedno zakłamanie, odróżnia wolny głos głoszący reformy, potrzeby zmian i ulepszeń — od obecnych dążeń doktrynerów niepolskich. Krytycznie patrzy na przymus i sfigo-

wadzić do nowej wojny; podział świata na coraz większą liczbę państw suwerennych stwarza coraz więcej przeszkód na drodze do osiągnięcia pokoju;

3) narody małe są pozbawione zupełnie głosu i znaczenia, na skutek czego szukają oparcia po stronie Zachodu lub Wschodu;

4) w wypadku poważnego konfliktu między wielkimi potęgami, OZON nie będzie mógł wojnie zapobiec;

5) nonsens OZONU polega na tym, że instytucja ta jest pewnego rodzaju trybunałem międzynarodowym, w którym jednak żaden z jego członków nigdy nie wyraził swej zgody na przestrzeganie obowiązujących ustaw i przepisów;

6) przyszła wojna rozpocznie się od inwazji bomb latających oraz oddziałów spadochronowych, zrzuconych ze statków powietrznych, przewyższających swą szybkością szybkość fal głosowych.

TŁO „WSPÓŁPRACY”

Szef brytyjskiego sztabu imperialnego, marszałek Montgomery, bawił w październiku w Stanach Zjednoczonych (po pobycie w Kanadzie), gdzie odbył rozmowy z gen. Eisenhowerem i prezydentem Trumanem. Chociaż na temat tych rozmów nie wany entuzjazm, odróżnia nędzę dnia codziennego od upodlenia ludzi słabych, pogardza obcym agentem, choćby z pochodzenia był on nawet Polakiem. I w ścisłej duchowej łączności z Krajem pozostaje poza jego granicami. Dla Kraju, dla walki o jego dobro i imię.

Taką jest młodzież emigracyjna, taką jest ta najcenniejsza i najdynamiczniejsza część politycznego uchochództwa. Ma przy tym wolę nie dać się rozproszyć, zachować środowisko własne, nie rozmienić ideału walki za cenę osobistej wygody i dostatku.

Ten dorobek uchochódzcy dający nowe szeregi zdecydowanych na bezkompromisową aż do końca walkę o Polskę wolną i niezależną jest pozycją najbardziej cenną, z jaką rozpoczynamy dalszą tułaczą drogę z Śr. Wschodu. Drogi tej szlaków nie znamy, nie znamy kolejnych etapów, warunków wędrówki; znamy tylko jej cel końcowy: jest nim Kraj, Kraj wolny, niezależny, rządzony prawem przez nas samych stanowiącym.

St. Świdorski

wydano żadnego komunikatu oficjalnego, to jednak jest publiczną tajemnicą, że dotyczyły one problemów wspólnej obrony przed Sowiecami oraz unifikacji amerykańskich i brytyjskich sił zbrojnych, proponowaną przez Churchilla w jego słynnej mowie, wygłoszonej w lutym br. w Fulton. Jeśli ten plan zostanie wprowadzony w życie, to wówczas obydwie armie będą posiadały identyczną organizację, to samo uzbrojenie i ten sam program wyszkoleniowy oraz jednaki ekwipunek. W ten sposób powstałaby gigantyczna machina wojenna o częściach łatwo wymienialnych. O potrzebie takiej unifikacji świadczy dobrze „serdeczne” stosunki, panujące między „wielką trójką”.

Jak owocna jest „współpraca” trzech wielkich mocarstw dla zabezpieczenia świata pokoju, świadczą trzy mowy, wygłoszone przez Byrnesa, Churchilla i Wallace’a.

Przemówienie Byrnesa w Sztutgarcie jest konsekwentnym rezultatem pierwszej fazy walki o Niemcy, wprowadzonej w stadium bardzo ostre przez Mołotowa na ostatniej paryskiej konferencji czterech ministrów spraw zagranicznych. Mołotow opowiedział się wtedy zdecydowanie za polityczną i gospodarczą unifikacją Niemiec — razem z zagłębieniem Ruhry i Saary.

Te sowieckie zalecanki do Niemiec zostały przerwane gwałtownie bardzo mocnym przemówieniem Byrnesa w Sztutgarcie, bijącym w swoim tonie i treści próby Mołotowa o kilka długości. Wyraźnie, w imieniu Stanów Zjednoczonych, Byrnes oświadczył, że Niemcy muszą być zjednoczone, że nie ma mowy o zabraniu im Zagłębia Ruhry i że polskie ziemie zachodnie muszą do Niemiec powrócić. Naród amerykański, oświadczył Byrnes, pragnie przyjąć z pomocą narodowi niemieckiemu w jego dziele odbudowy kraju i zajęciu przezeń **na powrót honorowego miejsca** wśród narodów świata.

Jeszcze dalej niż Byrnes posunął sprawę Churchill w swojej mowie w Zurychu, nawołując do ścisłej przymierza i bliskiej współpracy między Niemcami i Francją, a — co ważniejsze — uzależniając odrodzenie Francji od odrodzenia Niemiec.

Czytając te dwie mowy ma się wrażenie, że niebezpieczeństwo sowieckie musi być naprawdę groźne,

skoro Stany Zjednoczone i Wielka Brytania idą tak zdecydowanie na pozyskanie sobie swego wczorajszego wroga. Cała ta brudna gra odbywa się oczywiście kosztem Polski, której grozi rozbiór nowy, tym razem przez Anglosasów i Niemcy lub przez Niemcy i Sowiety.

Mowa Wallace’a, w której ten naiwny idealista, przez pomyłkę zajmujący się polityką, nawoływał do podziału globu na dwie strefy wpływów: sowiecką i amerykańską, wbrew swoim pseudosocjalistycznym zasadom uniwersalnej sprawiedliwości, i z oburzeniem potępił „imperializm” brytyjski, jako zarzewie przyszłej wojny, była biegunowo różna od wytycznych oficjalnej polityki amerykańskiej, nie mówiąc już o brytyjskiej. Nic też dziwnego, że wywołała ona natychmiast reakcję bardzo ostrą.

Odejście Wallace’a, ostatniego lewicowca Rooseveltowskiego New Dealu, z prawicowego rządu Trumana jest zmianą tak doniosłą, że niewątpliwie wywrze ona poważne skutki w Stanach Zjednoczonych. Wallace cieszy się dużą sympatią w lewicowych kołach robotniczych, specjalnie zaś w C.I.O. (Congress of Industrial Organizations). Ta federacja związków zawodowych liczy około 6 milionów zarejestrowanych członków.

* * *

Na niepomyślną sytuację międzynarodową, wytworzoną awanturami delegatów sowieckich w Paryżu, przemówieniami Byrnesa i Churchilla, rozmowami Montgomery-Truman-Eisenhower i dymisją Wallace’a, Kreml zareagował natychmiast. Głos zabrał Stalin, siejąc na nowo ferment i fałsz wśród opinii publicznej Anglii i Stanów Zjednoczonych.

Kłamstwa o możliwościach współpracy między Sowiecami a Wielką Brytanią mają ołumanić niemyślącą część społeczeństwa angielskiego.

Żądania ewakuacji wojsk amerykańskich z Chin miały spowodować zamieszanie w Stanach Zjednoczonych. Tu jednak Stalin spotkał się z odprawą Eisenhowera, który oświadczył iż liczba wojsk amerykańskich w Chinach jest tak mała, że nie można ich nawet nazwać armią okupacyjną. Wiceminister spraw zagranicznych rządu chińskiego oświadczył ze swej strony, że wojska te pozostają w Chinach za zgodą rządu,

gdzie udzielają wydatnej pomocy przy repatriowaniu Japończyków. Truman, proszony o skomentowanie mowy Stalina, odpowiedział bardzo zwięźle, że mowa to mówi sama za siebie. Mowę Stalina należy oceniać jako działanie na zwłokę.

„WSPÓŁPRACA” NA TERENIE PERSJI

Sowiety opanowały Azerbejdżan ani myślą o ustępstwach i wszystkie rozmowy przedstawicieli autonomicznego Azerbejdżanu z rządem perskim kończą się każdorazowo fiaskiem. Sukces Sowietów zaniepokoił Anglików... Za ich przykładem usiłują stworzyć podobną sytuację w prowincji Kuzystan, na południu Persji, gdzie mieszczą się szybki naftowe spółki anglo-perskiej i gdzie biegnie rurociąg do portu Korramszar, położonego tuż przy granicy Iraku, obok Basry.

Przez kilka tygodni w Kuzystanie i sąsiedniej prowincji Fars trwały krwawe walki. Książę Firusz, do niedawna minister prasy i informacji w rządzie Sułtaneh, a obecnie ambasador w Moskwie, „wykrył” „straszny” spisek antyrządowy w Ispahanie, planujący *coup d'état* i rozbór Persji. Aresztowania objęły setki ludzi, ale sytuacja wcale przez to nie uległa zmianie. 24 szejków arabskich z Kuzystanu zażądało ustąpienia rządu z wyjątkiem premiera Sułtaneh oraz zwróciło się z apelem do Ligi Arabskiej o pomoc dla swoich narodowych i niepodległościowych aspiracji.

Wszystkie żądania ludności zostały uwzględnione i jeśli autonomizacja Persji pójdzie dalej w tym samym tempie, to niedługo rząd w Teheranie nie będzie miał żadnej efektywnej władzy w kraju.

Wśród satelitów Sowietów i Wielkiej Brytanii „współpraca” nie przedstawia się o wiele lepiej. W Grecji po referendum, które rozstrzygnęło o powrocie króla, rząd przystąpił do ostrej czystki wśród elementów lewicowych. W Jugosławii, Bułgarii i Albanii szkolą się komuniści rodzimi i greccy — na co rząd brytyjski posiada dowody — otrzymują broń i ekwipunek, wdzierają się na terytorium Grecji i po walkach wracają za granicę na odpoczynek.

W październiku generał Eisenhower dokonał inspekcji wojsk amerykańskich stacjonowanych w okrę-

gu Wenezja Julia i w przemówieniu do żołnierzy zaznaczył, że wojska Stanów Zjednoczonych muszą w Europie pozostać.

W tymczasem Jugosławia w szybkim tempie staje się nową republiką sowiecką. W Moskwie dawna mecenasno przez dłuższy okres czasu misja jugosłowiańska dla zapoznania się z metodami nowoczesnego kołchoźnictwa, w celu podniesienia wydajności kołchozów w Jugosławii. Tito samie ostatnią opozycję przez wyrok na prymasie Jugosławii — Stjepinacu, skazując go na szesnastolat ciężkich robót. Razem z nim zostaje skazanych wielu innych księży rzymskokatolickich, w drugim zaś procesie, w Słowenii, trwającym w tym samym czasie, Tito niszczy duchowieństwo słoweńskie.

Sprawa Turcji, która coraz wyraźniej wchodzi w orbitę anglosaską, stając się w rzeczywistości satelitą Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, rozgorzała przez pewien czas na nowo. Sowiety zasypały Ankarę notami, żądając baz dla siebie w cieśninach oraz kontroli nad Bosforem i Dardanelami. Turcja, czując za sobą mocne poparcie Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, które zgodnie odpowiadają Sowietom na ich noty, trzyma się bardzo dobrze. Ostatnia nota rządu tureckiego odrzuca propozycje sowieckie, proponując ze swej strony zwołanie konferencji sygnatariuszy konwencji w Montreux — z udziałem Stanów Zjednoczonych.

SYTUACJA WE FRANCJI

Dnia 13 października wyborcy francuscy przyjęli większością 37% głosów nową konstytucję, której sprzeciwił się gen. de Gaulle. W głosowaniu brało udział 16 mil. wyborców, a 8 mil. wstrzymało się od głosowania. Konstytucję opracowały trzy główne partie: M.P.R., komuniści i socjaliści.

Nowa konstytucja różni się zasadniczo od projektu pierwszego tylko tym, że wprowadza parlament dwuizbowy. Ale Francja nadal rządu silnego mieć nie będzie, istotna bowiem władza wykonawcza oraz prawodawcza spoczywa w rękach deputowanych izby niższej, zwanej **zgromadzeniem narodowym**. Izba wyższa — **rada republiki** — posiada jedynie uprawnienia zatwierdzania ustaw uchwalonych

przez izbę niższą oraz proponowania zmian w projektach ustaw, znajdujących się w izbie niższej. Prezydent, wybierany co siedem lat przez obydwie izby, minuje premiera. Parlament jest wybierany na lat pięć.

Zwycięstwo komunistów i wzrost mandatów prawicy podzieliły Francję wyraźnie na dwa bloki. Jest więc ona nadal skazana na słabość i konflikty wewnętrzne.

SPRAWIEDLIWOŚCI NIE STAŁO SIĘ ZADOŚĆ

Jedenastu przywódców hitlerowskich Niemiec, z których dziesięciu powieszono, a jeden odebrał sobie życie w ostatniej chwili, było oskarżonych o cztery zbrodnie:

1) konspirację w celu popełnienia zbrodni wojennych i zbrodni przeciw człowieczeństwu;

2) zbrodnie przeciw pokojowi i przygotowanie wojny agresywnej przez pogwałcenie traktatów, układów i wszelkiego rodzaju zobowiązań międzynarodowych;

3) zbrodnie wojenne, popełnione z pogwałceniem konwencji haskiej i genewskiej;

4) zbrodnie, popełnione przeciw człowieczeństwu.

Musimy pominąć tutaj aspekt prawno-filozoficzny procesu norymberskiego, gdyż jest to zagadnienie, wymagające omówienia bardzo obszernego — i to przez najwybitniejszych socjologów, filozofów i prawników całego świata.

Proces i wyrok są niezaprzeczonym faktem. Musimy więc na nim się oprzeć i wskazać na kłamstwa i fałsz, otaczający ten rewolucyjny precedens od samego początku. Jeśli przywódcy Niemiec winni byli konspiracji w celu przygotowania zbrodni wojennych i zbrodni przeciw człowieczeństwu, to tej samej zbrodni winni są ci, którzy ich sądzili, na czele ze Stalinem. Jeśli skazani Niemcy zostali uznani za zbrodniarzy wojennych, którzy pogwałcili wszelkie umowy międzynarodowe, to takimi samymi zbrodniarzami są przywódcy Sowietów.

Ambasador Bullit w swojej książce pt. *The Great Globe Itself* wyliczył, że Sowiety pogwałciły więcej traktatów niż Niemcy. Ale w naszej pamięci pozostanie szczególnie silnie pogwałcenie tych wszystkich traktatów, które Sowiety podpisały z Polską, poczynawszy od ryskiego a skoń-

czywszy na nieszczęsnym traktacie lipcowym — Sikorskiego. Równie dobrze będziemy pamiętali o pogwałceniu przez Sowiety ich traktatów z Finlandią, na którą napadły zaraz po Polsce, oraz o zdeptaniu ich umów z państwami bałtyckimi. Sprawiedliwości nie stało się zadość i nie stanie — dopóki przed trybunałem międzynarodowym, reprezentującym wszystkie wolne narody świata, nie zasiądą oprawcy z Kremła ze Stalinem, Mołotowem, Wyszyńskim, Beringiem i pozostałymi członkami Politbiura na czele.

Mniejszą sprawą w procesie norymberskim, która również urąga sprawiedliwości, jest uniewinnienie Papena, Schachta i Fritschego. Ta trójca: dyplomata, ekonomista oraz propagandysta winni byli wisieć razem z pozostałymi nazistami. Ale walka o Niemcy trwa i, być może, doczekamy się chwili, kiedy ci trzej zbrodniarze będą mogli stać się komuś potrzebnymi.

TAKTYKA SOWIETÓW I POLITYKA ANGLII

W kilka dni po pokojowym przemówieniu Stalina w Berlinie doszło do zawarcia porozumienia między dowódcami sił okupacyjnych. Na mocy tego układu sowiecka strefa Niemiec otrzyma w zamian za zboże: stal, żelazo, materiały tekstylne i chemikalia. Jednocześnie zawarto układ w sprawie zniszczenia niemieckiego potencjału wojennego w trzech strefach okupacyjnych. Układ ten przewiduje utworzenie mieszanej komisji kontrolnej, która dokona inspekcji fabryk, przeznaczonych na zniszczenie. Trudność w wykonaniu tego układu polega na tym, że listy zakładów przemysłowy, przeznaczonych na zniszczenie, mają być sporządzone przez odnośne dowództwa wojsk okupacyjnych, a następnie zatwierdzone przez Radę Kontrolną. Zanim do tego dojdzie i o ile dojdzie w ogóle, na pewno wiele czasu upłynie, pozory zaś ustępliwości i chęci współpracy ze strony Sowietów zostaną ponownie stworzone.

Stosując tę metodę na przemian z agresją polityczną, Sowiety są na drodze do wygrania wyścigu zbrojeń: przez zyskanie czasu, potrzebnego na reorganizację armii i przemysłu, oraz na zdobycie własnych broni atomowych.

Mowę Stalina wzmocniła rozgło-

śnia moskiewska, zwracając się z apelem do Wielkiej Brytanii o ściślejszą współpracę z Sowietami. Współpraca handlowa między Sowietami a Anglią została już na jednym odcinku zrealizowana przez udostępnienie rynkom Anglii bawełny sowieckiej.

Z różnych posunięć dyplomatycznych i taktycznych widać, że taktykę zwłoki i stwarzania pozorów współpracy nastawiły Sowiety obecnie na Anglię, wychodząc z założenia, że Anglicy, pochłonięci problemami wewnętrznymi i pragnący przede wszystkim pokoju, będą domagali się od swojego rządu nadal porozumienia z Rosją.

Rząd brytyjski od tego porozumienia wcale się nie uchyla, zachowując przy tym jednak dość dużą rezerwę. Oficjalna propagandna brytyjska nie atakuje Sowietów w ogóle. Noty dyplomatyczne do Bułgarii, Rumunii, Polski i Jugosławii, w sprawach dotyczących wyborów i innych, żadnych konsekwencji politycznych nie spowodują. Bevin dwukrotnie oświadczył w Izbie Gmin — z powodu protestów niektórych kół opinii angielskiej przeciw procesom wytoczonym Michajłowiczowi i arcybiskupowi Stepinacowi: że Wielka Brytania w tych sprawach interweniować nie może, gdyż stanowiłoby to ingerencję w wewnętrzne sprawy obcego państwa. Ponadto rzecznik Foreign Office oświadczył na temat protestu rządu, wystosowanego do Rumunii, w związku z zobowiązaniami wyborczymi zaciągniętymi przez nią wobec Komisji Trzech, że fakt uznania rządu rumuńskiego pozostaje nadal faktem i że sytuacja obecna nie zmieni go.

W OZONIE i na forum Rady Czterech Ministrów Bevin nadal paktuje cierpliwie w Sowietami dla „dobra pokoju światowego”, podkreślając, że cierpliwość i wzajemna wyrozumiałość jest pierwszym warunkiem współpracy. Na froncie wewnętrznym Anglii sytuacja przedstawia się nieco lepiej.

Na kongresie związków zawodowych Attlee wyjaśnił dokładnie stosunek Labour Party oraz rządu do komunistów i komunizmu, potępiając po raz pierwszy od zakończenia wojny w słowach niezwykle ostrych i niedwuznacznych doktrynę i działalność tej partii. Ale Attlee w przemówieniu swoim nie uczynił żadnej

wyraźnej aluzji do sytuacji panującej w Europie środkowo-wschodniej, gdzie się rozstrzyga i los 120 milionów ludzi, i cywilizacji europejskiej.

ZDROWA REAKCJA W STANACH ZJEDNOCZONYCH I STOSUNEK DO NIEJ SOWIETÓW

Na skutek nieudolności prezydenta Trumana w sprawach polityki wewnętrznej i zagranicznej, na skutek hańbiącej Amerykę spuścizny Roosevelta po Moskwie, Jałcie, Teheranie i Poczdamie i w wyniku sądów powstałego wrogiego nastawienia opinii do demokratów i Sowietów, naród amerykański obalił w wyborach powszechnych administrację demokratyczną.

Ażeby zrozumieć, do czego ta zmiana nastawienia doprowadzić może w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, należy porównać sytuację obecną z tą sytuacją, jaka zaistniała w Wielkiej Brytanii zaraz po zwycięstwie Labour Party, ponieważ problemy w obydwu wypadkach są podobne. Rząd Labour Party stanął po wyborach wobec zagadnienia olbrzymiej popularności Sowietów w całej Anglii, co utrudniało mu ustalenie własnej polityki zagranicznej i groziło szybkim wzrostem komunizmu w kraju. Rząd Labour Party popularność tę w czasie bardzo szybkim zmniejszył do tego stopnia, że komunistów nie dopuszczono do fuzji z Partią Pracy i do kongresów związków zawodowych.

W Stanach Zjednoczonych ten sam problem przedstawia się nieco inaczej. Ameryka bowiem nie jest w defensywie politycznej, jak Anglia, ale prowadzi ofensywę i nie ufając demokratom powierzyła kierownictwo machiną państwową prawicy — republikanom, znanym ze swego antysowieckiego nastawienia. Ktoż to są dzisiaj republikanie? Republikanie dzisiaj w Stanach Zjednoczonych — to 90% narodu, to może i demokraci z nazwy, którzy w polityce zagranicznej nie różnią się od swoich partyjnych przeciwników, pragnąc demonstracji siły wobec Sowietów, ale nie umiejąc się na nią zdobyć na skutek rozbicia i słabości własnej partii, a przede wszystkim nieudolności jej przywódcy — prezydenta Trumana i szkodliwej działalności największego indywidualisty w tej partii — prosowieckiego Wallace'a.

Republikanie — to Amerykanie przeciwni, ufni w potęgę swego kraju, cieszący się z ostrych utarczek z Sowiecami w OZONIE i z demonstracji swojej floty na Morzu Środkowym oraz irytujący się ustępliwością swoich polityków.

Ideaty demokracji i wolności są rozumiane dzisiaj przez Amerykanów bezwzględnie. Obce im się stały lewicowe kierunki Roosevelta w polityce zagranicznej i w sprawach wewnętrznych. Dostyc mają wszelkich planów, ograniczeń i kontroli. Jest pokój czy go nie ma? — pytają. Jesteśmy najpotężniejszym państwem na świecie, czy też nie? Dlaczego więc słabość, niezdecydowanie, brak towarów i ograniczenia? To skutek polityki demokratycznych **new deal'owców** — odpowiadają. Trzeba z nią raz skończyć!

Jak się zachowają Sowiety wobec tej nowej sytuacji? Jak wiadomo, celem polityki zagranicznej Sowieców jest uzyskanie maksimum czasu, przy zachowaniu obecnej płynności chaotycznych stosunków międzynarodowych, które zezwalają Sowiecom na odbudowę własną i stabilizację w państwach zdobytych. Toteż taktyka sowiecka nie ulegnie wielkiej zmianie. Będziemy widzieli w niej, w miarę naporu politycznego Stanów Zjednoczonych, coraz więcej taktycznych koncesji Sowieców w tych problemach, które Sowiety same stworzyły.

Ataki sowieckie na republikanów i „reakcjonistów” wszelkiego rodzaju nie ustają. Ale propaganda sowiecka będzie bardzo starannie różniła teraz między rządem a narodem, zwłaszcza w takich sytuacjach, kiedy Ameryka razem z Anglią są zmuszone bronić „faszystowskiej” Grecji i Hiszpanii. „Sympatie” sowieckie dla narodu amerykańskiego pójdą niewątpliwie w odpowiedniej chwili tak daleko, że olbrzymie zamówienia dla firm prywatnych zaleją rynek amerykański, dając znowu dowód „uznania”, jakie Sowiety mają dla doktryny „free enterprise”.

Jeśli zamówienia będą tak duże, że zdecydują o rozmiarze produkcji przemysłowej Stanów Zjednoczonych, to wówczas istnieje niebezpieczeństwo wzrostu w Ameryce sympatii do Sowieców. Toteż nie należy się dziwić, jeśli Sowiety uzyskają nawet pożyczkę od Stanów Zjednoczonych, o którą jest zawsze łatwiej w państwie o gospodarce liberalnej niż w państwie, gdzie prowadzi się

gospodarkę planową.

Jeszcze jeden problem, jaki powstaje na skutek zwycięstwa republikanów, pozostaje do omówienia. A mianowicie: stosunek Truman'a do administracji republikańskiej i odwrotnie. To, że Truman jest demokratą, spowodował czysty przypadek. Gdyby bowiem w tych czasach, kiedy zbankrutował na skiepie z koszulami, rozpoczynając karierę prawniczą i polityczną, był u władzy nie demokraci, lecz republikanie, ten „wybitny” polityk zostałby z pewnością republikaninem. Toteż jest pewnikiem, że kongres będzie rządził Trumanem.

W usiłowaniu utrzymania dalszego wpływu na politykę amerykańską, co zapoczątkowała mowa Churchilla w Fulton, plany angielskie idą bardzo daleko i realistycznie w przód. Groźba porozumienia sowiecko-amerykańskiego kosztem Anglii, chociaż zmniejszyła się bardzo — jednak nie zniknęła zupełnie i może odżyć przez ustępstwa Sowieców wobec Stanów Zjednoczonych w kwestiach międzynarodowych i uzyskanie sobie sympatii przez zamówienia dla przemysłu amerykańskiego. Kampania wyborcza w roku 1948 na prezydenta nie jest już daleka i od jej rezultatów może zależeć w dużym stopniu przyszły los Wielkiej Brytanii. Wybór republikanina, nie znanego w Anglii lub co gorsza nieprzychylnie do niej nastawionego, byłby dla imperium dużym niebezpieczeństwem. Otóż pojawiły się już pierwsze znaki, że Anglia zamierza zapobiec temu niebezpieczeństwu. Wiadomo jest, że Eisenhower został mianowany dowódcą sił inwazyjnych na wniosek i przy poparciu Wielkiej Brytanii. Ingersoll — oficer łącznikowy między obydwojma sztabami — w książce swojej pt. **Top Secret** oskarża Eisenhowera o zupełną uległość wobec Anglików. Montgomery w książce o inwazji — niestety nie w sprzedaży i rozkolportowanej jedynie wśród oficerów sztabowych — broni Eisenhowera bardzo gorąco i zbija zarzuty Ingersolla. Eisenhower, jedyny spośród Amerykanów, otrzymuje honorowe obywatelstwo Londynu, Edynburga i kilku miast innych, jest kilkakrotnie przyjmowany przez króla, trzyma marszałkowi Tadderowi — swojemu zastępcy z czasów inwazji — dziecko do chrztu, a ostatnio znowu odwiedza króla w Szkocji w zamku Balmoral i oświadcza, że w przeciagu ro-

ku zrezygnuje z kariery wojskowej, poświęcając się polityce.

Prasa angielska przyjmuje tę wiadomość bardzo przychylnie, prasa amerykańska poświęca jej mniej miejsca. Plany Eisenhowera nie są jeszcze znane. Ale nie ulega wątpliwości, że zwycięski wódz wojenny sił alianckich nie będzie kandydował ani do Izby Reprezentantów, ani do Senatu. Jest tylko jeden urząd, który może go skusić: urząd prezydenta Stanów Zjednoczonych. Eisenhower cieszy się w Stanach Zjednoczonych olbrzymią popularnością, jaką żaden z jego ewentualnych rywali (Eisenhower jest republikaninem) poszczycić się nie może. Ani Dewey, którego kandydatura jest zresztą wątpliwa, gdyż nie ma zwyczaju w polityce amerykańskiej wysuwania ponownie kandydata już raz w wyborach pokonanego, ani Stassen, lewicowiec wśród republikanów, którego Roosevelt wystawił do San Francisco dla reprezentowania Stanów Zjednoczonych, kiedy tworzone OZON, ani Vandenberg, który nie posiada żadnych specjalnych kwalifikacji na prezydenta, ani legalista Taft, obojętnie, jeśli nie wrogo nastawiony do Wielkiej Brytanii, ani wreszcie senator Bricker, którego kandydaturę już rozpatrywano przy wyborach ostatnich, człowiek bardzo przeciwny. Wszyscy ci potencjalni kandydaci błędą przy Eisenhowerze. Wśród demokratów, poza Wallace'em, nie ma żadnych wybitniejszych indywidualności. Prezydenckie ambicje Wallace'a są ogólnie znane i — jak się dzisiaj wydaje — jest to jedyny możliwy kandydat z ich strony, który przez czas, jaki pozostał do wyborów, będzie montował z pewnością swoją własną grupę, opartą przede wszystkim na lewicowych związkach zawodowych. Jeśli do wyborów stanie tych dwóch kandydatów: Wallace i Eisenhower, to wówczas hasło wyborcze może brzmieć następująco: **Czy mamy iść z Sowiecami czy z Wielką Brytanią?** Przeciwnicy bowiem Eisenhowera wyciągną bez wątpienia jego urojony czy prawdziwy anglofilizm. Zwycięstwo Eisenhowera oznaczałoby tryumf dla Wielkiej Brytanii, dalszą unifikację sił zbrojnych obydwu państw oraz powstanie potężnego bloku anglosaskiego, który mogłoby pójść na zdecydowaną ofensywę polityczną przeciw Sowiecom.

J.Z.K.